

MAGAZYN *razem z dodatkami*

W Polsce małżeństwa jedнопłciowe i związki partnerskie nie mają zbyt wielu praw
● Łowcy cieni. Kulisy pracy supertajnej jednostki policji ● Kierowała Hotelem Gołębiowski w Karpaczu, a teraz...
PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz omówieniami najciekawszych propozycji



Piątek
22.05.2026
Nr 117

Gazeta WROCLAWSKA

www.gazetawroclawska.pl
Cena 6,50 zł
(w tym 8% VAT)

Została otruta!
Ustalono to 12 lat po śmierci Wrocławianki. Rodzina czeka na sprawiedliwość **str. 6**



FOT. WOJCIECH SZUBARTOWSKI

Lubin z Lublinem gra o Mistrzostwo Polski. Zagłębie walczy o szóste złoto z rzędu **str. 32**

Chcą zbudować wieżę widokową na wzgórzach koło Głogowa. Taką, jak na Dzikowcu **str. 8**



FOT. EW

PULS
Robert Lewandowski. Kariera wielka i całkiem nieoczywista str. 14-15

ŚRODA ŚLĄSKA MIESZKAŃCY APELUJĄ W SPRAWIE REMONTU DK 94

Odsunąć od miasta „drogę śmierci”!

Michał Perzanowski
Wrocław

Blisko 1500 mieszkańców Środy Śląskiej podpisało listę popierającą budowę nowego przebiegu drogi krajowej nr 94 z dala od miasta. Burmistrz i radni przekonują GDDKiA do wariantu BW1, który od południa omija Środę Śląską.

DK 94 na Dolnym Śląsku stanowi poważne zagrożenie dla kierowców. Między Prochowicami a Oławą wiedzie głównie jedną jezdnią z jednym pasem ruchu w obu kierunkach, co sprzyja groźnym wypadkom. Generalna Dyrek-

cja Dróg Krajowych i Autostrad (GDDKiA) pracuje nad przebudową około 60 km tej trasy. Planowane jest też połączenie z DK36 – tak, by dwupasmową drogą można było dojechać z Wrocławia aż do Lubina.

Inwestycja jest na etapie opracowywania studium techniczno-ekonomiczno-środowiskowego. Łącznie analizuje się aż 19 wariantów. Dla samej Środy Śląskiej i jej okolic rozpatruje się 6 możliwości. Przez obrzeże miasta płynie obecnie sznur pojazdów, stwarzając wiele problemów i wypadków. Stąd „droga śmierci”. 20 maja burmistrz Środy Śląskiej Elżbieta Czarnota, radni oraz przedstawiciele urzędu spotkali się

z dyrektorem wrocławskiego oddziału GDDKiA Waldemarem Wojciechowskim. – Stanowisko gminy pozostaje niezmiennie: jedynym racjonalnym i społecznie akceptowalnym rozwiązaniem jest dla nas wariant BW1 – powiedziała burmistrz Elżbieta Czarnota. Wariant BW1 zakłada: poprowadzenie ruchu tranzytowego nowym śladem, z dala od terenów zabudowanych. Dotychczasowy przebieg DK94 zostałyby zachowane i pełniły rolę drogi lokalnej.

Według władz miasta wyraźnie zwiększy to bezpieczeństwo mieszkańców i ograniczy uciążliwości związane z ruchem – zwłaszcza ciężarówek.

Czytaj str. 4

Nr ISSN 2353-6152

Nr indeksu 350-206



Rozwiąż naszą krzyżówkę. Zajrzyj do kolorowego świata show-biznesu str. 27

REKLAMA

0011516838

KENO MNOŻNIK
Wygraj **2 000 000 zł** i więcej!
Ale to kręzęęęę!
Graj z Mnożnikiem
Gra w punktach LOTTO, w aplikacji i na lotto.pl

18+

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

GAZETA WROCLAWSKA
● przy SOBOCIE
tłumaczy, radzi, bawi...PONIEDZIAŁEK
● DODATEK SPORTOWY
Wyniki, tabele i analizyWTOREK
● PULS BIZNESU
Przepisy prawne, opinieŚRODA
● MAGAZYN ZDROWIE
Jak zadbać o siebie i bliskichCZWARTEK
● POD PARAGRAFEM
Historie kryminalnePIĄTEK
● PULS POLSKI
Reportaże i publicystyka

ZAMÓW PRENUMERATĘ: „GAZETA WROCLAWSKA” z dostawą do Twojego domu lub biura. Tel. 71 72 76 237, e-mail: bok.prenumerata@polskapress.pl

Janusz Michalczyk

NIEKOCHANA
INTELIGENCJA

Czy pisarze są inteligentni? Czy sztuczna inteligencja powinna współpracować z ich inteligencją naturalną? Czy jak mawiał Janusz Głowacki, pisze się z głowy, czyli z niczego? Takie oto pytania przysły mi na myśl, gdy przyjrzałem się najnowszej awanturze w świecie literackim, która rozpętała się po tym, jak Olga Tokarczuk zasugerowała publicznie, że wykorzystuje w pracy sztuczną inteligencję. „Często wprost rzucam maszynie pomysł do analizy z prośbą: kochana, jak mogłybyśmy to pięknie rozwinąć?” - wyznała noblistka. Kiedy zagotowało się w internecie, wydała oświadczenie, podkreślając, że pisze sama, natomiast AI traktuje tylko „jako narzędzie pozwalające szybciej dokumentować i sprawdzać fakty”. Korzyść jest oczywista - po co ślezczyć godzinami w bibliotekach, jeśli po kilku sekundach potrzebne informacje zostaną wyświetlone na ekranie komputera?

Nie sądzę, żeby jej krytycy wzięli te wyjaśnienia za dobrą monetę. Raczej są one przeznaczone dla czytelników, którzy mogli poczuć się zdezorientowani. Sprawa jest delikatna, bo w tym roku ma się ukazać nowa powieść Tokarczuk i każdy, kto ją kupi, będzie się zastanawiał, ile zdań napisała własnoręcznie.

Znany z ciętego języka Szczepan Twardoch nie miał dla noblistki litości: „Wejście w »relację« z modelem językowym, czy to emocjonalną, czy twórczą, ma tyle sensu, co małżeństwo z wibratorem”. Zabawne, ale żarty na bok, bo w istocie powraca fundamentalne pytanie o sens pojęcia „prawda”. Czy jedno zdanie ułożone z pomocą AI przy pisaniu utworu literackiego albo choćby podsunięty przez nią pomysł należy uznać za oszustwo dyskwalifikujące całość pracy twórczej?

Marek Krajewski przyznał kiedyś, że wydawnictwo publikujące jego książki zatrudnia osobę, której zadaniem jest wyjadanie w mediach opisów niezwykłych zdarzeń i podrzucanie ich pisarzowi do ewentualnego wykorzystania. Może dziś tę pracę wykonuje już AI, a ten człowiek tylko sprawdza, czy nie są to głupoty?

Sądzę, że nie tyle chodzi o jakąś abstrakcyjną prawdę, lecz o emocjonalną. Autor ma jakieś emocje, czytelnik też, zaś model językowy udaje. Problem w tym, że nawet u ludzi nie zawsze da się odróżnić prawdziwe emocje od udawanych. Dlatego czasem trzeba zaryzykować i uwierzyć na słowo.

”

W parafii Bemowo powstały różne grupy np. zmotoryzowana, wsparcia psychologicznego, opiekuńczo-wychowawcza, medyczna.

Rafał Łaszewski, szef parafialnej Grupy Obrony Cywilnej

Przez dach Arkad widać
wnętrze dawnej galerii

Budynek Arkad wkrótce zostanie całkowicie zasłonięty rusztowaniami

Aneta Kolesińska
Wrocław

Zanika elewacja. Poszycie dachu ma coraz więcej dziur, wszędzie sterty gruzu. Okolice dawnej galerii Arkady Wrocławskie sfotografowaliśmy dronem.

Jeszcze niedawno po elewacji Arkad Wrocławskich nie było widać śladów rozbiórki. Teraz front dawnej galerii traci szklane elementy, a część dachu ma spore prześwity. Co nowego słychać na placu rozbiórki? Dach Arkad poszedł na pierwszy ogień. Spora część konstrukcji zniknęła. Na sterach układanych przez ciężki

sprzęt widać puste miejsca po szybach wentylacyjnych oraz metalowy stelaż dachu.

W drugiej połowie maja rozpocznie się montaż rusztowania, które ponownie osłoni całą bryłę budynku. - Posiadamy bogate doświadczenie w prowadzeniu robót w tak centralnie zlokalizowanych miejscach. Zależy nam, aby konieczne prace były jak najmniej uciążliwe dla Wrocławian. Dlatego będziemy na bieżąco monitorować sytuację i reagować, aby zapewnić jak najwyższy poziom porządku w okolicy. Ponadto, prowadzimy niezbędne uzgodnienia z Zarządem Dróg i Utrzymania Miasta oraz Wydziałem In-

żynierii Miejskiej Urzędu Miejskiego Wrocławia, które zapewnią płynność i bezpieczeństwo ruchu - mówi Tomasz Żymełka, kierownik rozbiórki w Grupie TREE.

Co powstanie w miejscu Arkad Wrocławskich?

Los dawnej galerii handlowej przy ul. Powstańców Śląskich został przypieczętowany w 2023 r. Wtedy to „Gazeta Wrocławska” potwierdziła plany sprzedaży budynku nowemu właścicielowi. Rozbiórka rozpoczęła się w ub. Budynek zniknie w 2027. Firma Vastint planuje przekształcić ponad 1,7-hektarową działkę w wielofunkcyjne miejsce o śródmiejskim charakterze.

ZDJĘCIE DNIA



Nowa atrakcja dla miłośników motoryzacji. W każdą niedzielę końca sierpnia wrocławski Klub Sympatyków Transportu Miejskiego zaprasza na specjalne kursy wycieczkowe, połączone ze zwiedzaniem Muzeum Motoryzacji Wena w Oławie. Najbliższa okazja już w niedzielę 24 maja! O g. 11 z przystanku muzealnego Opera wyruszy niebieski Ikarus 280.17 z 1990 r. produkcji węgierskiej, jedyny taki model w Polsce. Ikarus zatrzyma się też na przystanku na ul. Suchej (Dworzec Autobusowy). Bilet na przejazd w obie strony oraz zwiedzanie Muzeum kosztuje 60 zł (ulgowy 45 zł). RED

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Dzień sprzyja bliskim relacjom i spokojnym rozmowom. Horoskop dzienny radzi zadbać o własny komfort.

Ryby (19.02 - 20.03)
Kreatywność pomoże ci rozwiązać trudny problem. Horoskop na dziś wyraźnie zapowiada, że wieczór przyniesie bardzo miłe zaskoczenie...

Baran (21.03 - 19.04)
Obowiązki pójdą dzisiaj sprawniej niż zwykle. Horoskop dzienny na piątek stanowczo radzi uważać jednak na zbyt impulsywne reakcje.

Byk (20.04 - 20.05)
Niespodziewane spotkanie poprawi nastrój. Horoskop dzienny wróży, że wieczorem znajdziesz czas na relaks.

Bliznięta (21.05 - 21.06)
Dobra energia doda ci motywacji. Horoskop na dziś mówi, że ktoś doceni twoje zaangażowanie i cierpliwość.

Rak (22.06 - 22.07)
Korzystny dzień na zakupy i ważne decyzje. Horoskop dzienny na piątek podpowiada, by unikać plotek oraz niepotrzebnej napięcia.

Lew (23.07 - 22.08)
Spokojne podejście pomoże rozwiązać problem. Horoskop dzienny bardzo wyraźnie wróży, że wieczór sprzyja dobrym wiadomościom.

Panna (23.08 - 22.09)
Twoja pewność siebie doda Ci wiary we własne możliwości. Horoskop na dziś mówi, że warto zaufać własnej intuicji mocno i pójść za ciosem.

Waga (23.09 - 22.10)
Dzień sprzyja odpoczynkowi i porządkom. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że wieczorem pojawi się ciekawa okazja towarzyska.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Nowe pomysły poprawią humor. Horoskop dzienny wróży, że ktoś bliski poprosi cię o wsparcie i rozmowę.

Strzelec (22.11 - 21.12)
Czeka cię udana rozmowa i drobny sukces finansowy. Horoskop na dziś to wskazówka, by unikać pośpiechu oraz zbędnych sporów.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Energia będzie sprzyjać podejmowaniu decyzji. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że wieczór przyniesie dobrą wiadomość.

Zaniżona emerytura – jak sprawdzić, czy dotyczy to Ciebie

Czy wiesz, że Twoja emerytura może być zaniżona nawet o kilkaset złotych miesięcznie... i nikt Cię o tym nie poinformował?



Jeśli pobierałeś wcześniejszą emeryturę, Twoje obecne świadczenie z ZUS może być nieprawidłowo naliczone. Zaniżona emerytura to problem, który po wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 4 czerwca 2024 r. (SK 140/20) dotyczy tysięcy polskich seniorów. Wyjaśniamy, z czego wynika nieprawidłowość w obliczeniach, kto dokładnie może domagać się ponownego przeliczenia oraz jakie działania podjąć, by móc ubiegać się o wyższe świadczenie.

EMERYTURA WCZEŚNIEJSZA KONTRA POWSZECHNA – SKĄD WZIĄŁ SIĘ BŁĄD W OBLICZENIACH?

Temat świadczeń z ZUS nabrał szczególnego znaczenia po wyroku Trybunału Konstytucyjnego (SK 140/20). Aby dobrze zrozumieć problem, warto wyjaśnić różnicę między emeryturą wcześniejszą a powszechną.

Emerytura wcześniejsza przysługiwała osobom pracującym w szczególnych warunkach (np. górnikom, hutnikom) lub wykonującym zawody o podwyższonym ryzyku. Z kolei emerytura powszechna to standardowe świadczenie przyznawane po osiągnięciu ustawowego wieku (obecnie 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn). Wysokość tej drugiej zależy bezpośrednio od składek i kapitału wypracowanego przez całe życie zawodowe.

Problem polegał na tym, że organ rentowy pomniejszał kapitał emerytalny o kwoty wypłacone już w ramach emerytury wcześniejszej. Im dłużej pobierano emeryturę wcześniejszą, kwota o którą pomniejszono kapitał była większa. W praktyce oznaczało to jedno – po przejściu na emeryturę powszechną, emeryt otrzymywał obniżone świadczenie.

TRYBUNAŁ KONSTYTUCYJNY PRZYNAŁ SENIOROM RACJĘ – CO Z TEGO WYNIKA?

W czerwcowym orzeczeniu (sygn. akt SK 140/20) Trybunał Konstytucyjny uznał mechanizm pomniejszania podstawy obliczenia emerytury powszechnej za naruszający ustawę zasadniczą. Mówiąc prościej: uznał, że przepis pozwalający na zniżenie emerytury jest niezgodny z Konstytucją RP. Ubezpieczeni, którzy złożyli wniosek o przejście na wcześniejszą emeryturę przed dniem 6 czerwca 2012 r. nie mogli przewidzieć, że ostatecznie ich emerytura zostanie obniżona.

Dla przeciętnego uprawnionego do świadczenia emerytalnego wyrok Trybunału Konstytucyjnego oznacza, że obecnie istnieje prawna możliwość jej ponownego przeliczenia. Zamiast godzić się na zredukowane przelewy, można domagać się przywrócenia kwoty, która faktycznie wynika z zebranych składek.

Skutki finansowe takich błędów bywają bardzo odczuwalne. Załóżmy, że wypracowany kapitał pozwalał na emeryturę w wysokości 2600 zł miesięcznie, ale na skutek niekonstytucyjnego przepisu ustawy emerytalnej wypłacał jedynie 2100 zł. Taka zaniżona emerytura to strata 500 zł miesięcznie, co daje aż 6000 zł rocznie różnicy w domowym budżecie.

GÓRNICY, NAUCZYCIELE, KIEROWCY – KTO KONKRETNIE MOŻE ODZYSKAĆ PIENIĄDZE?

Skutki omawianego wyroku nie obejmują automatycznie każdego emeryta. Zaniżona emerytura w tym konkretnym kontekście dotyczy osób, które skorzystały z wcześniejszej emerytury, a następnie przeszły

na powszechną, spełniając przy tym szereg ustawowych warunków. Głównym kryterium jest wiek – przed 1 stycznia 2013 roku należało mieć mniej niż 60 lat (kobiety) lub 65 lat (mężczyźni).

Do ponownego przeliczenia uprawnione są osoby urodzone w latach 1954–1966 (kobiety) oraz 1949–1952 lub 1954–1961 (mężczyźni). Bardzo ważne jest również to, by wniosek o wcześniejszą emeryturę został złożony przed 6 czerwca 2012 roku.

Dotyczy to szerokiej grupy zawodowej, m.in. nauczycieli, górników, hutników, niektórych pracowników służby zdrowia, zawodowych kierowców oraz innych zawodów wykonujących pracę w warunkach szczególnych. Przez wiele lat ich świadczenia były pomniejszane w oparciu o przepisy ustawy emerytalnej, jednak dzisiaj ta zaniżona emerytura może zostać na nowo, sprawiedliwie przeliczona.

ZUS SAM NIE WYRÓWNA ŚWIADCZENIA – MUSISZ DZIAŁAĆ

Kluczową informacją jest to, że wyrok Trybunału nie zadziałał automatycznie wobec wszystkich uprawnionych. Oznacza to, że ZUS nie wyrówna Twojego świadczenia automatycznie, bez wyraźnego sygnału. Zaniżona emerytura będzie wciąż wypłacana w dotychczasowej, niższej kwocie, dopóki nie podejmiesz odpowiednich kroków prawnych.

Warto zweryfikować swoje dokumenty, a następnie złożyć wniosek o ponowne przeliczenie świadczenia. Pomagamy klientom przejść przez te formalności, tłumacząc zawiłości procedur i dbając o kompletność dokumentacji.

Warto pamiętać, że ewentualna odmowa ze strony organu nie zamyka drogi do odzyskania środków. Jeśli po złożeniu wniosku ZUS wyda decyzję negatywną, przysługuje Ci odwołanie do sądu pracy i ubezpieczeń społecznych. Dodatkowo, zaniżona emerytura wiąże się często z prawem do wyrównania aż za 3 lata wstecz, o co zdecydowanie warto zadbać.

TYSIĄCE SENIORÓW WCIĄŻ NIE WIE, ŻE ICH EMERYTURA MOŻE MIEĆ SZANSĘ NA PONOWNE PRZELICZENIE

Skala problemu jest ogromna, a świadomość społeczna – wciąż niewystarczająca. Eksperti szacują, że uprawnieni do ponownego przeliczenia świadczenia mogą być dziesiątki tysięcy emerytów w całej Polsce. Wyrok Trybunału Konstytucyjnego otworzył drzwi, ale skorzystanie z tej szansy wymaga własnej inicjatywy. Jeśli należysz do grupy objętej wyrokiem, nie zwlekaj z weryfikacją swoich uprawnień.

Artykuł sponsorowany przez
Votum Robin Lawyers S.A.
z siedzibą we Wrocławiu



**VOTUM
ROBIN
LAWYERS**

Kontakt:

- ul. Wyścigowa 56i, 53-012 Wrocław
- email: biuro@votum-rl.pl
- tel.: 71 36 86 981

nasz REGION

KRÓTKO

WROCLAW

Kobieta wpadła do wody. Pomogli jej studenci ratownictwa

Do zdarzenia doszło w czwartek nad rzeką Oławą po godzinie 11. Ratownicy dyżurni Wodnej Służby Ratowniczej otrzymali zgłoszenie z Centrum Powiadomiania Ratunkowego we Wrocławiu o nieprzytomnej kobiecie wyciągniętej z wody przy Żabiej Ścieżce obok jazu Małgorzata. Jak podają służby kobieta była pod wpływem alkoholu i została przetransportowana do szpitala. Z wody wyciągnęli ją świadkowie obecni na miejscu, w tym, jak się okazało, studenci kierunku medycznego o specjalizacji ratunko-

wej. - Dziękujemy świadkom zdarzenia, w tym studentom z Katedry Ratownictwa Medycznego Uniwersytetu Medycznego za wzorową postawę. To dzięki ich szybkiej reakcji kobieta została wyciągnięta z wody, na miejsce wezwano służby ratunkowe, monitorowano jej stan oraz ułożono ją w pozycji bezpiecznej do czasu przyjazdu ratowników. Oni zaś udzielili kwalifikowanej pierwszej pomocy oraz wspierali działania Zespołu Ratownictwa Medycznego wraz z patrolem Policji - relacjonuje WSR. AK

WROCLAW

Wyłapują zbyt głośne auta



Policyjna drogówka prowadzi przy pomocy mierników Sonopan kontrole pojazdów przekraczających normy hałasu. Dotychczas zatrzymano we Wrocławiu 10 dowodów rejestracyjnych. Samochody benzynowe nie mogą przekraczać 93 dB, diesle - 96 dB, motocykle 94-96 dB. TP

LEGNICA

10 chórów powalczy o Lutnię

Dzisiaj rozpoczyna się w Legnicy kantata „Odyseja” Henryka Seroki 56. edycja Festiwalu Chóralnego Legnica Cantat. Na sobotę zaplanowano zmagania chórów o Lutnię im. Jerzego Libana. W Akademii Rycerskiej zaprezentuje się 10 zespołów z całej Polski. Wśród nich jeden przedstawiciel Dolnego Śląska - Wrocławski Chór Żeński. Warto wiedzieć, że

przesłuchania te będzie można obserwować w internecie. Podsumowanie i rozdanie nagród w Turnieju Chórów i Turnieju Kompozytorskim nastąpi w sobotni wieczór - o godz. 19. Tradycyjnie już na początku gali wystąpi z koncertem ubiegłoroczny zwycięzca Turnieju - Lodz Chamber Choir pod dyrekcją Dawida Bera. RED.

LUBIN

Motocyklista jechał na jednym kole - teraz tego żałuje 37-latek na motocyklu zatrzymali policjanci z nieoznakowanego radiowozu. Stracił on na trzy miesiące prawo jazdy i 1500 zł na mandat, a „zarobił” 10 pkt. karnych.

POWIAT GŁOGOWSKI

W karambolu dwie ciężarówki, dwie osobówki i motocykl Wypadek miał miejsce na DW 292 k. wsi Kamiona-Słone. Najbardziej ucierpiał motocyklista. Miał poważny uraz nogi. Przetransportowano go śmigłowcem do szpitala.



WROCLAW/NOWY DWÓR

Rowerzysta potrącony przez autobus miejski

Do wypadku doszło na skrzyżowaniu Strzegomskiej i Muchoborskiej. MPK musiał wykonać prawoskręt i nie zauważył rowerzysty. Pogotowie zabrało go do szpitala.

FOT. EDYTA DUBINSKA

Odsunąć „drogę śmierci”!

Michał Perzanowski
Wrocław

Blisko 1500 mieszkańców Środy Śląskiej podpisało listę popierającą budowę nowego przebiegu drogi krajowej nr 94 z dala od miasta, omijając je od południa.

Dokończenie ze strony 1

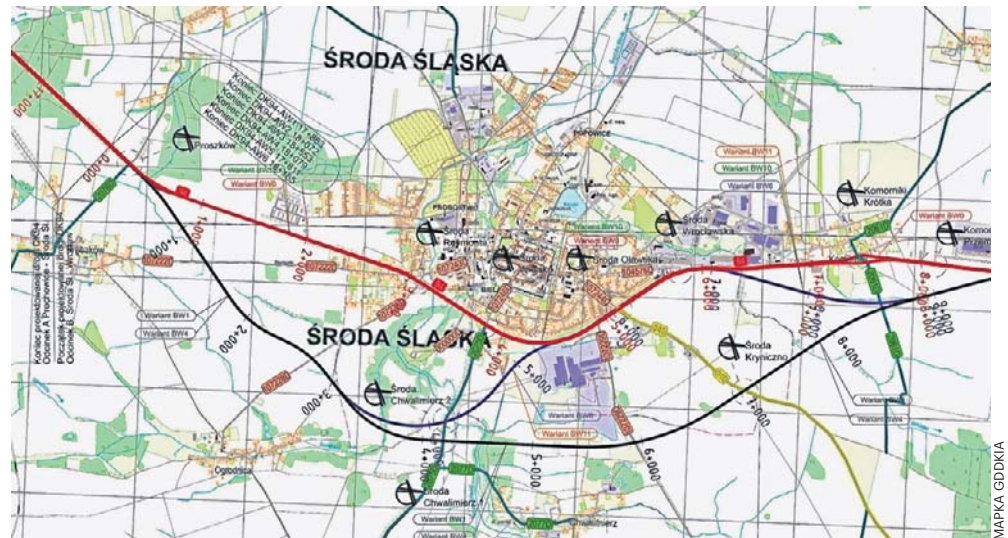
Podczas spotkania burmistrz zwrócił uwagę na szerszy kontekst, który może uymykać osobom spoza regionu.

- Spotkanie było okazją do pokazania szerszego kontekstu społecznego i gospodarczego rozwoju naszej gminy - rozrastania się miasta i okolicznych miejscowości, rozbudowy Legnickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej czy powstawania nowych osiedli mieszkaniowych. Są to kwestie, których projektanci spoza naszego regionu mogą nie dostrzegać w pełnym wymiarze - wyjaśniła Elżbieta Czarnota.

Dyrektor oddziału GDDKiA Waldemar Wojciechowski miał też okazję zobaczyć na miejscu problematyczne odcinki drogi i skalę zabudowy. Gdyby przebudowa odbyła się po obecnym śladzie, część budynków mogłaby zostać odcięta od dostępu do drogi krajowej.

Na ręce dyrektora GDDKiA trafiła kopia listy mieszkańców popierających wariant BW1. Jak podkreśliła burmistrz, do tej pory podpisało ją blisko 1500 osób.

Spotkanie zakończyło się ustaleniem kolejnego kroku - rozmów bezpośrednio z pro-



Obecnie DK 94 (czerwona linia) biegnie przez miasto, także między zabudowaniami. Mieszkańcy chcą, by zbudować ją wg wariantu BW1 na południe od miasta (czarna linia)



Na DK 94 w rejonie miasta dochodzi do wielu wypadków, zwłaszcza na skrzyżowaniu z ul. Wiejską

jektantami wariantów. Władze gminy liczą, że pozwolą one rozwiązać wątpliwości zarówno samorządu, jak i mieszkańców.

Finalna decyzja o wyborze wariantu należy do Komisji Oceny Przedsięwzięć Inwestycyjnych (KOPI), której posie-

dzenie zaplanowano jeszcze na ten rok.

- Komisja dokona wyboru wariantów: rekomendowanego i alternatywnego, które zostaną złożone do Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska w celu uzyskania decyzji środowiskowej. Decyzja środowiskowa zatwierdzi przebieg inwestycji - tłumaczyła wcześniej Magdalena Szumiata z GDDKiA.

Inwestycja czeka bowiem na opinię RDOŚ, by ukończyć studium uwarunkowań. Dopiero ukończenie tego dokumentu pozwoli wykonać kolejny krok w celu rozbudowy. Dla Środy Śląskiej był to wyścig z czasem. Mieszkańcy i władze mają nadzieję, że ich głos zostanie usłyszany, zanim zapadnie ostateczna decyzja.

FOT. JAROSŁAW JAKUBCZAK

Brutalnie potrącił kobietę. Poszukuje go policja

Aneta Kolesińska
Wrocław

Policja publikuje wizerunek mężczyzny, który w ub. tygodniu brutalnie przewrócił 80-latką Walentynę. Rozpoznajesz tego mężczyznę? Zadzwoń na policję.

Emerytka trafiła do szpitala po tym jak mężczyzna celowo uderzył ją kierownicą roweru w bark, popchnął na chodnik i uciekł. Było to 11 maja na ul. Pilczyckiej we Wrocławiu. Pani Walentyna Wnuk (wieloletnia

doradca prezydenta Sutryka ds. seniorów) w rozmowie z nami szczegółowo opisała zdarzenie kołokościła pw. Macierzyństwa NMP. - Wychodziłam ze swojego osiedla Zaułek Pilczycki. Szłam przez bramę wjazdową. W tym miejscu trzeba przeciąć ścieżkę rowerową, żeby dotrzeć na chodnik - relacjonuje. Wtedy doszło do brutalnego ataku. Policjanci prowadzą sprawę potrącenia i naruszenia nietykalności cielesnej kobiety przez rowerzystę. Proszą o wszelkie informacje, które pomogą go odnaleźć.



Osoby, które rozpoznają mężczyznę proszone są o pilny kontakt pod tel. 601 701 488, 537 867 306 lub 112

FOT. POLICJA

PRZEGLĄD MINIONEGO TYGODNIA

CZWARTEK, 14.05

Nagrody za filmy i role

Rozdano laury 19. Festiwalu Reżyserii Filmowej oraz 15. Festiwalu Aktorstwa Filmowego we Wrocławiu. Najważniejszą nagrodę reżyserską - Złotego Dzika (Grand Prix 19. FRF) im. Janusza Majewskiego - zdobył Maciej Sobieszkański za film „Brat”. Złotego Szczeniaka Festiwalu Aktorstwa Filmowego w kategorii pierwszoplanowa rola otrzymała Matylda Giegnzno - „Światłoczuła”. Z kolei twórca

i dyrektor festiwalu, Stanisław Dziurka, został uhonorowany Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

PIĄTEK, 15.05

Przeniosą targ na Oporów?

W związku z planem uruchomienia Dworca Świebodzkiego, handel na Świebodzkim będzie mógł działać do początku 2028 roku. Miasto chce przenieść targowisko na ul. Giełdową na Oporowie, gdzie znajduje się większy

plac z lepszym dojazdem i zapleczem sanitarnym.

SOBOTA, 16.05

Rekordowa Noc Muzeów

110 podmiotów, w tym 28 muzeów i archiwów, 48 galerii i pracowni artystycznych zaprosiło we Wrocławiu na Noc Muzeów. Tegoroczna edycja była największą w historii tego wydarzenia, organizowanego w tym mieście od 2009 roku. Dopisała frekwencja. Do wielu obiektów, np. Panorama Racławickiej, ustawiały się bardzo długie kolejki.

NIEDZIELA, 17.05

Śląsk wraca do Ekstraklasy

W Bytomiu Śląsk Wrocław pokonał tamtejszą Polonię 3:1 i zagwarantował sobie awans do PKO Ekstraklasy już w pierwszym roku po spadku do Betclii 1 ligi. O awans do Ekstraklasy poprzez baraże walczy wciąż Chrobry Głogów. Szanse Miedzi Legnica są tylko teoretyczne.

Nielegalna inwigilacja

Prokuratura Okręgowa w Legnicy prowadzi śledztwo dotyczące nielegalnej inwigilacji dolnośląskich samorządowców, w tym prezydenta Lubina Roberta Raczynskiego. W sprawie zatrzymano m.in. Macieja B., określonego przez śledczych jako zleceniodawcę inwigilacji. Mężczyzna jest mężem byłej kandydatki na prezydenta Wrocławia Izabeli Bodnar. Grozi mu kara od roku do 10 lat pozbawienia wolności. W tej sprawie zarzuty usłyszeli też były agent ABW, policjant i dwie inne osoby.



FOT. ADRIANNA SZURMAN

W Wałbrzychu powstanie muzeum słynnego śląskiego rodu Hochbergów

ABW oświadczyła, że nie wydawała zgody na tego typu działania.

PONIEDZIAŁEK, 18.05

Pierwsza transkrypcja

We wrocławskim USC dokonano pierwszej w tym mieście (a drugiej w Polsce - po Warszawie) transkrypcji aktu małżeństwa osób tej samej płci. Ryszard Ziobro i Tomasz Kwietko-Bębnowski są parą od 50 lat. Ślub wzięli rok temu w Wiedniu. Teraz ich małżeń-

stwo zostało oficjalnie zarejestrowane w Polsce.

WTOREK, 19.05

W ratuszu nowi wiceprezydenci

Pracę rozpoczęli nowi wiceprezydenci Wrocławia. Prezydent Jacek Sutryk w miejsce odwołanych Renaty Granowskiej i Michała Młynszaka powołał Mateusza Żaka i Grzegorza Romana. Przejęli również zakres obowiązków swoich poprzedników. W sumie Wrocław ma czterech wiceprezydentów, bo poza powołaną ostatnio dwójką stanowiska te pełnią Jakub Mazur (I wiceprezydent) i Ryszard Kessler.

ŚRODA, 20.05

Strażak OSP - podpalacz

33-letni strażak ochotnik jest podejrzany o podpalenie lasu w trzech różnych miejscach (oddalonych od siebie od 200 do 1500 m) koło Bolesławca. Potem brał udział w akcji gaśniczej. Grozi mu 10 lat więzienia. Tłumaczył, że podpalał z głupoty. **Zebrał GCH**



FOT. MICHAŁ PERZANOWSKI

Zimowe nasadzenia drzew na wrocławskim Rynku już dają efekt. Kamienny plac już się zazielenił

U marszałka bez zmian. Zarząd województwa dostał absolutorium

Remigiusz Biały
Wrocław

Dopiero w środę po g. 20 sejmik udzielił zarządowi województwa votum zaufania i absolutorium. Zabiegi Koalicji Obywatelskiej o zdobycie trzeciego fotela w zarządzie nie przyniosły rezultatu.

Sesja absolutoryjna rozpoczęła się 29 kwietnia. Naznaczona była chaosem. Powód? Michał Jaros wraz z Grzegorzem Schetyną, którzy robią nowe porządki w mieście (właśnie wymienili dwóch wiceprezydentów we wrocławskim ratuszu) chcieli trzeciego członka zarządu województwa. W tej chwili KO ma dwóch, jeden jest z Bezpartyjnych Samorządowców, jeden z Centrum, a marszałek z PSL. To żądanie wywołało awantury i głosami radnych KO przeniesiono sesję na 20 maja.

W środę marszałek Paweł Gancarz określił 2025 r. jako czas intensywnej pracy i realizacji kluczowych inwestycji. Zarząd skupił się na dużych projektach infrastrukturalnych, pozyskiwaniu środków zewnętrznych oraz odbudowie regionu po powodzi. Wśród najważniejszych działań wymienia m.in. 618 mln zł pozy-

skane na zakup nowego taboru kolejowego, postęp przy budowie szpitala onkologicznego, przygotowania do rozbudowy urzędu marszałkowskiego oraz szybka odbudowa mostu w Stroniu (w 8 miesięcy).

W tle absolutorium pulsował spór o trzeciego członka zarządu dla KO. Okazuje się, że sprawę trzeba było rozstrzygnąć w Warszawie. - Przedyskutowaliśmy sporne kwestie, doszliśmy do konsensusu i dziś możemy podjąć decyzję, która wzmacnia stabilność koalicyjną - mówiła Monika Włodarczyk, przewodnicząca klubu KO. Dodała, że rozmowy z PSL przeniosły się na poziom ogólnopolski, bo decyzje personalne w zarządzie nie mogą być podejmowane w ode-

rwaniu od sytuacji w innych województwach. Najważniejsza pozostaje dla niej stabilność współpracy. A efekt jest taki, że z żądań Jarosa i Schetyny nic nie wyszło.

Ostatecznie sejmik przyjął absolutorium 23 głosami za i 11 przeciw oraz votum zaufania 23 za i 12 przeciw.

- Państwo zalega naszym szpitalom ogromne środki, nie zwróciło też pieniędzy za odbudowę po powodzi, a zarząd województwa nie potrafi skutecznie egzekwować należnych nam funduszy. Zamiast rozwiązywać problemy Dolnoślązaków, ogłędamy dyskusje o stołkach. Dlatego nie poprzemy votum zaufania ani absolutorium - komentował sprawę Piotr Karwan, przewodniczący klubu PiS.



FOT. REMIGIUSZ BIAŁY

Marszałek Paweł Gancarz (z prawej) mówił o sukcesach

REKLAMA

0011519917

TARCZYŃSKI

Otwórz się na WIĘCEJ!

DOŁĄCZ DO NOWOCZESNEJ FIRMY, KTÓRA ZAPEWNI CI ROZWÓJ I STABILIZACJĘ.

Zatrudnimy specjalistów w działach:

- ☑ Utrzymania Ruchu i Automatyki
- ☑ Technologii
- ☑ Jakości
- ☑ Sprzedaży
- ☑ Zarządzania Produkcją
- ☑ Administracji

Oferujemy:

- ☑ Pracę w zakładzie produkcyjnym w Ujeźdźcu Małym pod Wrocławiem
- ☑ Bezpłatną stołówkę
- ☑ Bony i paczki świąteczne
- ☑ Dofinansowanie do kształcenia (szkoły, studia, kursy, szkolenia)
- ☑ Bilety na koncerty oraz mecze Panthers Wrocław
- ☑ Prywatną opiekę medyczną LUXMED
- ☑ Kartę Multisport
- ☑ Ubezpieczenie na życie
- ☑ Atrakcyjny program poleceń pracowników

Poznaj szczegóły:

tarczynskipraca.pl
726-665-555
rekrecja@tarczynski.pl

Agnieszka Miza została nową I wicewojewodą dolnośląską

Remigiusz Biały
Wrocław

21 maja pracę w Dolnośląskim Urzędzie Wojewódzkim rozpoczyna Agnieszka Miza. Polityczka Lewicy została powołana przez premiera Donalda Tuska na stanowisko I wicewojewody.

- Pani I Wicewojewoda przejmie obszary swojego poprzednika, czyli geodezję i kartografię, nadzór nad wojewódzkim inspektorem handlowym i farmaceutycznym, a także wojewódzkim zespołem do spraw orzekania o niepełnosprawności. Bardzo się cieszę, że mamy kolejną kobietę na pokładzie Urzędu Wojewódzkiego - mówi Anna Żabska. Poprzednikiem był Piotr Sebastian Kozdrowicki, który zrezygnował ze stanowiska.

Agnieszka Miza to absolwentka administracji oraz języka biznesu na Uniwersytecie Opolskim. Posiada doświadczenie w administracji publicznej, samorządzie oraz zarządzaniu instytucjami kultury



Agnieszka Miza: Będę wspierać panią wojewodę

i ochrony środowiska. Pełniła m.in. funkcję dyrektora Muzeum Poczty i Telekomunikacji we Wrocławiu oraz zastępcy dyrektora Wydziału Kultury Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego.

Przed objęciem funkcji I Wicewojewody Dolnośląskiego była zastępcą prezesa Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej we Wrocławiu, odpowiadając m.in. za nadzór nad finansami i współpracę z samorządami.

Karolina Kwiatek
Wrocław

Od śmierci Pauliny Antczak minęło prawie 12 lat, jednak do tej pory nikt nie odpowiedział za tragedię, która wydarzyła się w jednym z mieszkań przy ul. Trzebnickiej we Wrocławiu.

Przed Sądem Okręgowym we Wrocławiu wczoraj miał się rozpocząć proces w sprawie śmierci Pauliny Antczak, jednak do tego nie doszło. Sędzia Tomasz Kaszyca dał śledczym ponad miesiąc, na „uzupełnienie istotnych braków postępowania przygotowawczego”, o co zawniosowała przedstawicielka prokuratury.

Na sali powiedziała jedynie, że chodzi o braki wskazane przez przedstawicieli posiłkowych i ich pełnomocników. Po wyjściu na sądowy korytarz nie chciała komentować sprawy. Zdaniem pełnomocniczki rodziny - adwokat Justyny Fankowskiej - chodzi przede wszystkim o ustalenie osób, które miały wziąć udział w zabójstwie - bo to właśnie w ten sposób może zostać za-



Dawid Z. oskarżony jest o nieudzielenie pomocy Paulinie. Zarzuty mogą być zmienione na zabójstwo

kwalfikowany czyn, o który dziś jest oskarżany Dawid Z. (nieudzielenie pomocy - red.).

12 lat temu mężczyzna spotkał się z Pauliną. Był z nią również wtedy, gdy zmarła. Twierdził, że śmierć 25-latkę wynikała z przyczyn naturalnych, a śledczy przekazywali, że młoda kobieta mogła się zapać.

W to jednak nie uwierzyła rodzina zmarłej i to oni a nie prokuratura, złożyli akt oskarżenia.

która z resztą nie wyjaśniła przyczyny zgonu. Nie rozumiem, dlaczego nikt nie zrobił badań toksykologicznych i czemu - bez naszej zgody i wiedzy - zutylizowano rzeczy córki. To, co zrobił nam wrocławski wymiar sprawiedliwości, jest koszmarem. My od 12 lat nie możemy przejść żałoby, a rany są rozgrzebywane od nowa - mówi nam Iwona Antczak, mama Pauliny.

Kolejna rozprawa została wyznaczona na 30 lipca. Wówczas dowiemy się, czy sąd przychylił się do wniosku prokuratury. Na pytanie, czy ich zdaniem prokuratura próbuje zrehabilitować się za błędy sprzed lat, drugi z przedstawicieli rodziny - mec. Wojciech Kasprzak - odpowiada, że tak, choć podkreśla, że przez wcześniejsze zaniechania, niektóre dowody są już nie do odzyskania.

- Wierzmy, że to, co ustaliliśmy na etapie postępowania przed Sądem Rejonowym we Wrocławiu, pozwoli na prowadzenie tego postępowania w sposób skuteczny, właściwy, rzetelny i horyzontalny - powiedział po rozprawie.

AUTOREKLAMA

0111523157

REKLAMA

0011524634



**ZAWODY
rowerkowe**

→ Wrocław

Zapisz dziecko na
www.gazetawroclawska.pl/rowerki_borek



CH BOREK

Zapraszamy dzieci
w wieku od 3 do 7 lat

**30
MAJA
(SOBOTA) 2026**

GODZ. 11:00

Wydawanie numerów
startowych od godz. 10:00

Organizator

Mecenas Główny

Partner lokalizacyjny

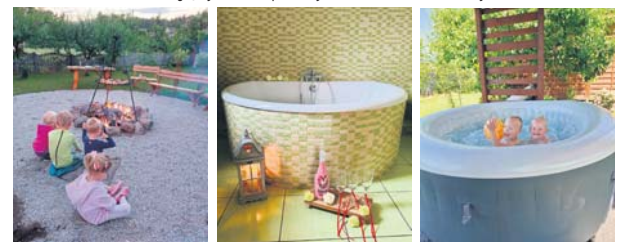
Partner



Agroturystyka Megane
- wypoczynek w sercu Puszczy Noteckiej

Zapraszamy do naszej klimatycznej agroturystyki
położonej w otoczeniu malowniczej Puszczy Noteckiej.

Oferujemy komfortowe noclegi dla około 20 osób,
idealne dla rodzin, grup przyjaciół oraz wszystkich
szukających odpoczynku blisko natury.



- Na terenie obiektu znajduje się duży plac zabaw dla dzieci, trampolina, jacuzzi oraz miejsce na ognisko.
- Organizujemy również kameralne przyjęcia okolicznościowe.
- Dla osób lubiących aktywny wypoczynek dostępna jest możliwość wynajęcia kajaków.



Znajdziesz nas na
**Facebooku: Agroturystyka
Megane** oraz w internecie:
www.megane.agro.pl



Agroturystyka Megane | ul. M. Drzymały 4 | 64-735 Miały

*Agroturystyka Megane to miejsce, gdzie można naprawdę
odpocząć - w ciszy, zieleni i blisko natury.*

Rezerwacje i informacje: 790-592-334

49. Satyrykon w Legnicy coraz bliżej!

Oprac. Redakcja
Legnickie Centrum Kultury

Najweselszy legnicki festiwal wraca na łamy „Gazety Wrocławskiej”. Tegoroczna, 49. Międzynarodowa Wystawa Satyrykon odbędzie się w dniach 12-14 czerwca.

Czekają na nas nie tylko różnorodne, ciekawe wystawy, ale także mocna dawka wydarzeń towarzyszących. Muzyczne i kabaretowe wrażenia gwarantowane!

Kortez zainauguruje Satyrykon

W piątek, 12 czerwca, o godzinie 20:30 na dziedzińcu Akademii Rycerskiej na zakończenie i ukoronowanie emocji pierwszego dnia festiwalu wystąpi Kortez. Bilety dostępne są w Galerii Satyrykon (Rynek 36) oraz w serwisie na eBilet.pl w cenie 160 złotych (pula Last Call do 11 czerwca) oraz 175 złotych w dniu koncertu.

Koncert Korteza to bez wątpienia jedno z najciekawszych legnickich wydarzeń muzycznych tego sezonu! Publiczność ceniąca autorską muzykę, wyraziste teksty i autentyczną,



Kortez słynie z intensywnych, poruszających koncertów i zdystansowanego, konsekwentnego wizerunku

emocjonalną atmosferę będzie w swoim żywiole.

Kortez, czyli Łukasz Federkiewicz, ogólnopolską rozpoznawalność zdobył w 2015 roku debiutanckim albumem „Bumerang”. Jego muzyka łączy minimalistyczne aranżacje, osobiste teksty i charakterystyczny, chropowaty głos. Artysta porusza się na pograniczu alternatywnego popu, folku i piosenki autorskiej, konsekwentnie unikając łatwych etykietek.

Kortez słynie z intensywnych, poruszających koncertów i zdystansowanego, konsekwentnego wizerunku. Satyrykonowy występ odbędzie się w formule plenerowej, bez miejsc siedzących.

Kabaret Moralnego Niepokoju na dobry finał

W niedzielę, 14 czerwca, o 20:00 - także na dziedzińcu Akademii Rycerskiej - Kabaret Moralnego Niepokoju zapre-



Robert Górski i ekipa jak zawsze mieszają życiowe konkrety z abstrakcją, zmysłowością i ostrym cięciem

zentuje najnowszy program „100 procent”, pełen premierych skeczy, błyskotliwych obserwacji i humoru, z którego ta grupa jest znana.

Jak mawiał Forrest Gump: „Program Kabaretu Moralnego Niepokoju jest jak pudełko czekoladek - nigdy nie wiesz, na co trafisz, ale wiesz, że będzie super”.

I tak wydarzy się tym razem. Robert Górski i ekipa jak zawsze mieszają życiowe konkrety z abstrakcją, zmysłowo-

ścią i ostrym cięciem. Będzie 100% KMN w KMN - czyli dokładnie tak, jak lubicie. Scenę przejmą Mikołaj Cieślak, Przemysław Borkowski, Rafał Zbieć oraz Marta Podobas.

Kortez, czyli Łukasz Federkiewicz, ogólnopolską rozpoznawalność zdobył w 2015 roku debiutanckim albumem „Bumerang”.

Uwaga: program zawiera treści dotyczące relacji damsko-męskich oraz elementy wulgarne!

Bilety (w zależności od umiejscowienia: Sektor A - 140 zł | Sektor B - 120 zł | Sektor C - 100 zł) są dostępne w serwisie Biletyna.pl oraz w Galerii Satyrykon.

Szczegóły programu Satyrykonu będziemy odświeżać co piątek na łamach „Gazety Wrocławskiej”. Więcej informacji na stronie www.satyrykon.pl.

REKLAMA

0011523056



Latem zadbaj o zdrowie

- Zakwaterowanie
- 3 posiłki dziennie w formie bufetu szwedzkiego
- Konsultacja lekarska
- 2 zabiegi dziennie (oprócz niedziel i dni świątecznych)
- 90 min. dziennie w Strefie Relaksu (sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)
- Voucher do Integracja Cafe

52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320

medicalspa@solanki.pl, repcja@solanki.pl

www.solanki.pl



Odpowie za oszustwa kryptowalutowe na prawie ćwierć miliona złotych

Redakcja
Legnica

Prokuratura skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko 53-letniej lubiniance. Działając jako tzw. muł płatniczy, naraziła 9 osób na stratę w sumie 225 tys. zł.

Lubińska prokuratura zajęła się Wiesławą K. po sygnale Generalnego Inspektora Informacji Finansowej, że na rachunku bankowym 53-latkę w okresie dwóch miesięcy odnotowano przelewy od kilku osób, które następnie transferowano na giełdę kryptowalut. Ze śledztwa wynika, że Wiesława K. udostępniła swoje rachunki bankowe nieustalonym sprawcom, którzy wprowadzali pokrzywdzonych w błąd co do zamiaru wypłacenia zysków z rzekomych inwestycji w kryptowaluty. Na potrzeby procedury kobieta otworzyła liczne konta w różnych bankach.

Sprawcy wykorzystywali oprogramowanie AnyDesk, umożliwiające zdalne sterowanie systemem operacyjnym pokrzywdzonych. Pieniądze wpły-

wające na konta Wiesławy K. były niezwłocznie transferowane dalej, przewalutowywane lub konwertowane na kryptowalutę Ethereum (ETH), a następnie przesyłane na zewnętrzne portfele i giełdę HTX zarejestrowaną na Szeszelach. Za każdą taką operację oskarżona pobierała prowizję.

Akt oskarżenia obejmuje 30 zarzutów dotyczących pomocy w oszustwach oraz prania pieniędzy. Łączna suma wyłudzonych środków wyniosła prawie 225.000 zł. Największe kwoty strat to 77 729,00 zł, 36 800,00 zł i 32 481,00 zł (szkoda ta została już w całości naprawiona). Pozostali pokrzywdzeni stracili od 5 000 zł do ponad 23 000 zł.

Wiesława K. nie przyznała się do zarzucanych jej czynów i odmówiła składania wyjaśnień. W celu zabezpieczenia roszczeń pokrzywdzonych, prokurator ustanowił hipotekę przymusową na jej mieszkaniu - poinformowała Liliana Łukasiewicz z Prokuratury Okręgowej w Legnicy. 53-latkę grozi kara do 8 lat więzienia. Sprawę rozpatrzy Sąd Okręgowy w Legnicy.

Koło Głogowa chcą zbudować wieżę taką jak na Dzikowcu

Grażyna Szyszka
Głogów

Jest pomysł budowy wieży na Górze Jana w pobliżu Dalkowa. Fundacja zbiera podpisy, pisze pismo do starosty i szuka wsparcia samorządów.

Trwa zbiórka podpisów pod akcją „Tak dla wieży widokowej na Wzgórzach Dalkowskich”. Chodzi o budowę wieży na Górze Jana koło Dalkowa w gminie Gaworzycy, niedaleko Głogowa. Od 10 lat zabiega o to Fundacja na Rzecz Rodziny i Rewitalizacji Polskiej Wsi, jednak do tej pory nie udało się doprowadzić do realizacji inwestycji. A zainteresowanie wieżą jest ogromne. - Z tej atrakcji będą korzystać nie tylko mieszkańcy gminy Gaworzycy, powiatu polkowickiego czy głogowskiego, ale też osoby z wielu innych gmin. Mamy nadzieję, że akcja pokaże ogromny potencjał wspólnego działania samorządów i pozwoli rozpocząć przygotowanie dokumentacji wieży - mówi



Fundacja naciska na samorządy, by zbudowały wieżę na Górze Jana (229 m n.p.m.), która ściągnie turystów

Anna Gomułka, prezesa fundacji z Dalkowa. - Mówimy o kwocie około 200 tys. zł. Najprostszym rozwiązaniem byłoby wspólne finansowanie zadania przez samorządy.

Na początku roku w Głogowie odbyło się spotkanie samorządowców z gmin i miast kilku powiatów pogranicza Dolnego Śląska i Lubuskiego, poświęcone planom budowy oraz wspólnego finansowania wieży

widokowej na Wzgórzach Dalkowskich. Gospodarzem był prezydent miasta Rafał Rokaszewicz. Przyznał, że inwestycja nie jest ani łatwa, ani tania, ale wspólne działania mogą przynieść wymierne korzyści.

Budowa to koszt co najmniej 8 mln zł. Dla samej gminy Gaworzycy byłoby to zbyt duże obciążenie. Z pomocy przy sfinansowaniu dokumentacji nie wycofuje się

starosta polkowicki Kamil Ciupak, ale powiat nie wykonał dotąd żadnych działań. - Więcej szczegółów będzie wiadomo po naszym kolejnym spotkaniu z prezydentem Głogowa i wójtem Gaworzyc, które mamy już w planach - zapewnia starosta.

Fundacja - nie czekając na wynik zapowiadanej spotkania, złożyła do starosty polkowickiego wniosek o zabezpieczenie 2 mln zł w budżecie 2026 r. na przygotowanie dokumentacji projektowej wraz z pozwoleniami i zabezpieczeniem wkładu własnego.

Inspiracją dla fundacji jest wieża widokowa na Dzikowcu Wielkim w Górach Kamiennych k. Boguszowa-Gorców. Obiekt otwarty w lutym 2025 roku ma 38,5 m wysokości, taras widokowy znajduje się na poziomie 32,5 m. W efekcie inwestycji na Dzikowcu turystyka tam odżyła, rozwinęła się gastronomia, handel, baza noclegowa, punkty usługowe. Wiele osób może prowadzić biznes i zarabiać. - U nas może być podobnie - zaznacza Anna Gomułka.

0011528070

REKLAMA

0011486419

Z wielkim żalem i smutkiem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci

śTp

**Walerii Wandy
Zakałużnej**

wieloletniej współpracownicy
Telewizji Polskiej S.A. Oddział we Wrocławiu.

Wyrazy współczucia
Rodzinie i Bliskim
składają

Dyrektor, pracownicy i współpracownicy
Telewizji Polskiej S.A. Oddział we Wrocławiu

AUTOPROMOCJA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Kondolencje i nekrologi
w Twojej gazecie zlecisz
bez wychodzenia z domu
przez Internetowe
Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

ZAKŁADY POGRZEBOWE

● „ABEL” – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowa organizacja pogrzebów i kremacji. Całodobowe przewozy zmarłych z domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe, kom. 502-922-708, 71/355 92 23 ul. Św. Wincentego 10 A.

● „ADORIA” Usługi Pogrzebowe. Tanie, profesjonalnie i bezgotówkowo. Całodobowy odbiór ciała z dowolnego miejsca. Pożegnania i kremacje. Obsługa ekskluzywnym karawanem. Biuro na terenie cm. Osobowice 59a - wszystkie sprawy w jednym miejscu. Tel. całodobowy 71 352 52 05 lub 503 33 83 84.

● „ANUBIS” – kompleksowe usługi pogrzebowe - profesjonalnie - bezgotówkowo. Dom Pogrzebowy, biuro i własna kaplica i chłodnia, organizowanie pożegnań przed kremacją oraz czuwanie przy zmarłym przed pogrzebem tradycyjnym

w godzinach dogodnych dla klienta. Wrocław, ul. Szpacza 32/34, tel. 71 350 01 01 całodobowy. Biuro: Wrocław, ul. Dubois 20, Wróblowice, ul. Stawowa 5. Całodobowe przewozy zmarłych kraj i zagranicą. Załatwianie formalności również w domu klienta. Telefony całodobowe 71 328 83 85, 723 030 303.

● „ARCHON” – Zakład Pogrzebowy tel. 71 332 60 60 – całodobowe przewozy zmarłych. Własna chłodnia i kaplica, rozliczenia bezgotówkowe, wyrabianie aktów zgonu i wszystkich formalności ZUS i USC. Obsługa ceremonii pogrzebowych ekskluzywnym karawanem Mercedes Pilato gratis.

Nasze oddziały: Włodkowica 37, Hallera 112, Bogusławskiego 33, Traugutta 67, Skłodowskiej-Curie 49, Kiełczowska 90 (cm. komunalny), Krzywoustego 287, Trzebnicka 67,

ul. Kiełczowska 90, tel. 71 345 73 43

ul. Grabiszyńska 101, ul. Zaporoska 83, www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● „WITWICCY” Zakład Usług Pogrzebowych, Producent Trumien. Całodobowy przewóz zmarłych. Rozliczamy ZUS, KRUS, WBE, MSWiA w zakładzie. Własna chłodnia. Kompleksowo. Solidnie! Wrocław Borowska 254 - naprzeciw Akademii Medycznej, Wrocław Kościuszki 67/1a – róg Gwarnej, Krzyżowice ul. Główna 14 gm. Kobierzyce, Sobótka ul. Św. Anny 19/1, 71/889-00-60, www.zakladpogrzebowy24.pl

● CAŁODOBOWE PRZEWOZY ZMARŁYCH dla miasta Wrocławia i Dolnego Śląska. Najniższe ceny. Tel. 502-922-708, 71 322-60-16.

● KREMATORIUM – ARCHON, ul. Kiełczowska 90, tel. 71 345 73 43

- całodobowo. Kompleksowe usługi kremacyjne i pogrzebowe, ustalanie terminów. Całodobowy odbiór osób zmarłych z domu, szpitali, hospicjów. www.krematorium.wroclaw.pl

● MIĘDZYNARODOWE PRZEWOZY ZMARŁYCH, tel. 71/332-60-60 – całodobowo. Przewóz zmarłych i prochów z państw całego świata. Załatwiamy wszelkie pozwolenia i formalności. Posiadamy licencję na transport zmarłych z Francji. www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● ROCH – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowo, kompleksowo. Całodobowe przewozy zmarłych z domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe 71/322 60 16, kom. 502-922-708, Wrocław, ul. Św. Wincentego 10 a (dawna Obrońców Pokoju).

Dzisiaj pożegnamy

Pogrzeby 22 maja
● GRABISZYN
Ewa Trząsalska g. 9.00
Danuta Knecht g. 11.00
● OSOBOWICE
Irena Rachwalska g. 9.20
Krzysztof Łątka g. 10.00

Stanisław Ratuszniak g. 10.40
Paweł Gojcz g. 11.20
Justyna Daniela Właderna g. 12.00
Janina Gramatyka g. 12.40
Bogumił Henryk Kobieracki g. 13.20
Benita Wyka g. 14.00
Krystyna Agnieszka

Śnieguła g. 14.40
Jacek Eugeniusz Cwynar g. 15.20
● JERZMANOWO
Helena Żądło g. 9.00
● PSIE POLE
Jarosław Pawłowicz g. 8.00
Barbara Dąbrowska g. 9.00
Maria Sacha g. 10.00

Stanisław Woś g. 11.00
Krzysztof Uziębło g. 12.00
Lesław Jelenik g. 13.00
Bogusława Perkiwicz g. 14.00
Ewa
● GRABISZYN
Stanisław Józwick g. 13.00
Zarząd Cmentarzy Komunalnych,
pl. Strzelecki 19/21, 50-224 Wrocław

POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

ZĄBKI

Tragedia w żłobku

Prokuratura Rejonowa w Wólminie wszczęła śledztwo w sprawie śmierci 2-letniego dziecka w sąsiedztwie jednego ze żłobków w Ząbkach pod Warszawą.

W sprawie zatrzymano dwie opiekunki w wieku 53 i 48 lat - poinformowała w czwartek rzeczniczka Prokuratury Warszawa-Praga prok. Karolina Staros.

W środę po południu na terenie żłobka w oczku wodnym znaleziono zwłoki prawie dwuletniego dziecka. Rzeczniczka prokuratury doprecy-

zowała, że oczko wodne znajdowało się posesji, na której jest żłobek.

Zwłoki ujawniły osoby przebywające w tym żłobku, niezwłocznie podjęły reanimację. Następnie ta reanimacja została przyjęta przez funkcjonariuszy policji, a następnie przez ratowników. Okazała się jednak bezskuteczna, stwierdzono zgon chłopca - zaznaczyła prok. Staros.

Przesłuchiwani są świadkowie, gromadzona jest też dokumentacja dotycząca funkcjonowania tej placówki.

WARSZAWA

Warszawa pożegnała aktorkę



FOT. PAP/MARCIN OBARA

Wczoraj w Warszawie odbył się pogrzeb aktorki Stanisławy Cełińskiej. Uroczystości pogrzebowe rozpoczęła msza w Kościele Środowisk Twórczych na Placu Teatralnym. Artystka została pochowana na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Aktorka zmarła 12 maja w wieku 79 lat.

SENAT

Bez referendum ws. klimatu

Senat nie wyraził w środę zgody na zarządzenie przez prezydenta Karola Nawrockiego referendum w sprawie unijnej polityki klimatycznej. Przeciwno podjęciu uchwały w tej sprawie było 62 senatorów, za opowiedziało się 32, od głosu wstrzymała się 1 osoba. Na początku maja prezydent skierował do Senatu wniosek o przeprowadzenie 27 września br. referen-

endum w sprawie unijnej polityki klimatycznej. Według wniosku pytanie miało brzmieć: „Czy jest Pani/Pan za realizacją polityki klimatycznej, która doprowadziła do wzrostu kosztów życia obywateli, cen energii i prowadzenia działalności gospodarczej i rolniczej?”. Zgodnie z prawem to senatorowie muszą wyrazić zgodę na za referendum.

STRASBURG

Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał, że w 2008 roku Polska naruszyła art. 6 Konwencji Praw Człowieka, dotyczący prawa do sądu. ETPCz rozpatrywał skargę asesorów sądowych, którym ówczesny prezydent RP Lech Kaczyński odmówił w 2008 r. powołań na stanowiska sędziowskie. Trybunał nakazał wypłacenie każdemu z powodów kwoty 13 tys. euro tytułem zadośćuczynienia.



Odmowa prezydenta powołania na urząd sędziego połączona z brakiem kontroli sądowej stanowi naruszenie prawa do sądu

Dariusz Mazur wiceszef ministerstwa sprawiedliwości

Amerykańscy żołnierze w Polsce. Polityczna ofensywa trwa

Dorota Kowalska
Warszawa

Najważniejszy wniosek z rozmowy z administracją w Białym Domu jest taki, że USA utrzymają wysoką obecność wojskową w Polsce – oświadczył w środę w Waszyngtonie wiceminister obrony narodowej Cezary Tomczyk.

Rozmowy, podróże do Waszyngtonu, zapewnienia o bezpieczeństwie Polski - zamieszanie wokół rozmieszczenia amerykańskich wojsk w Europie, także Polsce, trwa.

Szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz i szef Sztabu Generalnego WP gen. Wiesław Kukuła spotkali się w środę z zastępcą przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów wojsk USA gen. Christopherem Mahoneyem. We wtorek szef MON kontaktował się z szefem Pentagonu Petem Hegsethem

- Wczoraj i dzisiaj zostałem zapewniony po raz kolejny o tym, że Polska jest modelowym sojusznikiem. Jest niezwykle ważnym partnerem, jeżeli nie najważniejszym partnerem Stanów Zjednoczonych w Europie, że spełnia wszystkie oczekiwania budowy silnego sojuszu i inwestycji w bezpieczeństwo - powiedział wicepremier po spotkaniu.

Kosiniak-Kamysz podkreślił też, że od pierwszych doniesień medialnych o zmniejszeniu



FOT. ADAM JANKOWSKI

Tomczyk stwierdził, że komunikaty samej administracji amerykańskiej „ewoluują” w dobrym kierunku

liczby wojsk amerykańskich w Europie uspokajał, iż nie ma decyzji o zmniejszeniu zaangażowania Amerykanów w Polsce.

- To zostało wczoraj potwierdzone. (...) Prowadzimy racjonalną, spokojną politykę współpracy, nie poprzez emocje, nie poprzez jednodniowe jakieś wydarzenia, tylko strategiczną, i żaden szum informacyjny, który czasem powstaje, nie zakłóci tej relacji - zapewnił.

Do Waszyngtonu poleciał wiceminister obrony Cezary Tomczyk, który spotkał się z doradcą prezydenta USA ds. bezpieczeństwa i wiceszefem Rady Bezpieczeństwa Narodowego Andrew Bakerem. Po rozmowie oświadczył, że „najważniejszy wniosek” jest taki, iż USA utrzymają wysoką obecność wojskową w Polsce.

Tomczyk zwrócił uwagę, że „od komunikatów, które były bardzo niepokojące, przeszliśmy do komunikatu, który dotyczy opóźnień i przesunięć, które dotyczą terminu, a nie faktu”.

O utrzymaniu silnego zaangażowania USA zapewniał także jeden z wiceszefów Pentagonu Elbridge Colby podczas rozmowy z szefem BBN Bartoszem Grodeckim. Jak przekazało BBN, Colby podkreślił, że Polska może liczyć na utrzymanie silnego zaangażowania wojskowego USA. Sam Grodecki ocenił rozmowę jako „dobrą, otwartą i partnerską”. Dodał, że został zapewniony, iż USA traktują Polskę jako „wzorowego sojusznika” i że „jako kraj możemy liczyć na utrzymanie mocnego zaangażowania sił amerykańskich”.

Pojawiły się też nieoficjalne informacje o tym, że o rozmowie z Donaldem Trumpem w sprawie rozmieszczenia amerykańskich wojsk w Europie stara się prezydent Karol Nawrocki.

Szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz tłumaczył, że podczas ostatniej rozmowy Nawrockiego z Trumpem, która miała miejsce 3 maja, nie poruszono kwestii relokacji amerykańskich żołnierzy.

- Gdyby to padło, to byśmy od razu zaczęli w tej tematyce aktywnie działać. Nie padło, dlatego że to nie jest decyzja Białego Domu, tylko to jest decyzja na poziomie Pentagonu - tłumaczył Przydacz.

I chwalił Władysława Kosiniaka-Kamysza, który, jak to określił, „stara się robić bardzo dużo, aby te wojska utrzymać”.

Polityk pytany był również, czy istnieją obecnie jakiekolwiek szanse, aby przekonać Trumpa i administrację amerykańską do budowy stałej bazy wojsk USA w Polsce.

- Jest bardzo duża szansa i ostatnie rozmowy raczej to potwierdzają. (...) Stała baza jest naszym interesem - powiedział.

Nawrocki i Trump pojawiają się na szczycie NATO, który odbędzie się 7-8 lipca w stolicy Turcji, Ankarze.

- Wtedy na pewno panowie prezydenci ze sobą będą rozmawiać, czy to w węższym, czy w szerszym formacie - dodał. PAP

Zatrzymani Polacy opuszczą Izrael. Sikorski chce zakazu wjazdu do Polski dla izraelskiego ministra

Karolina Wrońska
Warszawa

Radosław Sikorski zdecydował się zwrócić z wnioskiem do MSWiA, aby izraelski minister bezpieczeństwa narodowego Itamar Ben Gwir otrzymał zakaz wjazdu na terytorium Rzeczypospolitej.

Rzecznik MSZ przekazał tę informację na briefingu w Warszawie. Ma to związek z opublikowanym w środę przez izraelskiego mini-

stra bezpieczeństwa narodowego Itamara Ben Gwira nagraniem. Widać na nim, jak szydzi z zatrzymanych aktywistów Global Sumud Flotilla. Pokazano tam m.in. kilkudziesięciu klęczących na ziemi aktywistów, podczas gdy Ben Gwir macha izraelską flagą i krzyczy po hebrajsku: „Witamy w Izraelu, to my tu rządymy”. Nagranie to spotkało się z krytyką wielu państw. Potępiło je polskie MSZ, a także resorty m.in. Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec i Włoch.

Sikorski poinformował w czwartek na platformie X, że „Polska stanowczo potępia postępowanie przedstawicieli władz Izraela wobec zatrzymanych przez armię izraelską aktywistów Global Sumud Flotilla, wśród których znajdują się polscy obywatele”.

- Jeszcze w czwartek polscy obywatele, którzy brali udział w Globalnej Flotylli Sumud i zostali zatrzymani przez izraelskie służby, opuszczą Izrael - poinformował w czwartek rzecznik MSZ

Maciej Wewiór. Zaznaczył, że są to dwie osoby.

Mówiąc o stanie polskich obywateli zatrzymanych przez Izrael, Wewiór podkreślił na briefingu w Warszawie, że polscy konsulowie od początku byli w miejscach, do których mieli oni trafić - w tym w porcie Aszdod, dokąd zostali przewiezieni. Jednocześnie, podkreślił, polscy dyplomaci pracowali nad tym, by zatrzymani rodacy jak najszybciej odzyskali wolność. PAP

Trzęsienie ziemi nawiedziło południowe Włochy

oprac. Anna Nagel
Rzym

Niewielkie szkody i duży strach wśród mieszkańców wywołało w czwartek rano trzęsienie ziemi w na południu Włoch.

Wstrząs był odczuwalny w kilku dzielnicach Neapolu. Tam i w okolicznych miejscowościach zamknięto szkoły.

Epicentrum wstrząsu o magnitudzie 4,4 znajdowało się na morzu na głębokości ponad 3 km - podał krajowy Instytut Geofizyki i Wulkanologii.

Lokalne władze informują o niewielkich szkodach i strachu wśród mieszkańców w neapolitańskich dzielnicach, w tym w historycznym centrum oraz w Pozzuoli i miejscowościach Bacoli, Qualiano, Quarto i na wyspie Procida.

Wstrzymany został ruch kolejowy, a na krótko także kursowanie metra w Neapolu. Wszędzie prowadzone są kontrole budynków oraz dróg.

Włoska Obrona Cywilna ogłosiła, że otwarty został teren dawnej bazy NATO w neapolitańskiej dzielnicy Bagnoli dla tych mieszkańców, którzy będą ewentualnie potrzebowali schronienia.

Było to jedno z najsilniejszych trzęsień ziemi w rejonie Pół Flegrejskich w ostatnim czasie. Pola Flegrejskie to położona w okolicach Neapolu kaldera wulkanu o średnicy 12-15 kilometrów. Pod nią znajduje się ogromne jezioro płynnej magmy. Na terenie tym mieszka około 80 tys. osób. Zwiększona aktywność sejsmiczna wywołuje tam rosnący niepokój ludności. Opracowywane są plany masowej ewakuacji PAP

Radio uśmierciło brytyjskiego króla Karola. Rozgłośnia przeprosiła

Adam Kielar
Londyn

Brytyjskie Radio Caroline musiało przeprosić swoich słuchaczy za uruchomienie protokołu „Śmierć monarchy”. W ostatni wtorek rozgłośnia poinformowała, że król Karol III nie żyje.

Radio Caroline, które nadaje w rejonie południowej Anglii oraz Midlands w Wielkiej Brytanii podało we wtorek, 19 maja, że... król Karol III nie żyje.

Wówczas stacja rozpoczęła procedurę „Śmierć Monarchy”. Przerwano program, prowadzący powiedział, że to dlatego, że monarcha zmarł, następnie odtworzono brytyjski hymn („God save the King” - „Boże chroń króla”).

Przez 15 minut radio milczało, po czym nastąpił powrót na antenę i spikerzy przeprosili za błąd.

W końcu rozgłośnia wydała komunikat w tej sprawie.

„Z powodu błędu komputerowego w naszym głównym studiu, po południu we wtorek 19 maja została przypadkowo aktywowana procedura Śmierć Monarchy, którą wszystkie stacje w Zjednoczonym Królestwie mają przygotowaną, mając nadzieję, że nie będą musiały jej użyć. Przeprosimy, że ogłosiliśmy, że odszedł Jego Wysokość Król” - czytamy w oświadczeniu.

Jak zaznaczono, Radio Caroline zamilkło zgodnie z procedurą, co zaalarmowało władze stacji i skutkowało przywróceniem nadawania i wygłoszeniem przeprosin.

Kuba na celowniku USA. Castro oskarżony o morderstwo

Grzegorz Kuczyński
Waszyngton

Jak wynika z dokumentów sądowych opublikowanych w środę, były prezydent Kuby Raul Castro został w USA postawiony w stan oskarżenia pod zarzutem morderstwa.

Akt oskarżenia przeciwko Raulowi Castro, złożony w sądzie federalnym w Miami, zawiera jeden zarzut spisku w celu zabicia obywateli USA, cztery zarzuty morderstwa oraz dwa zarzuty zniszczenia samolotu, jak wynika z dokumentów sądowych. W sprawie jako oskarżonych wymieniono również pięć innych osób.

Ogłoszenie zarzutów odbyło się przed Freedom Tower w Miami, budynkiem uważanym za symbol kubańskiej emigracji i zbiegło się z obchodzonym 20 maja Dniem Niepodległości Kuby.

Ma to miejsce w momencie, gdy prezydent USA Donald Trump naciska na zmianę reżimu na Kubie, gdzie komunści sprawują władzę od czasu, gdy Fidel Castro przeprowadził rewolucję w 1959 roku.

Sprawa z 1996 roku

Przedstawiciel Departamentu Sprawiedliwości USA powiedział w zeszłym tygodniu agencji Reuters, że przewidywane zarzuty wobec Raula Castro opierają się na incydencie z 1996 roku, w którym kubańskie



Raul Castro to brat przywódcy rewolucji kubańskiej, a potem jego następcą

myśliwce zestrzeliły samoloty obsługiwane przez grupę kubańskich emigrantów.

W oświadczeniu wydanym w środę Trump nazwał Kubę „państwem zbuntowanym, udzielającym schronienia wrogim siłom zbrojnym” i przedstawił działania swojej administracji dotyczące tej karaibskiej wyspy jako część szerszych wysiłków na rzecz rozszerzenia wpływów USA na półkuli zachodniej.

Prezydent powiedział, że Kuba się „rozpada”, a reżim traci kontrolę nad sytuacją. Odmówił odpowiedzi na pytanie,

czy Raul Castro podzieli los Nicolasa Maduro i zostanie pojmany przez USA.

- Mamy mnóstwo ludzi na Kubie. Mamy tam CIA. (Sekretarz Stanu - PAP) Rubio stamtąd pochodzi, więc mamy duże doświadczenie. Zamierzamy pomóc Kubańczykom.

Akt oskarżenia przeciwko Raulowi Castro, (...) zawiera jeden zarzut spisku w celu zabicia obywateli USA, cztery zarzuty morderstwa

Wyzwalamy Kubę - powiedział dziennikarzom Trump w bazie Andrews po powrocie z Connecticut.

Pytany przez dziennikarzy, czy Kubańczycy powinni spodziewać się „jakieś eskalacji”, Trump odparł: „Nie, nie będzie eskalacji. Nie sądzę, żeby była potrzebna. Ten kraj się rozpada. To jest bałagan, a oni w zasadzie stracili kontrolę nad Kubą”.

Sankcjami w członków reżimu

Jedenastu wysokich rangą urzędników państwowych Kuby zostało objętych sankcjami przez władze USA. Wśród nich, jak przekazało we wtorek Radio Marti, jest trzech członków rządu Kuby.

Rozgłośnia, powołując się na informacje amerykańskiego ministerstwa finansów, sprecyzowała, że wśród objętych sankcjami jest minister energii i przemysłu wydobywczego Vicente de la O Levy, rzeczniczka rządu Mayra Arevich Marin i szefowa resortu sprawiedliwości Rosabel Gamon Verde. W gronie urzędników ukaranych sankcjami jest też przewodniczący Zgromadzenia Narodowego Esteban Lazo.

Według Radia Marti sankcjami objęto też szefa kontrwywiadu wojskowego Jose Miguela Gomeza del Vallina oraz członka biura politycznego komitetu centralnego Komunistycznej Partii Kuby Roberto Moralesa Ojedę.

Przyspieszone wybory w Izraelu. Premier Benjamin Netanjahu może stracić władzę

oprac. Daniel Świerzewski
Jeruzolima

Izraelski parlament zatwierdził w środę projekt ustawy o samorozwiązaniu, co potencjalnie przyspieszy kolejne wybory parlamentarne o kilka tygodni. Według sondaży Netanjahu może je przegrać.

Projekt ustawy trafi teraz do komisji, gdzie uzgodniona zostanie data wyborów. Następnie wróci pod ostateczne głosowanie, wymagające poparcia co najmniej 61 ze 120 członków Knesetu.

Do głosowania doszło po tym, gdy partia Zjednoczony Judaizm Tory, reprezentująca ultraortodoksyjnych żydów i tradycyjny sojusznik Netanjahu, zapowiedziała w ubiegłym tygodniu, że wraz z opozycją będzie dążyć do przedterminowych wyborów.



Netanjahu powrócił do władzy w 2022 roku

Liderzy ugrupowania oświadczyli, że zdecydowali się na ten krok, ponieważ koalicja Netanjahu nie wywiązała się z obietnicy przyjęcia ustawy zwalniającej ich społeczność z obowiązkowej służby wojskowej.

Próbując przejąć kontrolę nad procesem, koalicja sama zło-

żyła tydzień temu projekt ustawy o rozwiązaniu Knesetu.

W Izraelu wybory parlamentarne powinny odbywać się co cztery lata, jednak przedterminowe głosowania zdarzają się często. Ostatnie wybory odbyły się w listopadzie 2022 roku, a kolejne muszą zostać przeprowadzone najpóźniej do 27 października. Kwestia przyspieszonych wyborów nie budzi w Izraelu dużego zainteresowania, ponieważ głosowanie i tak miało się odbyć w najbliższych miesiącach.

Po ostatnich wyborach Netanjahu wrócił do władzy, tworząc najbardziej prawicową koalicję w historii Izraela. Niecały rok później reputacja tego polityka jako gwaranta bezpieczeństwa została podważona, gdy 7 października 2023 roku Hamas zaatakował południe kraju. Od tego czasu sondaże pokazują, że koalicja Netanjahu nie zdoby-

łały większości parlamentarnej. Istnieje jednak także możliwość, że partie opozycyjne nie zdołają utworzyć koalicji, co pozostawiłoby Netanjahu na czele rządu tymczasowego do czasu przełamania politycznego impasu.

Taka sytuacja miała już miejsce wcześniej. Przed wyborami w 2022 r. w Izraelu miała miejsce seria pięciu nierozstrzygniętych wyborów w ciągu niespełna czterech lat. Głównym rywalem Netanjahu jest Naftali Benet, były współpracownik premiera, który odsunął go od władzy po wyborach w 2021 roku i sam został premierem.

Prawicowiec Benet połączył siły z liderem centrolewicowej opozycji Jairem Lapidem, tworząc nową partię Razem, która według sondaży może liczyć na tyle samo głosów co Likudem Netanjahu.

REKLAMA 0011527487

WYCiąG Z OGŁOSZENIA O PRZETARGU

Burmistrz Miasta Poręba informuje, że na stronach internetowych bip.umporeba.pl oraz www.umporeba.pl, a także na tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta Poręba, ul. Dworcowa 1, 42-480 Poręba, w terminie od dnia 22.05.2026 r. zostanie zamieszczone na okres min. 2 miesięcy ogłoszenie o I przetargu ustnym nieograniczonym na sprzedaż nieruchomości stanowiących własność Gminy Poręba, położonych w Porębie. Przetarg odbędzie się w siedzibie Miejskiego Ośrodka Kultury w Porębie, ul. Mickiewicza 2, 42-480 Poręba.

Oznaczenie nieruchomości, numer działki	Powierzchnia nieruchomości [ha]	Nr księgi wieczystej	Cena wywoławcza brutto w zł	Wysokość wadium w zł	Przeznaczenie nieruchomości w MPZP	Data i godzina przetargu
9950/14 Obreb Poręba	0,9900	CZ1Z/00032475/5	600 000,00	60 000,00	W MPZP nieruchomości oznaczona symbolem: 12U - teren usług	5.08.2026 r. godz. 10:00 MOK Poręba Sala konferencyjna

Wadium płatne do 29.07.2026 r. Dodatkowe informacje uzyskać można w Urzędzie Miasta Poręba, ul. Dworcowa 1, w Referacie Nieruchomości i Gospodarki Komunalnej, pokój nr 5 - pod numerem telefonu 32 67 71 203.

LEWANBOSKI



PULS
#217

JUŻ NIE PA, PA, POLSKO, ALE PA, PA, ANGLIO. NASI ZAMIENIAJĄ HELLO NA DZIEŃ DOBRY

Bydgoszczanin poleciał ponad 20 lat temu do Anglii w koszulce z napisem „Ostatni gasi światło” – w Polsce z ponad 15-procentowym bezrobociem. A dziś? Emigranci wracają z dziećmi, które Polskę znają tylko z wakacji raz w roku. Tęsknili, żeby być u siebie, wśród swoich

Agnieszka Domka-Rybka

W marcu 2006 r. po raz pierwszy wsiadłam na pokład Ryanaira z Bydgoszczy do Wielkiej Brytanii. Wtedy nie latał jeszcze samolot do Dublina, gdzie do dziś mieszka moja koleżanka, więc miałam przesiadkę na lotnisku Londyn Stansted. Dlaczego w ogóle o tym wspominać? Bo nie zapomnę chłopaka obok mnie na fotelu, który przeżył muskuły w koszulce z napisem: „Ostatni gasi światło”. Król życia mówiący: „Pa, pa, Polsko”...

Wymowne, bo wtedy bezrobocie w naszym kraju sięgało ponad 15 proc. Trudno się dziwić, że szczytowy okres migracji zarobkowej przypadł właśnie na lata 2006-2007, kiedy to w Anglii mieszkało i pracowało ponad milion naszych rodaków.

„Bałem się powrotu, ale to była słuszna decyzja”

Obecny trend jest odwrotny. Dziś Polacy opuszczają United Kingdom. Z najnowszych danych GUS wynika, że w ostatnich latach z Wielkiej Brytanii wróciło do Polski ponad 130 tys. rodaków. Po latach żegnają też Irlandię, Holandię, Niemcy, Skandynawię czy nawet USA i Australię. Emigracja zweryfikowała ich marzenia o rajach za granicą?

Ostatnie dane regionalne GUS, dotyczące powrotów do Kujawsko-Pomorskiego, są z 2024 r., kiedy wróciło tu 699 osób, głównie z Anglii, Niemiec, Holandii i Irlandii. Wyjechało mniej, bo 461.

W mediach społecznościowych powstaje coraz więcej tzw. grup wsparcia dla powracających do Polski. Łatwo nie jest, bo tutaj żyjemy teraz w innym świecie niż ten, z którym się przed laty pożegnali. Najgorzej podjąć taką decyzję, gdy za granicą urodziły się dzieci, chodzą tam do szkoły, czy też mieszanym małżeństwem. Jednak i takie rodziny decydują się na powrót.

Znają świetnie język angielski, ale czy to dziś wystarczy, żeby w Polsce dostać dobrą pracę, gdy wiele osób tutaj też zna języki? Niektórzy wracają ze zwierzętami.



Wielka Brytania była głównym celem polskiej emigracji zarobkowej po wejściu Polski do UE, gromadząc ponad milion Polaków. Obecnie trend się odwrócił

O co pytają nasi emigranci? Od dłuższego czasu obserwuję grupę „Powrót z emigracji do Polski”, skąd podzielę się kilkoma spostrzeżeniami.

Pani Anna: „Mam 49 lat. Planuję powrót z UK po ponad 20 latach, mam 3 angielskie dyplomy (Bsc Psychologia, mgr odżywiania i mgr dietetyki), czy mam w Polsce szanse na znalezienie pracy, niekoniecznie w zawodzie?”

Pani Joanna: „Ja mam dwa kierunki studiów i dyplomy z Food Technology z Australii. Niestety, w Polsce nie mogę znaleźć pracy w zawodzie, w ogóle nie akceptują moich studiów i praktyki zdobytej w Australii i UK. Prowadzę działalność, ale zupełnie nie jest związana z zawodem. I też mi pięćdziesiątka stuknęła”.

Pani Ewa: „Po 15 latach chciałam wrócić do kraju. Mam partnera Brytyjczyka, chcemy wziąć ślub w Polsce zaraz po przyjeździe. Nie wiem, od czego zacząć, żeby ogarnąć mu pobyt na stałe. Mamy dwójkę dzieci z podwójnym obywatelstwem”.

Pani Magda: „To była najgorsza moja decyzja w życiu, że przed laty wyjechałam do Anglii, ale tutaj urodziłam dzieci. Synek ma dwa latka, a córka kończy szkołę. Czekamy na wakacje, Zuzia na studia pojedzie już w Polsce. Nie mogę się docze-

kać. Mam tak dość drożyzny, deszczu i wykładzin śmierdzących wilgocią w wynajmowanym 100-letnim domu. Mam nawet dość podwójnego kranu”.

Pan Tomasz: „Od ponad 20 lat przebywam na obczyźnie, Polskę odwiedzam z reguły na kilka tygodni w roku. Jakies 10 lat temu zacząłem zastanawiać się nad powrotem i do dzisiaj pozostaje to raczej, niestety, marzeniem ściętej głowy. Odkąd pojawiła się myśl o powrocie, mam wrażenie, że w Polsce jest z roku na rok coraz gorzej. Mam na myśli aspekt finansowy - ceny i zarobki. Wiadomo, „morza szum, ptaków śpiew, złota plaża pośród drzew” i tym podobne klimaty to jest to, za czym wszyscy tęsknimy. Czytając Wasze posty, zazdroszczę ludziom, którym udało się powroty. U mnie zanoszę, niestety, takie szczęście dopiero na emeryturze. Ale poczekam, warto. Pozdrawiam”.

Pani Wioletta: „Mam 13-letnią córkę i 14-letniego syna, którzy nie chcą wracać. Twierdzą, że dla nich nasz powrót, rodziców, to dla nich emigracja do kraju, który znają tylko z wakacji raz w roku. Chyba poczekamy z mężem jeszcze z 10 lat i wrócimy, jak dzieci się usamodzielnia. Jednak chciałabym poznać opinie osób, które wyjeżdżają mimo sprzeciwu dzieci. Jak one sobie poradziły

w Polsce? Może sobie nie poradziły i wróciliście z powrotem? Co ich przekonało do Polski? Nadmienię, że oboje płynnie mówią po polsku, ale nie piszą i nie czytają w tym w języku”.

Pan Rafał: „8 miesięcy temu wróciłem do Polski z UK po 13 latach. Mam 35 lat, jestem singlem, ze średnim wykształceniem technicznym. Odłożyłem za granicą wystarczająco na wkład własny do kredytu hipotecznego na średniej wielkości mieszkanie. Z UK przywiozłem też ze sobą motocykl. Certyfikat kompetencji z tego, czym się zajmuję oraz bardzo dobrą znajomość języka angielskiego wystarczyły, żeby znaleźć w Polsce dobrze płatną pracę w IT na podobnym stanowisku, które piastowałem przez ostatnie 3 lata w Anglii - Service Now Administrator. Pracuję z domu 99 procent czasu. Jestem zatrudniony na umowie o pracę, która właśnie została przedłużona na czas nieokreślony, więc wkrótce zamierzam wziąć kredyt hipoteczny i iść na swoje. Chociaż biurokracja w Polsce jest nadal dosyć dużym problemem, to w urzędach spotykam uprzejmych, rzetelnych ludzi, którzy chcą pomóc. Ani razu przez tych 8 miesięcy nie spojrzałem wstecz z żalem. Bałem się powrotu, ale okazał się słuszną decyzją. Jasne, tęsknię za pewnymi miejscami i osobami w UK, ale nie za życiem tam. W Polsce jest bezpiecznie,



Polacy wyjechali do Irlandii głównie po 2004 r., po wejściu Polski do UE, tworząc tam największą mniejszość narodową

czyściej, spokojniej. Przede wszystkim jestem u siebie, wśród swoich. Asamoty nie przestały latać. Zawsze mogę polecieć odwiedzić starych znajomych i miejsca, za którymi tęsknię”.

Mają rodzinę w Polsce, ale przyjaźnił za granicą

Według Tomasza Marcysiaka, socjologa, profesora a Uniwersytetu WSB Merito w Toruniu, dla części emigrantów Polska istnieje w pamięci z lat 90., początku UE, biedniejsza, wspólnotowa, bardziej przewidywalna kulturowo: - Tymczasem wracają do kraju bardziej indywidualistycznego, cyfrowego, droższego, mniej religijnego niż kiedyś, więcej spolaryzowanego politycznie i przede wszystkim z innym rynkiem pracy i stylem życia. Można to nazwać „odwróconym szokiem kulturowym”, ponieważ powrót bywa trudniejszy niż emigracja. Dla osób wyjeżdżających w wieku 20-30 lat Polska pozostaje ojczyzną. Dla ich dzieci, urodzonych w Anglii, Irlandii czy Holandii, ojczyzna bywa bardziej skomplikowana. Nadal mają polskie nazwisko, ale myślą po angielsku. Mają rodzinę w Polsce, ale przyjaźnił za granicą. Jeżeli nastolatek wraca do polskiej szkoły po latach w innym systemie edukacyjnym, to ma często ogromny stres, co może być ważniejszym czynnikiem procesu reemigracji niż zarobki rodziców.

Stąd szukanie wsparcia instytucjonalnego w grupach pomocowych w mediach społecznościowych - komentuje prof. Marcysiak. Mówi, że pewnym sensie takie nieformalne grupy są bardziej pomocne w adaptacji niż rodzina czy lokalna społeczność. Według danych GUS, około 1,5 mln Polaków nadal przebywa za granicą czasowo. W 2024 r. do Polski na stałe wróciło ok. 19,5 tys. osób, co było wzrostem o około 30 proc. względem roku wcześniejszego: - Choć jest to zauważalny trend, nie oznacza jeszcze masowego exodusu. Warto zauważyć, że na przykład w przypadku Niemiec pierwszy raz od ponad 25 lat wraca więcej osób, niż wyjeżdża. Niestety, nie ma jeszcze dokładnych danych o dzieciach migrantów, małżeństwach mieszanym czy trwałości powrotów. Tu widzę raczej miejsce dla badań. Sądzę, że nowy uczeń w szkole nie jest już dziś takim egzotycznym wydarzeniem, a to za sprawą dzieci z Ukrainy, które już od kilku lat z powodzeniem asymilują się z polskimi rówieśnikami. To, kto zostanie na dłużej lub na stałe, jest pytaniem otwartym. I pewnie dopiero za kilka lat będziemy mogli powiedzieć więcej o skuteczności organizowania się w nieformalne grupy na portalach społecznościowych i rzeczywistym efekcie reemigracji - podsumowuje socjolog. ©

KSIĄDZ I KUCHARKA. ZGORSZENIE CZY NAGONKA NA PROBOSZCZA?

Grono wiernych z tej parafii w Toruniu kilka razy chodziło do biskupa ze skargami na romans proboszcza. Ksiądz odpowiada: to wszystko pomówienia, a poza tym pani X. już w kuchni nie pracuje. Mówi, że czuje się ofiarą nagonki

Małgorzata Oberlan

Dajcie chłopu spokój”, „Lepsza baba niż ministrant”, „Natury nie oszukasz”, „Takie są skutki celibatu” - komentarze internautów w tym tonie dominowały pod naszą pierwszą publikacją na ten temat. I zaskoczyły grupę skarżących się wiernych z Torunia.

Dla nich, osób głęboko wierzących, sytuacja w parafii jest „nie do pojęcia i nie do zniesienia”. Mówią o trwającym publicznym zgorszeniu, hipokryzji, braku zdecydowanej reakcji biskupów. Fakt, że w roku 2026 relacja księdza z kobietą dla wielu ludzi nie jest już niczym szokującym, budzi ich autentycznie zdziwienie. Dobijając się ze swoją sprawą do różnych mediów liczyli na to, że ksiądz i kobieta zostaną potępieni. A tak się nie dzieje - tym bardziej że nie wiadomo tak naprawdę, co ich łączyło i łączy.

Poza tym ksiądz we własnej parafii naprawdę ma spore grono sympatyków i osób gotowych stawać w jego obronie.

Skarżący się parafianie: „Wszystko to jawne zgorszenie”

Duża parafia w Toruniu - tutaj rzecz się dzieje. Celowo nazw i personaliów w tekście nie podajemy. Poziom emocji w parafii i tak jest wysoki.

Wierni kontaktujący się z redakcją „Nowości” i szukający dróg nagłośnienia sprawy także w innych mediach mówią, że mają już tego wszystkiego dość. Związek proboszcza z panią X. spowodował już cały łańcuch złych wydarzeń i końca nie widać.

- Pani X. pracowała w kuchni na plebanii i tak to się zaczęło. Trudno było tego nie zauważyć. Przytulali się z proboszczem na widoku, wychodziła od niego z plebanii po nocach, razem wyjeżdżali nad morze. „Moja (tu: imię pani X.) będzie zawsze blisko mnie” - mówił proboszcz. A przy tym wszystkim nadal pani X. rządzi się w ko-



Ksiądz proboszcz twierdzi, że generalnie relacji o charakterze przyjacielskim nadano inny, krzywdzący wymiar. Rozpowszechnianie przez parafian takich „informacji” oraz skarczenie się do biskupa odbiera jako pomawianie, zniesławianie, hejt, a wręcz zaszczuwanie. Nie tylko jego samego, ale i „tej drugiej osoby”/zdjęcie ilustracyjne

ściele. Założyła wspólnotę, rozstawia innych po kątach, potrafi nawet zrucać wikariusza - skarżą się ludzie.

Według relacji tych wiernych wszystko to „jawne zgorszenie”. A kto się sprzeciwia czy protestuje, musi liczyć się z odwetem. Osoby, które interweniowały kilkakrotnie w ubiegłym roku w Kurii Diecezjalnej w Toruniu, otrzymały pismo od adwokata - w tonie zastraszającym, jak twierdzą. Same zatem też skorzystały z usług prawników. Ci m.in. zażądali dowodów na rzekome zniesławianie księdza i temat na gruncie prawnym przysechł.

- Nie mogąc tego wszystkiego znieść, sami odeszli z pa-

rafii dwaj zakrystianie. Wikary sam prosił biskupa o przeniesienie i już jest w innej parafii. Sytuacja jest dla osób wierzących nie do pojęcia inie do zniesienia. Ludzie odwracają się od takiego Kościoła - skarżą się wierni.

Grupka parafian w zeszłym roku najpierw napisała pismo do biskupa, a potem kilkakrotnie chodziła do Kurii Diecezjalnej Toruńskiej na spotkania. Przebieg części z nich dość dokładnie udokumentowała i dokumentację tę przekazała naszej redakcji. O spotkaniach - w dalszej części tekstu. Ich finał jest dla skarżących się generalnie niesatysfakcjonujący: bo relacja proboszcza i kobiety trwa, ich zdaniem, nadal.

Ksiądz proboszcz: „Odrzewany kotlet. Pani X. już w kuchni nie pracuje”

W rozmowie z naszą gazetą ksiądz proboszcz przekazuje, że generalnie relacji o charakterze przyjacielskim nadano inny, krzywdzący wymiar. Rozpowszechnianie takich „informacji” oraz skarczenie się do biskupa odbiera jako pomawianie, zniesławianie, hejt, a wręcz zaszczuwanie. Nie tylko jego samego, ale i „tej drugiej osoby”.

- Tamta strona chodziła do kurii kilka razy. Ja byłem raz składać wyjaśnienia przełożonym. To jedno spotkanie wystarczyło. Pani X. już w kuchni nie pracuje - mówi proboszcz.

Przyznaje, że kierował do osób skarżących się na niego pismo przez adwokata. I że od prawnika strony przeciwnej otrzymał odpowiedź. Wie, że w świetle prawa nie ma tutaj dowodów na to, by miał paść ofiarą jakiegoś czynu zabronionego (np. hejtu, pomawiania). Na gruncie czysto ludzkim jednak to on czuje się w tej sytuacji ofiarą - złych ludzkich języków.

- Czym, księdza zdaniem, kierują się skarżące się osoby? Jakie mają motywacje? Przecież to ludzie głęboko wierzący? - pytam księdza.

- Nie mam pojęcia, co im przyświeca. Ale raczej nie dbałość o dobro parafii - odpowiada.

Po naszej rozmowie i pierwszej publikacji (bez żadnych nazw, personaliów, szczegółów pozwalających zidentyfikować parafię i osoby), proboszcz przysłał jeszcze do naszej redakcji maila. Pisze w nim, że: „Sprawa została wyjaśniona i w kurii, i w parafii. A na pewno nie ma pożaru, żeby coś wrzało i narastało, bo to odrzewany kotlet. A skoro pewnych rozstrzygnięć nie chce przyjąć jedna czy dwie osoby... Nie chcę mówić źle o nikim, więc za mało mówię”.

Spotkania z biskupem. „Gdzie mam go przenieść w środku roku?”

Dla skarżących się tymczasem to nie żaden odrzewany kotlet, tylko trwająca nadal relacja z panią X. Uważają, że proboszcz i kobieta „wzięli biskupa na przeczekanie”. I mają do przełożonych kapłana żal i pretensje, że nie rozwiązali skutecznie problemu.

Jak wyglądały ich spotkania z jednym z biskupów w Kurii Diecezjalnej Toruńskiej? Po pierwsze, uczciwie trzeba oddać, że za każdym razem poświęcono im dużo czasu i uwagi. Po drugie, że z ust biskupa kilkakrotnie padły słowa o tym, że ksiądz dostał konkretne zalecenia w celu uzdrowienia relacji z panią X. i parafianami. Po trzecie wręcz, że

przy którymś z kolejnych spotkań biskupa miała już prawo rozboleć głowa od poziomu emocji... Starają się je tonować.

Skarżący się parafianie, szczególnie już po tym, jak otrzymali pismo od prawnika proboszcza, zaczęli naciskać na przeniesienie go do innej parafii.

- „Gdzie mam go przenieść w środku roku? Do (tu: nazwa wsi poza Toruniem)? Przecież tam pani X. też dojedzie” - takie mniej więcej słowa usłyszeliśmy - relacjonują.

Biskup starał się wytłumaczyć wiernym, w jakim położeniu jest także sam ksiądz. Nie krył, że od niego słyshał o złym stanie psychicznym mającym być skutkiem wywołania tematu. Proboszcz czuł się przez grupkę parafian wręcz śledzony, monitorowany, stalkowany. Wchodzenia z wiernymi na drogę sądową przełożony mu jednak nie zalecał, tak samo jak i im.

Generalnie liczył chyba na to, że po zwolnieniu z kuchni „konfliktogenicznej pani X.” obie strony (proboszcz i skarżący się) dadzą sobie przestrzeń, czas, uspokoją emocje i w przyszłości poprawnie przynajmniej ułożą stosunki. Padały też często słowa o tym, by „podejść ewangelicznie”, mieć dla siebie wzajemną wyrozumiałość - tak to wynika z relacji parafian.

Nasza redakcja o sytuacji w parafii i kroki, które przedsięwzięła Kuria Diecezjalna Toruńska zapytała jej rzecznika. - Informuję, że wyjaśnienia księdza proboszcza dotyczące tej sytuacji są zgodne z prawdą i wystarczające. A wtrosce odobra osobiste osób, o których mowa w artykule nie będą wypowiedzią się w tej sprawie - przekazał nam drogą mailową ks. Paweł Borowski.

Internetowa opinia publiczna: „Dajcie chłopu spokój!”

„Celibat powinien być zniesiony. Tyle w temacie” - spośród blisko trzystu komentarzy, które pojawiły się pod naszą pierwszą publikacją, ten - krótki i zwięzły - zebrał błyskawicznie ponad setkę polubień. O czym to świadczy? Przynajmniej o podejściu naszych internautów do podobnych spraw jak ta opisywana.

„Lepsza baba niż ministrant”, „Prawosławni od dawna nie mają z tym problemu”, „Dajcie chłopu spokój”, „Ewangelicy mają szczęśliwe rodziny” - komentarze w tym tonie dominują.

Widać wyraźnie, że zarówno ludzie dobrze znający realia opisywanej parafii oraz bohaterów tej historii, jak i ci nieznanający sprawy, skłonni są proboszcza rozgrzeszyć. Oczywiście, pod warunkiem, że w ogóle jest z czego - wszak on sam zapewnia przecież, że ten rzekomy romans to pomówienie. ©

Robert Lewandowski został pożegnany na Camp Nou w sposób, na który mogą liczyć tylko klubowe legendy. I to wyłącznie te największe. Czy zdobywając w Barcelonie aż 7 trofeów spełnił dziecięce marzenie? Otóż nie, ale tylko z tego powodu, że życia i osiągnięć w Katalonii mały Bobek nie mógł sobie nawet wyśnić

Adam Godlewski

WIELKA I CAŁKIEM NIEOCZYWISTA KLUBOWA KARIERA ROBERTA LEWANDOWSKIEGO

po ostatnim występie na Camp Nou w meczu z Betisem Sewilla, na który Robert wyprowadził kolegów z FC Barcelona w roli kapitana, przez polski X przetoczyła się dyskusja, czy może być uważany za legendę Barcy, czy może się nią czuć. Oczywiście niepotrzebna, bo zarówno kibice, jak i zawodnicy Dumy Katalonii fantastycznym zachowaniem jednoznacznie potwierdzili, że dla nich polski napastnik jest ikoną odrodzenia klubu. Przecież kiedy przychodził w 2022 roku, media w kontekście Blaugrana donosiły głównie o kłopotach finansowych, a tytuły mistrzowskie w okresie poprzedzającym ten transfer rozdzielały między sobą zespoły z Madrytu - Real i Atletico.

Niemal 34-letni gracz kosztował 45 milionów euro, co zważywszy na wiek i możliwość Barcy było kwotą niebagatelną, ale spłacił się szybko. I to nawet z nadatkiem. Z Lewandowskim w składzie Katalończycy trzykrotnie wygrali rozgrywkę La Ligi, trzykrotnie Superpuchar (w Hiszpanii rozgrywany w formie wyjazdowego miniturnieju, w Arabii Saudyjskiej), raz Puchar Króla. W 192 rozegranych spotkaniach - na wszystkich frontach, również w europejskich pucharach - Robert strzelił 119 goli. Do tego dorzucił Trofeo Pichichi dla króla strzelców ligi hiszpańskiej - i to już w premierowym sezonie. Doprowadził też Barcelonę do półfinału Ligi Mistrzów. W sytuacji, gdy

znaczna część jego rówieśników już tylko bawiła się w piłkę, on inkasował najwyższą w swojej karierze - i w aktualnym zespole - pensję (według „Forbesa” to 33 mln euro rocznie).

Trzeba wiedzieć, kiedy ze sceny zejść

Nowego, znacznie zredukowanego, kontraktu Robert na Camp Nou już nie chciał. I słusznie, skorzystał z przywileju największych gwiazd, by odejść na własnych warunkach. Także po to, aby zostać zapamiętanym z najlepszych chwil, z najbardziej udanych zagrań, z trofeów. Pewnie, miał w Barcelonie różne momenty, także te gorsze, a nawet słabe, w pewnym momencie musiał zrestartować cały swój system, aby odbudować się pod względem fizycznym, ale jednak tych dobrych, lepszych, a nawet najlepszych momentów było więcej. Znaczenie więcej.

Trafnie decyzję Lewandowskiego o zejściu z hiszpańskiej sceny niepokonanym skomentował znany menedżer sportowy, były właściciel Widzewa Łódź i były prezes Lecha, organizator walk braci Kliczków i Dariusza Michalczewskiego, Andrzej Grajewski: - Bardzo dobrze, że Robert ogłosił rozstanie z Barceloną, czas już na to najwyższy. Lewandowski to jest po Włodku Lubańskim drugi z największych piłkarzy, jakich mieliśmy w Polsce. Robert był świetnym ambasadorem nie tylko naszego futbolu, ale i kraju. Z naciskiem na słowo: był. Ka-

riera w sporcie zawodowym trwa od punktu A do Z, a później trzeba już odpuścić. Zawsze powtarzałem, że jeżeli bokser traci dżep, to natychmiast powinien się wycofać, bo mogą go zabić w ringu. Analogicznie - jeżeli piłkarz traci szybkość, powinien iść piętro, dwa, albo nawet trzy niżej. Jeżeli ma uciechę z grania, niech sobie dalej kopie i pokazuje swoje umiejętności, które na pewno posiada, ale już nie w Barcelonie. To był zbyt wielki zawodnik, żeby prosić się o grę nawet w Dumie Katalonii. Niech na koniec pobawi się w futbol - daj Boże, żeby za tak wielkie pieniądze, o jakich czytam - ale niech też pamięta o szacunku dla własnych dokonań na najwyższym poziomie. Bo to już przeszłość. Teraz wszyscy powinniśmy życzyć Robertowi przede wszystkim zdrowia. Oby jak najdłużej pozwalało Lewandowskiemu na czerpanie przyjemności z gry w piłkę.

Mamy Arrubarrenę, po co nam Lewandowski

Prawda jest taka, że cała dotychczasowa i - jak wszystko wskazuje - właśnie kończąca się

**JĘŚLI KTOŚ TWIERDZI,
ŻE PRZEWIDZIAŁ TAKIE
SPLENDORY DLA ROBERTA
- JEDYNIE SIĘ CHWALI.
ALBO ZWYCZAJNIE KŁAMIE**

na tym najwyższym światowym poziomie kariera Roberta była nawet nie jak z bajki, bo była po prostu nie do przewidzenia. Mamy przecież do czynienia z piłkarzem - jak to się fachowo od kilku lat określa w nomenklaturze szkoleniowej - późno dojrzewającym. Po zmianie w przepisach (wcześniej w poszczególnych kategoriach wiekowych obowiązywał podział na urodzonych „do lipca”, a zawodnicy z drugiej połowy roku trafiali już do młodszej drużyny) na rzecz pełnych roczników, chłopiec, który na świat przyszedł w drugiej połowie sierpnia, nie miał łatwego życia. Na wstępnych etapach piłkarskiego wtajemniczenia ustępował rówieśnikom wzrostem, siłą - generalnie pod względem fizycznym. W efekcie nigdy nie przebił się nie tylko do juniorskiej reprezentacji Polski, ale nawet do reprezentacji Mazowsza. A kiedy już trafił do II zespołu Legii, po roku z niego wypadł. Dziś chętnie szydzimy z ówczesnego dyrektora sportowego stołecznego klubu, Mirosława Trzeciaka, który w 2008 roku „błysnął” stwierdzeniem: „Niepotrzebny nam Lewandowski,

będziemy mieć Arrubarrenę”, ale - po prawdzie - nawet jako król strzelców II ligi (dziś ta klasa rozgrywkowa nosi nazwę 1. liga) w ogólnym odbiorze nie rokował na najlepszego polskiego piłkarza w historii i najlepszego środkowego napastnika pierwszego ćwierćwiecza na świecie, którym został. Jeśli ktoś twierdzi, że przewidział takie splendory dla Roberta - jedynie się chwali. Albo zwyczajnie kłamie.

W życiu trzeba mieć szczęście

Owszem, jako król strzelców III ligi (dziś to liga 2.) i następnie II ligi (dziś to liga 1.) w barwach Znicza Pruszków - mając niemal 60 goli w dorobku w tych dwóch klasach - Lewandowski miał już inne notowania niż napastnik, który w Legii II rozegrał 13 meczów i zdobył 2 gole na peryferiach poważnego futbolu. Tyle że kolejki po zakontraktowanie środkowego napastnika Znicza wcale się nie ustawiały. Owszem, bardzo chciał go pozyskać zarządzający wtedy Jagiellonią Cezary Kulesza, dobrymi pieniędzmi kuśiła też Cracovia, ale wtedy nie były to kluby z elity.

Lech - po fuzji z Amiką Wronki - do którego ostatecznie trafił Robert - także nie miał ugruntowanej pozycji na krajowym rynku, tak naprawdę Kolejorz dopiero odbudowywał renomę po kwarantannie na zapleczu ekstraklasy i finansowych perturbacjach. A jednak Poznań - choć wcale nie był oczywisty - okazał się najlep-

szym z możliwych wyborów. Nieostatni raz w karierze Roberta. O ile bowiem początek miał on trudny, a potem dał się poznać jako megazawodowiec, który na formę i sportową długowieczność zapracował ciężką pracą i wzorowym prowadzeniem się, w życiu miał mnóstwo szczęścia. A to czynnik nieodzowny dla udanej kariery. I niezwykle istotny.

Z perspektywy czasu za fartowny można uznać nawet fakt, że Lewandowski odbił się od Legii, bo w tamtym czasie zespół z Łazienkowskiej - owszem solidny - bardziej kojarzył się z „imprezowiczami” niż z promocją wiodących reprezentantów Polski. Pewnie (lekką) przesadą byłoby stwierdzenie, że Warszawa psuła wtedy utalentowanych zawodników, ale na pewno nie gwarantowała takiego postępu, jaki Robert zrobił w Poznaniu.

Stanowcze nie dla Szachara, Guangzhou czy PSG

Lewandowski miał to - podwójne - szczęście, że jego agentem został Cezary Kucharzski, którego zawsze (to jest od czasów piłkarskich „Kucharza”) sentymentem darzył Franciszek Smuda, ówczesny trener Lecha. Śp. „Franz” może i był naturyszczkiem, ale panów piłkarzy rozpoznawał bez pudła, już po tym - jak się chwalił - jak wchodził po schodach. I Smuda rzeczywiście zobaczył to coś u Lewandowskiego - a potem bardzo umiejętnie, stopniowo, wprowadzał do zespołu.

A Kucharski - w przeciwieństwie do większości ówczesnych (choć dziś rynek niewiele się różni) menedżerów był mądry, ustawiony po karierze piłkarskiej i nie gonił za kasą. Kierował się instynktem, i sportowym rozwojem prowadzonego zawodnika; pieniądze były na drugim planie przy wyborze kolejnych pracodawców.

Dlatego z Lecha Lewandowski trafił do Borussia Dortmund, a nie np. Szachatara Donieck, choć Lech mógłby zarobić co najmniej 30 procent więcej w roku 2010 na sprzedaży króla strzelców i mistrza Polski w jednej osobie na Ukrainę. A co za tym idzie - prowizja agenta także mogłaby być co najmniej o jedną trzecią wyższa. Także później ani piłkarz, ani agent nie oglądali się na jakieś kosmiczne pieniądze, które proponowały kluby z Premier League, czy chińskie Guangzhou Evergrande (30 mln euro netto w 2016 roku leżało na stole), tylko spokojnie budowali pozycję i karierę w Niemczech. Zresztą, przechodząc do Barcelony Lewy miał lepszą ofertę (opiewającą na 35 mln rocznie) z PSG, ale wolał magię Dumy Katalonii niż (nieco) wyższy kontrakt w stolicy Francji.

„Supertalentem to jest Kagawa, nie Robert”

Początek w futbolu przy dużej F - w Dortmundzie - Robert miał w sumie niezły, ale do zachwyty było daleko. Bo na tamtym etapie nasz genialny (jak się później okazało) rodak - delikatnie określając - nie był mistrzem pierwszego wrażenia. Dość powiedzieć, że po kilku miesiącach, Roman Kołtoń - komentator Bundesligi stwierdził w jednym z programów, że „Kagawa supertalentem jest, a Lewandowski po prostu nie” - co złośliwcy chętnie przypominają dziennikarzowi do dziś.

Prawda była jednak taka, że RL9 w Dortmundzie dopiero nabierał rozpędu. I dopiero tam - ale wcale nie od razu - zorientował się, jaki rzeczywistość ma potencjał i uwierzył w siebie. Tyle że to też był proces - w 2011 roku dożył (tylko) 8 goli do tytułu mistrza Niemiec dla Borussia, w 2012 był już autorem spektakularnego hat-tricka strzelonego Bayernowi w finale Pucharu Niemiec, w 2013 - niejako zadając kłam ocenie jednego z najbardziej opiniotwórczych dziennikarzy, że „jest najlepszym polskim piłkarzem, ale nigdy nie będzie topowym na świecie” zapakował czteropak Realowi Madryt w półfinale Ligi Mistrzów. W 2014 roku odchodził do Bayernu jako król strzelców Bundesligi i najlepiej opłacany piłkarz w historii Borussia.

To - wbrew pozorom - ważny wątek, bo o ile Robert miał swój charakter, o tyle w bardzo dużym stopniu ten piłkarski charakter pomógł mu zbudować menedżer Kucharski, którego rola w rozwoju Lewandowskiego jest dziś niesłusznie (za-



Przyszedł jako gwiazda, odchodzi jako legenda - napisano w mediach społecznościowych FC Barcelona. Trzeba przyznać, że pożegnanie było królewskie. Znacznie bardziej emocjonalne niż choćby pożegnanie w Monachium

pewne także na skutek sporu sądowego, który piłkarz z menedżerem toczą po zakończeniu współpracy) pomniejszana, czy wręcz pomijana.

Wcale nie taki miły był ten chłopak

Po raz pierwszy rozmawiałem z Lewym w 2008 roku, gdy został królem strzelców II ligi - uznałem, że to wystarczająca przepustka, żeby niespełna 20-letni młokos trafił na... trzecią okładkę brązowego miesięcznika „Piłka Nożna Plus”; zaczął od wypełnienia modnej wówczas ankiety personalnej. Robert bardzo grzecznie opowiedział, że jego ulubionym klubem jest Real Madryt, że stara się wzorować na Thierryem Henrym, jakiej muzyki słucha i do zakupu jakiego auta się przymierza.

Pierwsze wrażenie było więc takie, że to miły i ogarnięty chłopak, który wie czego chce od życia. Tym bardziej jednak wprawił mnie w zdziwienie, a nawet lekkie osłupienie, kiedy dwa dni później zadzwonił z awanturą i grubym słowem, dlaczego opublikowałem „kwiatki”, o których wcale nie mówił. Był zaskoczony, że choć rozmawiał tylko ze mną - a ja nie zdążyłem jeszcze opublikować tekstu z uwagi na cykl produkcyjny miesięcznika - ktoś inny opublikował zmyślony wywiad z nim.

W sumie, szybko wyjaśniliśmy sobie nieporozumienie, i zakończyliśmy rozmowę telefoniczną ze śmiechem, ale miałem dowód, że ten chłopak - gdy trzeba walczyć o swoje - wcale taki miły nie jest. Przeciwnie, jest charakterny i to bardzo.

Dlatego Kucharski - swoją drogą też wyjątkowo charakterny - nie miał problemu, aby ułożyć Roberta na tamtym etapie na własną modłę. Choćby nakłonić Roberta do kolegowania się w Dortmundzie przede wszystkim z niemieckimi piłkarzami (a nie dwójką reprezentantów Polski). Bo to miało pomóc w szybszej nauce języka i aklimatyzacji w zagranicznej szatni. A po jakimś czasie obaj doszli do wniosku, że skoro Lewandowski zaczynał z najniższego płacowego pułapu w BVB, to po gigantycznym skoku jakościowym, którego dokonał w Borussia, zażądają najwyższej pensji w historii klubu. I oczywiście - dopięli swego!

Historia „królewskich” rozmów z „9” w tle

Robert odszedł z BVB na swoich warunkach - bez sumy odstępnego - ale jako posiadacz rekordowego na tamte czasy, wynoszącego 7 milionów euro kontraktu. W Bayernie na dzień dobry dostał 15 milionów, ale bardzo szybko zobligował swoich mene-

dżerów, żeby podbili stawkę do najwyższej w monachijskim klubie. Igdy odchodził - progresywna umowa gwarantowała mu już 22 miliony euro za rok. A były jeszcze bonusy, za tytuł króla strzelców (podejmowane) i (niepodjęty) za Złotą Piłkę. Dlaczego warto teraz o tym przypomnieć? Otóż Lewandowski, kiedy już odkrył swoją wartość, potrafił się cenić, ale - co jest istotne - nie przeceniał; dyktował warunki, które były spełniane.

Wiele osób, i to nie tylko wywodzących się z grona polskich kibiców Realu Madryt, zastanawia się, dlaczego Robert - nie kryjąc się z sympatiami do Królewskich - nigdy nie trafił na Santiago Bernabeu, nawet w sytuacji, gdy gigant z hiszpańskiej stolicy także był zainteresowany polskim golem.

Otóż prawda jest banalna - chcąc sprawdzić, jaką rolę szykują w Madrycie dla Lewego, agent Kucharski zażądał koszulki z „9” dla swojego zawodnika. A kiedy nie dostał oczekiwanego numeru - już wiedział, że Robert nie będzie tam pierwszym wyborem i nie ma sensu kontynuować rozmów.

Rekordy zostaną niepokonane. Można przyjmować zakłady

Lewandowski zrobił oszałamiającą karierę - zarówno w wy-

miarze sportowym, jak i finansowym. Przed nim, żaden z polskich piłkarzy nawet nie zbliżył się do takiego poziomu. Po nim - będziemy jako kibice czekać zapewne kilka generacji na kolejnego giganta, choćby zbliżonego pokroju.

Pewnie, można podsumować karierę Roberta wspominając Złotą Piłkę, z której został okradziony w roku pandemicznym, można też podkreślać niedosyt wynikający z dokonania reprezentacji Polski w czasach jego gry i kapitańskiej kadencji; po prawdzie cały dorobek w tym segmencie zamknie się na jednym ćwierćfinale Euro i na jednym awansie do 1/8 finału na mundialu. I to oczywiście skaza na CV tak wielkiego piłkarza. Tyle że - nawet taki geniusz jak RL9 sam meczu nie wygra. A jego indywidualne rekordy - 89 goli w 169 meczach - długo, przez dekady, a można pewnie przyjmować zakłady, że do końca obecnego stulecia, pozostaną niepokonane.

Gracies, Robert!

Biorąc pod uwagę bardzo dyskretny punkt wyjścia, Lewandowski wyciągnął z klubowej kariery absolutnego maksa. Co zapamiętamy w pierwszej kolejności? Na pewno 5 goli w 9 minut Wolfsburgowi, bo to wyczyn, który zapewnił Robertowi

trwałe miejsce w historii światowego futbolu.

Podobnie jak 41 bramek w sezonie Bundesligi i odebranie - galaktycznego - jak się wydawało rekordowi Gerdowi Muellerowi. Do tego 14 tytułów mistrza kraju (1 w Polsce, 10 w Niemczech, 3 w Hiszpanii), 12 tytułów króla strzelców (III liga, II liga, ekstraklasa w Polsce, 7 w Bundeslidze, 1 w Hiszpanii, 1 w Lidze Mistrzów), 2 tytuły Piłkarza Roku FIFA, 13 tytułów Piłkarza Roku w Polsce, 2. miejsce w plebiscycie Złotej Piłki...

Przed wszystkim jednak piękne pożegnanie na Camp Nou, pełne - momentami nabożnego - respektu ze strony klubowych kolegów z kultowej Barcelony, którego w sumie też, jak większości sportowych dokonań RL9, nikt się nie spodziewał...

„I taka właśnie jest ta kariera Lewandowskiego. Ciągłe pożegnanie, jak i całą karierę naszego najlepszego piłkarza w historii Mateusz Świąćcki, komentator Eleven Sport, który najczęściej komentował mecze Barcelony z Lewandowskim w składzie...

ZWIĄZKI JEDNOPŁCIOWE. KWESTIA GODNOŚCI I PRAW CZŁOWIEKA

Transkrypcja aktu małżeństwa to szansa na normalność dla par jedнопłciowych, które związek małżeński zawarły za granicą. Prawda jest jednak taka, że w Polsce małżeństwa jedнопłciowe i związki partnerskie wciąż nie mają zbyt wielu praw. Uznanie ślubu zawartego za granicą tego faktu nie zmienia

Dorota Kowalska

To był dla nich wyjątkowy dzień. W poniedziałek, 18 maja, w Urzędzie Stanu Cywilnego we Wrocławiu pierwsza para gejów w tym mieście dokonała transkrypcji aktu małżeństwa. Ryszard Ziobro i Tomasz Kwietko-Bębnowski są razem od 50 lat. Ślub wzięli rok temu w Wiedniu. Po wyroku TSUE złożyli wniosek o transkrypcję zagranicznego aktu małżeństwa i uzyskali ją bez konieczności prowadzenia sprawy sądowej.

- Zrobiliśmy to, żeby wszyscy obywatele i obywatelki w tym kraju byli równi. Żeby nie było segregacji, że są lepsi ludzie i gorsi ludzie. My jesteśmy ze sobą pół wieku, prawie pięćdziesiąt lat. Od złożenia wniosku trochę to trwało, ale dzięki życzliwości urzędników i wykorzystaniu możliwości, czyli praw, które przysługują obywatelom w Polsce, uzyskaliśmy to bez pomocy sądu - mówił Tomasz Kwietko-Bębnowski.

Transkrypcja aktu małżeństwa Ryszarda Ziobry i Tomasza Kwietko-Bębnowskiego jest drugą w Polsce i uzyskaną bez wyroku sądowego. Urząd Stanu Cywilnego we Wrocławiu dokonał jej na podstawie precedensu ustalonego w Warszawie. Tam podobna transkrypcja została przeprowadzona po pozytywnym orzeczeniu Naczelnego Sądu Administracyjnego, wydanym po wyroku Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. W Warszawie 14 maja dokument odebrali Jakub i Mateusz Cupriak-Trojanowie, para, która wywalczyła przełomowe wyroki w Luksemburgu i w NSA.

- Dzisiaj rano dokonaliśmy pierwszej transkrypcji aktu małżeństwa jedнопłciowego, zgodnie z wyrokami sądów. Tak jak zapowiadałem, bez zwłoki, natychmiast - mówił wówczas prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. - Dokonujemy formy transkrypcji w taki sposób, jaki uznaliśmy za najbardziej stosowny. Po konsultacjach z innymi urzędami stanu cywilnego, ale również moim współpracownikami, którzy rozmawiali z organizacjami,

które walczyły o prawa LGBT. Tak, żeby to było jak najbardziej godnościowe, ale także pełne i szczegółowe - podkreślił Trzaskowski.

Trzaskowski dodał, że kwestię ujednolici przysze rozporządzenie rządowe, które ma sprawić, że transkrypcje w całym kraju będą przeprowadzane w identyczny sposób.

- Czekał na wyroki polskich sądów, które potwierdziły tę linię i wyjaśniły sporo wątpliwości i pytań. Mamy orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej i polskich sądów i ja będę wykonywał te orzeczenia. Natomiast liczę na to, że rozporządzenie, które przygotował rząd, wejdzie w życie jak najszybciej - mówił prezydent Warszawy.

Wszystkie dotychczas zawieszone wnioski zostaną odwieszane. Pary, którym wcześniej odmówiono transkrypcji, mogą złożyć wniosek ponownie.

Przypomnijmy, w listopadzie 2025 roku Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej zobowiązał Polskę do uznawania małżeństw osób tej samej płci zawartych legalnie w innych krajach UE - nawet jeśli polskie prawo takich związków nie przewiduje. W marcu 2026 roku Naczelny Sąd Administracyjny powołał się na ten wyrok, nakazując transkrypcję aktu małżeństwa Jakuba i Mateusza Cupriak-Trojanów, zawartego w Berlinie w 2018 roku. Od tamtej pory NSA nakazał transkrypcję aktów łącznie siedmiu par jedнопłciowych.

To dopiero początek

Ryszard Ziobro i Tomasz Kwietko-Bębnowski czekali na ten dzień wiele lat.

- Czy nasz związek komuś zagraża? Nikomu - pytał retorycznie Ryszard Ziobro.

Ziobro zakłada, że wszystkie prawa przysługujące małżeństwom będą teraz stosowane również wobec nich. Chodzi chociażby o dostęp do informacji medycznej, dziedziczenie czy prawo do odmowy zeznań przeciwko sobie w sprawach karnych.

- Jest to dosyć nowa sytuacja dla tego kraju. Nowa sytuacja dla różnych urzędów. Myślę, że dzięki temu nie będzie już potrzeby wybierania drogi sądowej, żeby uzyskać uprawnienia, które po prostu obywatelom się należą - dodali wspólnie Ryszard Ziobro i Tomasz Kwietko-Bębnowski.

Transkrypcja aktu małżeństwa Ryszarda Ziobry i Tomasza Kwietko-Bębnowskiego to nie tylko przełom dla nich samych, ale - jak podkreślają aktywiści - także sygnał, że Polska wchodzi w nowy etap stosowania prawa wobec par jedнопłciowych.

- To moment, na który środowisko LGBT czekało od lat. Otwiera drogę dla kolejnych par. Każda para jedнопłciowa może pojechać za granicę, zawrzeć ślub w Görlitz, Berlinie czy Danii, wrócić i zarejestrować go w Polsce. W tym momencie mamy faktycznie małżeństwa jedнопłciowe w Polsce - mówi Linus Lewandowski z Homokomando.

Jak zapowiadają aktywiści, to dopiero początek.

- Związków partnerskich nie ma na stole. Jest jakiś projekt „wspólnego pożycia”, czy „o statusie osoby najbliższej”, umowa o nie wiadomo czym. To nas nie interesuje. Śluby też wywalczymy. Myślę, że dwa, trzy, może pięć lat w sądach i będziemy mieć możliwość zawierania ślubów w Polsce. A póki co - polecam parom wyjazd za granicę i niebawienie się w półśrodki - dodaje Lewandowski.

Szacuje się, że na transkrypcję zagranicznego aktu małżeństwa par tej samej płci czeka w Polsce około 1000 par. W samym tylko krakowskim Urzędzie Stanu Cywilnego złożono 13 takich wniosków, a we Wrocławiu - cztery.

Pełnomocniczka rządu ds. równości Katarzyna Kotuła poinformowała, że prace nad rozporządzeniem regulującym wzory aktów stanu cywilnego, które umożliwi systemową realizację transkrypcji, ruszyły w listopadzie 2025 roku, bezpośrednio po wyroku TSUE, ale wprowadzenie zmian w wymagają jednak czasu.

Pary nie czekają

Problem par jedнопłciowych i związków partnerskich wrócił, ale tak naprawdę nie mogło być inaczej.

- Chciałbym przeprosić tych wszystkich, którzy przez długie lata czuli się odrzuceni i upokarzani. Państwo tu przez wiele lat nie zdawało egzaminu. Mam nadzieję, że po wyroku trybunału i Naczelnego Sądu Administracyjnego także w parlamencie znajdziemy szybko, konieczne, dodatkowe rozwiązania o charakterze ustawowym - powiedział przed rozpoczęciem posiedzenia rządu Donald Tusk. I zwrócił uwagę, iż temat ten „od wielu dni jest w centrum uwagi opinii publicznej”.

- Ciągle nie mamy regulacji prawnych na poziomie ustawowym, które by wyjaśniały status osób, które zdecydowały się na stały związek jedнопłciowy - mówił Tusk.

I dodał, że sprawa wiąże się z dwoma kluczowymi kwestiami. Po pierwsze chodzi o „praworządność i przestrzeganie prawa”.

- Zobowiązaliśmy się i będę tego też osobiście pilnował, aby przestrzegać wyroków zarówno trybunałów europejskich, jak i polskich sądów w pierwszym rzędzie. Jest to więc kwestia praworządności - wyjaśnił.

Po drugie, zdaniem Tuska, związki jedнопłciowe to także „kwestia godności i praw człowieka”.

- W Polsce są różne poglądy na temat związków jedнопłciowych. Motywowany tradycją, wyznaniem wiary, doświadczeniem, poglądami politycznymi. Także na tej sali różni się w tej kwestii swoimi poglądami, opiniami. Ale w jednej sprawie przynajmniej my nie możemy się różnić, to jest kwestia godności człowieka, prawa do szczęścia, prawa do równego traktowania przez państwo - tłumaczył Donald Tusk.

I zaapelował do ministrów, aby „szanować godność każdego człowieka i żeby pamiętać o tym, że ci ludzie żyją wokół nas, obok nas, wśród nas i zasługują na takie same uczucia szacunku, godności, na miłość, tak jak każdy inny człowiek”.

Premier zobowiązał przy tym ministra cyfryzacji Krzysztofa Gawkowskiego i ministra spraw wewnętrznych i administracji Marcina Kierwińskiego do „pilnego, jak najszybszego ustalenia treści rozporządzenia”.

- Parlamentarzystów wzywam do jak najszybszej pracy tam, gdzie ustawy będą niezbędne, aby opisać konsekwencje tej decyzji - dodał.

13 maja wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski podpisał projekt rozporządzenia w sprawie wzorów dokumentów stanu cywilnego. Docelowo formularz aktu małżeństwa ma mieć trzy warianty: dla par kobieta-mężczyzna, kobieta-kobieta i mężczyzna-mężczyzna. Swoją podpis zapowiedział też szef MSWiA Marcin Kierwiński, ale techniczne dostosowanie systemów potrwa około trzech miesięcy, więc pewnie przepisy zaczną obowiązywać jesienią.

Do tego czasu urzędy stosują rozwiązanie tymczasowe: dane jednej z osób wpisuje się w rubrykę przewidzianą dla przeciwnej płci. W ten sposób wpisano do systemu Trojanów i według tego samego szablonu działają Warszawa oraz Wrocław. Tę samą procedurę zastosuje również Kraków wobec par, które nie zdecydowały się czekać na nowy formularz.

Walka o związki partnerskie

Prawda jest jednak taka, że małżeństwa jedнопłciowe i związki partnerskie pozostają w Polsce nielegalne. Transkrypcja nie zmienia tego stanu prawnego, dotyczy bowiem wyłącznie uznawania związków zawartych za granicą. Tymczasem kwestia uregulowania sytuacji osób pozostających w nieformalnych związkach była jedną z kluczowych dla koalicji 15 października.

- Ustawa o związkach partnerskich to priorytet na pierwsze 100 dni po wyborach - zapowiedział Donald Tusk w kampanii wyborczej. Postulat ten znalazł się także w oficjalnym programie Koalicji Obywatelskiej w „100 konkretach na pierwsze 100 dni rządów”.

Co więcej, Polacy w zdecydowanej większości domagają się uregulowania tych kwestii. Jak wynika z sondażu Opinia24 dla „Faktów” TVN i TVN24, ponad połowa z nas opowiada się za wprowadzeniem związków partnerskich. Sprzeciw wobec tego pomysłu wyraża co trzeci badany.

Uczestnikom sondażu zadano pytanie: „Czy jest Pan(i) za czy przeciw wprowadzeniu związków partnerskich w Polsce?”. 54 procent ankieterów stwierdziło, że jest „za”. 34 procent badanych stwierdziło, że jest „przeciw” wprowadzeniu związków partnerskich w Polsce, a 12 procent odpowiedziało: „nie wiem/trudno powiedzieć/odmowa”.

Wyborcy mogli czuć się zniecierpliwieni, tym bardziej że sprawa uregulowania sytuacji związków partnerskich ciągnie się latami. W październiku 2024 roku, na Rządowym Centrum Legislacji zostały opublikowane dwa projekty ustaw. Pierwszy był projektem właściwym o rejestrowanych związkach partnerskich. Drugi - ustawą wprowadzającą, która miała dostosować przepisy innych ustaw do nowego prawa.

„Projekty ustaw o rejestrowanych związkach partnerskich, które były omawiane z organizacjami pozarządowymi, zostały

DOCELOWO FORMULARZ AKTU MAŁŻEŃSTWA MA MIEĆ TRZY WARIANTY: DLA PAR KOBIETA-MĘŻCZYŻNA, KOBIETA-KOBIETA I MĘŻCZYŻNA-MĘŻCZYŻNA.



Ryszard Ziobro i Tomasz Kwietko-Bębnowski czekali na ten dzień wiele lat. I postanowili się nie ukrywać. – Czy nasz związek komuś zagraża? Nikomu – pytał retorycznie jeden z partnerów

skierowane do konsultacji publicznych i międzyresortowych. To dla mnie bardzo ważny dzień, bo w Wasze ręce oddaję efekt wielu miesięcy pracy całego naszego zespołu” – napisała wówczas na platformie X minister ds. równości Katarzyna Kotula. I dalej: „Tym samym kontynuujemy proces legislacyjny, który jeszcze nie miał w Polsce miejsca i który mamy nadzieję zakończy się wprowadzeniem do polskiego prawa nowej instytucji. To nowy rozdział w długim marszu po równość, który dzięki wieloletniej pracy wielu organizacji LGBT i społeczeństwa obywatelskiego doprowadził nas do tego historycznego momentu”.

Potem, na specjalnie zwołanej konferencji prasowej, minister Kotula stwierdziła, że proponowane projekty „zmieniają właściwie ponad 250 innych ustaw”, po raz pierwszy wprowadzając do polskiego prawa instytucję rejestrowanego związku partnerskiego.

Przygotowany przez nią projekt przewidywał m.in. rejestrację związku partnerskiego w urzędzie stanu cywilnego, możliwość przyjęcia wspólnego nazwiska, dostęp do informacji medycznej, kwestie prawa do decyzji o pochówku, dziedziczenia, wspólność majątkowa, która jest deklaratywna i umożliwia wspólne rozliczanie podatków.

Zapisy wprowadzały również tzw. małą pieczę.

– Nie ma tam przysposobienia dzieci – podkreślała minister

Kotula, przypominając, że to była jedna z kwestii, „które były sporne od początku w koalicji 15 października i na które nie zgadzało się Polskie Stronnictwo Ludowe”. – Tu faktycznie zrobiliśmy taki krok do tyłu, krok kompromisowy i zdecydowaliśmy się na zapisy tylko o małej pieczy. Właściwie są to rozwiązania, które głównie będą służyły tak zwanym rodzinom zrekonstruowanym w parach hetero, kiedy mamy dwa małżeństwa, które się rozwodzą i ci ludzie zabierają ze sobą dzieci, żyją w związku nieformalnym – dodała.

Dokument zakładał, że „osoba w związku partnerskim jest uprawniona do uczestniczenia w sprawowaniu bieżącej pieczy nad wspólnie z nim przebywającym dzieckiem pozostającym pod władzą rodzicielską drugiej z osób w związku partnerskim i jego wychowaniu”.

Z kolei projekt ustawy wprowadzającej związki partnerskie zawierał zmiany w ponad dwustu obowiązujących obecnie ustawach, m.in. ustawie Prawo o aktach stanu cywilnego, ustawie o podatku od spadków i darowizn, a nawet ustawie o Policji, Straży Granicznej i Państwowej Straży Pożarnej. Zmieniają się także obowiązujące regulacje podatkowe, ustawy dotyczące świadczeń opieki zdrowotnej, czy pomocy społecznej. Chodzi o uwzględnienie w definicjach rodziny osób w związku partnerskim oraz osób, z którymi rodzic dziecka pozostaje w związku partnerskim.

Wreszcie konsensus

Projekt był, przyszedł czas na koalicyjne uzgodnienia i oczekiwany konsensus. Za byli posłowie Lewicy, Koalicji Obywatelskiej, większość posłów Trzeciej Drogi. Inaczej sprawa wygląda z ludowcami. Marek Sawicki z PSL-u od początku podkreślał, że opublikowane na RCL-u projekty nie są projektami rządowymi, a dokumentami przygotowanymi przez minister Kotulę.

Dopytywano o to, co w takim razie z projektem, który przygotowuje PSL – o statusie osoby najbliższej, który miał być odpowiedzią na projekt o związkach partnerskich, poseł Stronnictwa odparł, że tym zajmuje się posłanka Urszula Paślawska.

– PSL będzie miał odpowiedź na ten projekt i w najbliższym czasie dokończy swój projekt o statusie osoby bliskiej – zapowiedziała wówczas Paślawska.

Podkreśliła, że również w jej partii jest duża determinacja w sprawie uregulowania kwestii związków partnerskich i to dobrze, że prace przyspieszyły, aby „poprawić życie prawie pół miliona Polaków”.

Bo trzeba pamiętać o tym, że ludowcy już raz „przyblokowali” ustawę o związkach partnerskich, nie godząc się na kwestię przysposobienia dzieci i zrównania statusem związków z małżeństwami (sprzeciwiali się choćby podobnej do małżeńskiej ceremonii zawarcia związku partnerskiego w Urzędzie Stanu Cywilnego).

Koniec końców, ustawa o związkach partnerskich i ustawa wprowadzająca związki partnerskie, choć zostały opublikowane na stronach Rządowego Centrum Legislacji, nie zostały poddane pod głosowanie Rady Ministrów. W czerwcu 2025 roku klub Lewicy złożył do Sejmu te projekty jako poselskie. Z kolei PSL przygotowało alternatywny projekt o statusie osoby najbliższej.

Wreszcie koalicjanci się dogadali i uzgodnili wspólny dokument. Co ciekawe, posłowie Lewicy mówili, że PSL zgodziło się na większość ich propozycji. Z kolei ludowcy podkreślali, że wypracowany projekt dotyczy statusu osoby najbliższej i to Lewica zgodziła się na ich postulaty, a projekt Stronnictwa jest wiodący.

Rząd projekt ustawy o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu przyjął w grudniu 2025 roku. Sejm skierował go do dalszych prac w lutym tego roku. Przeciwno odrzuceniu projektu w pierwszym czytaniu zagłosowało 233 posłów – cała Koalicja Obywatelska, Lewica, Polska 2050, Razem, a także większość posłów Polskiego Stronnictwa Ludowego. Za odrzuceniem projektu było 199 posłów i posłanek – w tym 175 z Prawa i Sprawiedliwości, 14 z Konfederacji oraz dwóch posłów PSL: Marek Biernacki i Marek Sawicki. Trzy osoby wstrzymały się od głosu.

Pytanie, co z gotowym projektem, przyjętym przez Sejm,

zrobi prezydent, jeśli znajdzie się na jego biurku.

Karol Nawrocki zapowiedział w wywiadzie dla „Wprost”, że „z całą pewnością nie, co jest quasi-małżeństwem”, nie może liczyć na jego wsparcie. Dodał, że jest gotowy do podpisania ustawy o statusie osoby najbliższej, „nie tylko w kontekście seksualnym, ale też w kontekście relacji pomiędzy ludźmi”.

Urszula Paślawska, wiceprezes PSL i jedna z współautorów projektu, nad którym pracuje Sejm, zapewniała jednak, że „przepisy są kompromisowe, odnoszą się do konkretnych dziedzin życia, które nawet w dyskusie publicznym nie budziły większych wątpliwości, a ona sama będzie się zwracać do Pałacu Prezydenckiego z otwartością na propozycje i uwagi, bo bardzo ważne jest, żeby te regulacje weszły w życie”.

Daleko w tyle

Na zawieranie zarejestrowanych związków partnerskich, również parom tej samej płci, pozwalają obecnie w Unii Europejskiej: Austria, Belgia, Chorwacja, Cypr, Czechy, Dania, Estonia, Finlandia, Francja, Niemcy, Grecja, Węgry, Irlandia, Włochy, Luksemburg, Malta, Holandia, Słowenia, Hiszpania i Szwecja. W sumie 20 państw.

W wielu z nich pary homoseksualne mogą też zawierać małżeństwa. Holandia zalegała z zawarciem małżeństwa jedno-

płciowe jako pierwsze państwo na świecie.

Pary w tym kraju mogą obecnie wybierać między małżeństwem, związkiem partnerskim (geregistrowany partnerschaft), a umową o wspólnym pożyciu (samenlevingscontract). Małżeństwo i związek partnerski mają niemal identyczne skutki prawne – dotyczą m.in. dziedziczenia, podatków i opieki nad dziećmi. W przypadku par lesbijskich współmatka może uzyskać status rodzica po uznaniu dziecka. Od 2018 roku obowiązuje system ograniczonej wspólnoty majątkowej, obejmujący jedynie majątek nabyty po ślubie lub rejestracji związku. Związki zawarte za granicą są w Holandii uznawane, jeśli są zgodne z prawem danego państwa.

W każdym razie Polska jest jednym z nielicznych unijnych państw, w których kwestie związków partnerskich nie są uregulowane. Czy wydarzenia ostatnich dni posuną nas o krok do przodu?

Adwokat Paweł Knut, pełnomocnik małżeństwa Jakuba i Mateusza Cupriak-Trojan uważa, że ustawa o statusie osoby najbliższej z jednej strony jest potrzebna, a z drugiej niewystarczająca – zwłaszcza dla tych par jednopłciowych, które dążą do małżeństwa. Większy sens miałyby kilka lat temu, kiedy nie było jeszcze żadnych perspektyw na uznanie w Polsce małżeństw jednopłciowych zawartych za granicą. Transkrypcja aktu małżeństwa otwiera perspektywę na dużo szerszą ochronę prawną niż status osoby najbliższej. Co za tym idzie, możliwość transkrypcji może być dla par nieheteronormatywnych zachętą do wyjazdów za granicę w celu zawarcia małżeństwa. Sformalizowanie związku i uzyskanie dokumentu potwierdzającego, że są dla siebie osobami najbliższymi, ułatwi im życie w bardzo wielu obszarach.

– Sam zachęcam do tego moich klientów. Podkreślam jednak, że taki wyjazd często jest efektem frustracji lub poczucia niesprawiedliwości. Osoby, z którymi pracuję, mieszkają w Polsce, płacą tu podatki, mają obowiązki, pracują dla swoich społeczności albo dla państwa, a w tej konkretnej sprawie muszą wyjeżdżać za granicę. To inny kraj daje im coś, czego nie daje im własny – Polska. Ich śluby w obcym miejscu, niekiedy także bez towarzystwa najbliższych, to czasem wydarzenia słodko-gorzkie – stwierdził mecenas.

Wygląda jednak na to, że to szansa dla par jednopłciowych, które brak uregulowań w Polsce będą musiały po prostu obchodzić.

Współpraca: Remigiusz Biały, Aneta Kolesińska, PAP

JEŚLI MAMY BYĆ DUBAJEM - MIEJSCEM PEŁNYM UDOGODNIENIŃ, LUKSUSOWYM - TO NIECH TAK BĘDZIE

Rozmowa z Barbarą Garczyńską, byłą dyrektorką Hotelu Gołębiowski w Karpaczu, a obecnie Hotelu Gołębiowski w Pobierowie, który za chwilę przyjmie pierwszych gości – o tym, jakie atrakcje oferuje hotel gigant, ale także o tym, czy jest zagrożeniem dla mniejszych obiektów w okolicy

Robert Migdał



Hotel Gołębiowski w Pobierowie to obiekt bez precedensu. 180 tys. metrów kwadratowych, docelowo 1240 pokoi

Robert Migdał: Smutno pani było porzucić Karpacz, Dolny Śląsk i przenieść się do Pobierowa nad Bałtyk?

Barbara Garczyńska: Karpacz i Karkonosze są mi bardzo bliskie, bo to miejsce, które mnie zawodowo ukształtowało i do którego mam ogromny sentyment. Jednak są takie sytuacje w życiu czy też takie

propozycje, których się nie odrzuca. Zatem nie było smutku, raczej sentyment, entuzjazm i dużo pokory wobec skali wyzwania. Poza tym Bałtyk ma niepowtarzalny charakter i naprawdę pociągała to nowe miejsce.

Czy jakieś doświadczenia z zarządzania dużym Hote-

lem Gołębiowski w Karpaczu będą przydatne dla pani w Pobierowie? Coś z zarządzania w Karkonoszach przeniesie pani nad Bałtyk? Coś, co się sprawdziło?

Doświadczenie z pracy w tak dużym obiekcie jak Hotel Gołębiowski w Karpaczu to szkoła, której nie zastąpi żadna teoria. Nauczyłam się

tam, że największe hotele wymagają precyzyjnej koordynacji dziesiątek działów. Hotel to jeden organizm, w którym sprawnie muszą działać wszystkie, nawet najmniejsze elementy. Przenoszę nad Bałtyk kulturę pracy, która funkcjonuje w każdym z Hoteli Gołębiowski, czyli skupienie na gościu, szybkie reagowa-

nie i szacunek do każdej osoby w zespole. Mamy centralny system zarządzania rezerwacjami, co oczywiście będzie funkcjonowało również w Pobierowie.

A jakieś rozwiązania, ułatwienia dla gości hotelowych?
Hotel Gołębiowski w Pobierowie to miejsce stworzone za-

równy z myślą o gościach indywidualnych, jak i klientach biznesowych. Marka Gołębiowski od lat kojarzona jest z kompleksową ofertą biznesową, wypoczynku i rozrywki i właśnie taki charakter zyska również nowy obiekt nad Bałtykiem. Naszą ambicją jest nie tylko stworzenie wyjątkowego hotelu, ale także miejsca funkcjonującego przez cały rok. Na gości czekać będzie bogata oferta atrakcji, od znakomitej kuchni, przez imponujący aquapark Tropikana, liczne strefy zabaw i stworzoną specjalnie dla najmłodszych Smakolandię, aż po nowoczesne gabinety SPA i wellness, zapewniające relaks na najwyższym poziomie.

Co pani czuje, gdy słyszy o hotelu w Pobierowie: mały Dubaj, moloch, gigant?

Naszym celem jest zapewnić gościom najwyższego poziomu usług, zgodnie z dewizą pana Tadeusza Gołębiowskiego „dobro gości ponad wszystko”. Rozumiem, że skala obiektu budzi skojarzenia, ale jeśli mamy być Dubajem, czyli miejscem pełnym udogodnień, luksusowym, to niech tak będzie. Naszym celem było stworzenie przestrzeni, która oferuje wszystko, co kojarzy się z idealnym wypoczynkiem. Jeśli dzięki temu goście wybiorą relaks nad polskim Bałtykiem zamiast podróży na drugi koniec świata, będzie to dla nas największa satysfakcja i dowód na to, że stworzyliśmy wyjątkowe miejsce, na które Polska zasługuje.

Hotel Gołębiowski w Pobierowie to obiekt bez precedensu. 180 tys. metrów kwadratowych, docelowo 1240 pokoi. Szacujemy, że potrzebujemy ponad 500 osób do zapewnienia najwyższego poziomu usług naszym gościom.

To jak małe miasteczko...

I właśnie dlatego mamy ambicje, ale i potencjał, aby stać się obiektem całorocznym i odczarować oblicze polskiego wybrzeża, które kojarzy się jednoznacznie sezonowo. Oferujemy naszym gościom wszystko, co potrzebne do wypoczynku niezależnie od pogody. Dodatkowo zapewnimy bezpośrednie zejście na plażę, która ma swój urok również poza tak zwanym sezonem.

Jaki jest najbardziej ekskluzywny apartament?

Każdy z naszych apartamentów został zaprojektowany z myślą o prawdziwym luksusie. Dziś słowo „apartament” bywa nadużywane, dlatego chcemy przywrócić mu jego pierwotne znaczenie. W naszym wykonaniu to przestrzenie wnętrza o powierzchni od 100 do 120 mkw., w których komfort definiuje

FOT. MATERIAŁY PRASOWE HOTELU GOŁĘBIWSKI W POBIEROWIE

nie tylko metraż, ale także starannie przemyślana aranżacja. Na wyjątkowy charakter tych przestrzeni składają się eleganckie, wygodne meble, przestronne łazienki wyposażone zarówno w prysznic, jak i wanny, z których rozciąga się widok na las lub morze. Każdy apartament ma narożny układ, dzięki czemu wnętrza są pełne światła, a całość dopełnia szeroki taras otaczający przestrzeń, pozwalający w pełni korzystać z otoczenia.

A inne pokoje w jakich będą cenach?

Ceny zostaną opublikowane w dniu uruchomienia rezerwacji, zachęcamy do śledzenia naszej strony internetowej.

Liczyte na gości głównie z Polski, czy też na zagranicznych turystów z Niemiec, z Czech?

Polska jest i pozostanie naszym głównym rynkiem i bardzo nas to cieszy. Polacy lubią być dumni ze swojego kraju i chętnie wybierają polskie marki, widzimy w tym ogromny potencjał. Natomiast Pobierowo, ze względu na bliskość granicy, jest też naturalnym wyborem dla obywateli z Niemiec czy Czech. Liczymy na nich, wiemy, że interesują się naszym hotelem i przygotowujemy na ich przyjęcie. Jak wspomniałam wcześniej, naszą dewizą jest „dobro gości ponad wszystko”, bez względu na narodowość. Zapraszamy każdego i każdym zapiekujemy się na najwyższym poziomie.

Jakie atrakcje czekają na gości hotelowych - oprócz widoku Bałtyku z okien hotelu? Siłownia? Baseny? Spa? Kino? Zadbaliśmy o to, aby większość pokoi miała widok na Bałtyk, ale poza tym to restauracje z doskonałą kuchnią, największy hotelowy aquapark Tropikana, 11 gabinetów SPA i wellness, grota solna, klub nocny czy dwie sale kinowe. Dodatkowo w hotelu znajduje się nowoczesnie wyposażona siłownia. Nie mam wątpliwości, że żaden z naszych gości nie będzie się tutaj nudził.



Barbara Garczyńska: - Doświadczenie z pracy w tak dużym obiekcie jak Hotel Gołębiwski w Karpaczu, to szkoła, której nie zastąpi żadna teoria

Dania z jakich kuchni będą serwowane w hotelu? Głównie polska czy też inne?

Nasza załoga przygotowuje menu od kilku miesięcy. Szkolenia i warsztaty odbywają się w innych naszych hotelach, gdzie szefowie naszych kuchni dzielą się swoim doświadczeniem i rozwijają naszą ofertę oraz poza hotelami pod okiem wytrawnych szefów kuchni, mistrzów w swoim fachu. Nasze restauracje będą serwować dania kuchni polskiej, która znajduje uznanie nie tylko u naszych rodaków, ale też za granicą. Nie zabraknie jednak kuchni świata, smaków, które nasi goście przywożą z zagranicznych wyjazdów i które chcielibyśmy, żeby odnaleźli u nas. Dlatego też w Pobierowie, poza restauracją a la carte z bardziej

tradycyjnymi daniami, nasi goście będą mogli posmakować kuchni orientalnej w Restauracji Monsoon.

Kto odpowiada za menu? Jakich znany szef kuchni?

Przygotowanie menu to praca zespołowa wszystkich szefów kuchni w naszych hotelach, efekt niezwykle ciekawych doświadczeń, jakim jest zarządzanie kuchniami w naszej sieci, baczne śledzenie opinii gości i ciągłego doskonalenia. Każdy z tych elementów zawążył na menu, którego już wkrótce będą mogli Państwo u nas doświadczyć. Współpraca z gwiazdami to również ważny dla nas aspekt i będzie kontynuowana w najbliższe wakacje. Zachęcam do śledzenia zapowiedzi i efektów tej współpracy w naszych mediach społecznościowych.

Rezerwacje będzie można robić już w maju? Będą jakieś promocje na start?

Tak, od 15 maja jest możliwość rezerwacji na sezon wakacyjny i to jest dla nas bardzo ważna data. Na naszej stronie internetowej będziemy aktualizować dostępność terminów. Przewidujemy oczywiście specjalne pakiety, ale na tym etapie zachęcam do śledzenia naszej strony.

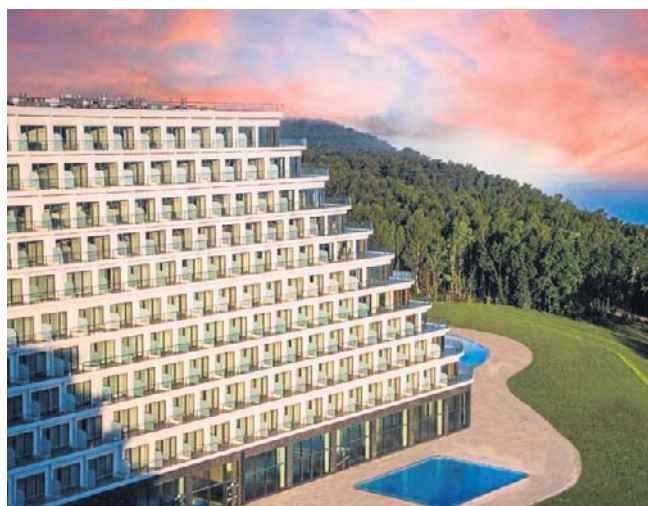
A samo otwarcie? Kiedy jest planowane i czy z jakąś wielką pompą? Z atrakcjami?

Od 15 maja rozpoczęliśmy przyjmowanie rezerwacji na pobyty od 26 czerwca, czyli od momentu zakończenia roku szkolnego. To symboliczny początek sezonu urlopowego, dlatego właśnie wtedy planujemy szereg atrakcji, które sprawiają, że start pobytu w największym hotelu w Polsce będzie jeszcze bardziej wyjątkowy. To jednak dopiero początek, przez całe wakacje nie zabraknie wydarzeń i dodatkowych atrakcji dla gości. Wszystkie aktualności będziemy na bieżąco publikować na naszej stronie internetowej oraz w mediach społecznościowych.

Zdania co do funkcjonowania tak wielkiego obiektu są podzielone. Jedni mówią, że powstanie tego hotelu to impuls do rozwoju okolicy, nowe miejsca pracy. Przeciwnicy, że przez niego mogą upaść mniejsze pensjonaty i hotele... Co pani o tym sądzi?

Każda zmiana rodzi niepewność, ale jedno nie ulega wątpliwości. Hotel Gołębiwski w Pobierowie na pewno nie jest konkurencją dla mniejszych obiektów. Dodatkowo tak duży hotel generuje ruch dla całej okolicy, a więc i zysk dla okolicznych restauracji, kawiarni czy sklepów. Korzystamy z usług lokalnych dostawców, zapewniamy liczne miejsca pracy. Nie mam najmniejszych obaw ani wątpliwości, że taki kompleks to wyjątkowy impuls dla regionu i motor napędowy lokalnej gospodarki.

Rozmawiał Robert Migdał



Piotr Halicki zaczynał karierę w białostockim „Kurierze Porannym”. Dziś, jako dziennikarz Onetu specjalizujący się w tematyce kryminalnej i służbach mundurowych, wydał książkę o Wydziale Operacji Pościgowych CBŚP – jednostce, której istnienia większość z nas nie jest świadoma. Rozmawiamy z nim o „Łowcach cieni”, porwaniu dziesięcioletniego Kamilka i o tym, dlaczego nie każdy policjant może tropić najgroźniejszych przestępców

Agnieszka Domanowska

ŁOWCY CIENI, CZYLI O KULISACH PRACY NAJBARDZIEJ TAJEMNICZEJ JEDNOSTKI POLICJI

Znamy się z „Kuriera Porannego”, więc wiem, że od dawna ciągnie cię do tematyki służb i spraw kryminalnych. Skąd jednak pomysł akurat na tę książkę?

Wynika to z tego, że tą tematyką zajmuję się od lat. Z łowcami cieni udało mi się parę razy wcześniej porozmawiać i zawsze mnie to interesowało – kim są ci ludzie, którzy łapią najgroźniejszych przestępców i jak są w stanie dotrzeć do nich na drugim końcu świata. Kiedy więc pojawiła się taka propozycja, przyjąłem ją praktycznie bez zastanowienia – mimo że wiedziałem, iż napisanie książki to duże wyzwanie.

Skąd przyszła propozycja?

Od Wydawnictwa „Otwarte”. Czytali kilka moich wcześniejszych tekstów na ten temat i wyszli z założenia, że skoro pisałem o rzeczach, o których nikt wcześniej nie pisał, to może uda mi się zdobyć jeszcze więcej takich opowieści. Na początku miałem opory – pracuję w Onecie, a ta praca absorbuje codziennie bardzo mocno, zwłaszcza że tematyki służb i spraw kryminalnych jest naprawdę mnóstwo.

Książkę musiałbym więc pisać po godzinach, kosztem weekendów i urlopu. Ale jak już sobie to przetrwałem, to nawet się ucieszyłem, że się zgodziłem. Trochę pomógł mi pewien przypadek – byłem już wcześniej umówiony na wywiad z komendantem głównym policji, a jak się okazało, to właśnie on jest twórcą łow-

ców cieni. Był pierwszym szefem tej jednostki. Postanowiłem przy okazji porozmawiać z nim i o tym.

I dał się przekonać?

Musiałem trochę namawiać, bo to najbardziej tajemnicza jednostka – nie pokazuje się na uroczystościach, nie chodzi w defiladach, nie preży piersi do wpinania medali. Działa w cieniu i półmroku, gdzieś pod powierzchnią świata. Natomiast zależało mi też na tym, żeby pokazać tych policjantów jako zwykłych ludzi. Kim są, czy mają rodziny, co robią po pracy – czy w ogóle mają taki moment, że są po pracy, skoro to jest praca czasami dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kiedy komendant się zgodził, uderzyłem do samych łowców. Pierwsze rozmowy polegały na wzajemnym badaniu się i budowaniu zaufania. Oni sprawdzali, czego właściwie od nich chcą, a ja chciałem, żeby opowiedzieli mi o rzeczach, o których wcześniej nie mówili nikomu. Podejrzewam, że mnie niezłe sprawdzili, zanim zaczęli rozmawiać.

Co cię zaskoczyło, gdy już się wzajemnie poznaliście?

Że to taka zgrana ekipa. Rozmawiając z nimi, w ogóle nie masz wrażenia, że to policjanci. To ludzie inteligentni, z całym arsenałem zainteresowań – wielokrotnie zdarzało nam się mieć wspólne punkty. Zaskoczyło mnie też to, że mamy wyobrażenie o łowcach



– Łowcy cieni nie pokazują się na uroczystościach, nie chodzą w defiladach, nie preżądają piersi do wpinania medali. Działają w cieniu i półmroku, gdzieś pod powierzchnią świata – mówi Piotr Halicki

jako o herosach – metr dwięćdziesiąt wzrostu, wielkie mięśnie. Częściowo tak zresztą jest, ale niektórzy wyglądają bardzo niepozornie, bo wśród łowców są też tacy, którzy zajmują się analityką, przeglądaniem sieci, tropieniem kogoś poprzez dane. Do samego zatrzymania nie zawsze są na pierwszej linii. Za granicą zresztą mogą tylko asystować przy zatrzymaniu – nie mogą działać samodzielnie, muszą współpracować ze służbami z danego kraju, bo tylko one mogą formalnie zatrzymać przestępców na terenie swojego państwa.

Opowiedz o tym, jak w ogóle powstała ta jednostka.

Dwie sprawy były przyczynkiem do jej powołania. Pierwsza to sprawa gangstera „Szkatuły”, który ukrywał się przez blisko dziesięć lat. W pewnym momencie powołano specjalny zespół złożony z policjantów z różnych komend i formacji – ze stołecznej komendy, z CBŚ, kilku innych – wyznaczonych wyłącznie do jego namierzenia. Udało się. Ktoś pomyślał więc, że skoro to wyszło, może stworzyć stały zespół zajmujący się właśnie takimi gangsterami, którzy przez lata się ukrywają i których brakuje na ławie oskarżonych – siedzą tam ich podwładni, a samego szefa nie ma. Druga sprawa to uprowadzenie Krzysztofa Olewnika. Łowcy cieni zajmują się bowiem dwiema rzeczami: ściganiem przestępców po ca-

łym świecie i uprowadzeniami dla okupu. Przy sprawie Olewnika popełniono mnóstwo błędów – między innymi sprawą zajmowali się na początku policjanci, którzy wcześniej przebywali z nim w domu, co samo w sobie jest błędem. Potem było zgubienie akt, niesprawdzenie świadków, połączeń telefonicznych. Po tej sprawie stworzono metodę działania przy uprowadzeniu dla okupu, której elementem stali się właśnie łowcy cieni.

A uprowadzenia dla okupu są priorytetem?

Tak, i łowcy to zawsze podkreślają. To jedyne przestępstwo, które dzieje się tu i teraz – jest szansa na uratowanie życia. Jeśli dochodzi do uprowadzenia dla okupu, rzucają wszystko i zajmują się tylko tym. Przy tym zawsze podkreślają, że najważniejszy jest zakładnik. Porywacz jest mniej ważny do momentu uwolnienia zakładnika – oczywiście zbierają materiał dowodowy, ale nikt go wtedy aktywnie nie ściga.

Która z usłyszanych od łowców cieni historii zrobiła na tobie największe wrażenie?

Myszę, że uprowadzenie dziesięcioletniego Kamilka z centrum Krakowa w 2017 roku. Porywacz umieścił go w drewnianej skrzyni, wkopanej do połowy w ziemię. To, że mógł porwać dziecko z centrum miasta i nie nagrała go żadna kamera, jest wprost nie-

wyobrażalne. Ten człowiek przez całe tygodnie obserwował okolicę - wytypował szkołę płatną, bo wiedział, że rodzice uczniów mają pieniądze, a chodzi przecież o okup. Potem zauważył, że mama wysadza Kamilka kawałek przed szkołą - najwidoczniej chłopiec nie chciał, żeby kole-dzy widzieli, że ktoś go przywozi. Te kilkaset metrów, które szedł piechotą, wystarczyło. Porywacz wybrał przy tym miejsce tak, że nie uchwycił go żaden monitoring. Trudno mi sobie wyobrazić, co czuła rodzina, gdy otrzymała nagranie, na którym syn w ciemnym pomieszczeniu prosił rodziców, żeby go uwolnili. Na szczęście mrówcza praca łowców doprowadziła do uwolnienia Kamilka.

A sprawa Kajetana P.?

Ona również zrobiła na mnie ogromne wrażenie - tym uporem i determinacją, z jaką go ścigali. Znałem tę sprawę ze swojej pracy, ale nie wiedziałem wszystkiego. Na przykład tego, że na Malcie przyjechali do miejsca, w którym Kajetan był zaledwie dwie godziny wcześniej. Albo że podczas podróży do Włoch spotkał w autobusie Polkę, która nie wiedziała, że to poszukiwany przestępca. Pytał ją, co ciekawego można zobaczyć w Bolo-

nii, ona wspomniała o Teatrze Anatomicznym, czyli miejscu, w którym przeprowadzane były publiczne sekcje zwłok. Ożywił się wtedy, jak mówiła, nienaturalnie. Zapamiętała go. Potem rozpoznała na zdjęciu, zgłosiła to policji i dała kolejny trop. Takich historii, które nigdy wcześniej nie ujrzały światła dziennego, w książce jest mnóstwo.

Były też sprawy, których opisać nie mogłeś?

Oczywiście. Część rzeczy, które jako dziennikarz wyciągnąłem, przy autoryzacji odpadła. Ustaliliśmy wspólnie, że nie piszemy podręcznika dla przestępców. Jeśli opisana metoda jest taka, że po jej ujawnieniu nigdy już przy jej pomocy nikogo nie złapią - rezygnujemy z tego opisu. Myślę, że znaleźliśmy złoty środek. O sprawach, o których nie miałem wiedzieć, pewnie po prostu mi nie powiedziano. Są też sprawy, o których nie można mówić, dopóki nie zakończy się proces sądowy.

Opowiedz coś o metodach działania łowców cieni, które jednak mogłeś opisać.

Na przykład to, że oni są dosłownie stale gotowi do wyjazdu. Ich wydział nazywany jest czasem przez kolegów z innych jednostek wydziałem walizkowym - i nieprzypadkowo,

bo gdy powstawali piętnaście lat temu, każdy z pierwszych łowców dostał możliwość wyboru walizki na koszt policji. Muszą je mieć spakowane, żeby w każdej chwili być gotowi do wyjazdu. Jeden z nich opowiadał mi, że siedział na weselu brata. Zdążył dwa razy zanurzyć łyżkę w rosole i... musiał wyjść, żeby zorganizować akcję. Wesele trwało, a on zajmował się już swoją pracą. Jeśli chodzi o metody tropienia - dziś najwięcej śladów zostawia się w sieci: monitoring, telefony komórkowe, media społecznościowe, OSINT [Open Source Intelligence, czyli proces legalnego pozyskiwania i analizowania informacji z ogólnodostępnych, publicznych źródeł - przyp. red.]. Można kogoś namierzać na podstawie zdjęcia - i nie musi to być zdjęcie samego poszukiwanego, ale na przykład zdjęcie kogoś bliskiego. Albo namierzanie przez samochód, którego kiedyś używali współpracownicy poszukiwanego. Jeden z byłych łowców mówił też, że poszukiwania zawsze zaczyna od miejsca, w którym poszukiwany był widziany po raz ostatni. Bo każdy zostawi jakiś ślad. To, że ktoś wyrzucił albo zniszczył komórkę, nie znaczy, że nie była w to miejsce zamówiona taksówka, którą zarejestrował monitoring. Albo że ktoś kogoś nie widział przez okno...

Co jest najważniejsze przy rekrutacji do tej jednostki?

Jak mówią sami łowcy, po pierwsze pasja i cierpliwość - można tygodniami nic nie znajdować, a jednak po kilku tygodniach może się to udać. Po drugie - niestandardowe myślenie. Jeśli ktoś był już poszukiwany, ale nie został znaleziony, nie można się sugerować tylko tym, co już sprawdzono. Trzeba spojrzeć na to trochę z boku i dostrzec coś, czego jeszcze nie zauważono. Łowcy nie biorą ludzi z ulicy, ale też nie przyjmują wszystkich policjantów. Szukają osób z doświadczeniem w poszukiwaniach albo pionach kryminalnych - takich, które przyjdą i od razu będą pracować. Siedemdziesiąt procent kandydatów odpada już na etapie selekcji. I jest jeszcze jedno: gra zespołowa. W każdym zespole są specjalizacje - ktoś jest analitykiem, ktoś mistrzem w szukaniu w sieci, ktoś inny mistrzem jazdy samochodem podczas zatrzymania w taki sposób, żeby nic nie stało się osobom postronnym. To dream team, który się nawzajem uzupełnia.

Mówiłeś, że łowcy są skromni, niepozorni. Ale czy ta skromność to tylko pozory, czy coś głębszego?

To coś głębszego i oni bardzo chcieli, żebym to podkreślił.

Mnie też to uderzyło - ludzie, którzy mają na koncie mnóstwo sukcesów, którzy łapią najgroźniejszych przestępców, mogliby przecież chodzić z wysoko uniesioną głową. Tymczasem przy autoryzacji, gdy przeglądaliśmy gotowe fragmenty, sami zwracali mi uwagę: słuchaj, musisz napisać, że przy tej sprawie współpracowaliśmy z lokalnymi policjantami, bo oni są bardzo ważni w całej układance. Że gdyby nie oni, moglibyśmy ostatecznie nie wpaść na ślad poszukiwanego. Podkreślali, że wszyscy, z którymi współpracują - z innych formacji, ze służb z danego kraju - są dla nich bardzo ważni. Że ten ktoś za granicą został zatrzymany także dzięki służbom z tamtego kraju. Sami mi o tym

przypominali, żebym tego nie pominął. To robi wrażenie.

I ostatnie pytanie - czy po tym wszystkim, co wiesz, da się jeszcze normalnie oglądać filmy kryminalne?

Dalej lubię je oglądać - to chyba zбочzenie zawodowe. Ale zdarza mi się złapać na myśli: o kurczę, przecież to można było zrobić inaczej, to takie proste. Filmy fabularne trochę przekłamują rzeczywistość. Moja książka nie ma w sobie ani grama fabuły - wszystko opiera się wyłącznie na faktach. Myślę jednak, że każdy, kto ją przeczyta, też będzie miał potem takie spojrzenie - że pewne rzeczy wydają się oczywiste, a jednak na nie nie wpadliśmy.

CV

Piotr Halicki - dziennikarz i historyk, z mediami związany od ponad dwudziestu lat. Karierę zaczynał w białostockim „Kurierze Porannym”, następnie pracował w ogólnopolskim dzienniku „Fakt”. Obecnie - od kilkunastu już lat - jest w redakcji Onetu, gdzie specjalizuje się w tematyce kryminalnej, służbach mundurowych i dziennikarstwie śledczym. Dwukrotnie nominowany do nagrody Grand Press. „Łowcy Cieni. Kulisy działania najbardziej tajemniczej jednostki policji” (Wydawnictwo Otwarte, 2025) to jego pierwsza książka, która ukaże się 17 czerwca 2026 roku. Można ją zamówić w przedsprzedaży na: www.otwar-te.eu/nawosc/lowcy-cieni

REKLAMA

0011521052



Forum Dostawców
Przemysłu Energetycznego
i Obronnego

Rzeszów 2026

15 czerwca 2026 Rzeszów

ZAPISZ SIĘ JUŻ DZIŚ

energiazpolski.pl

Udział bezpłatny.

Liczba miejsc ograniczona.

- **Panele dyskusyjne** o sytuacji i inwestycjach w sektorach energetycznym i obronnym
- **Warsztaty** poświęcone mechanizmom finansowania dla dostawców, procesom certyfikacyjnym oraz prawu zamówień publicznych

Przyjedź. Pokaż swoją firmę.

Nawiąż kontakty z ludźmi, którzy decydują o kluczowych zamówieniach i nowych inwestycjach.

PAULA ROMA: PRZESZŁAM DŁUGĄ I KRĘTĄ DROGĘ DO AKCEPTACJI SWOJEJ NADWRAŻLIWOŚCI

Jej poprzednia płyta ma ponad 3 miliony odtworzeń w serwisie Spotify. Teraz przyszedł czas na nowy album wokalistki – „Z resztek”. Nam Paula Roma zdradza, jak radość z bycia mamą zamieniła w nowe piosenki

Patryk Gzyl

Kiedyś powiedziałaś w wywiadzie: „Zależy mi bardzo, aby moja muzyka dotarła do ludzi wrażliwych”. Udało ci się znaleźć takich słuchaczy?

Zdecydowanie. I dziś jeszcze bardziej mi na tym zależy. Wtedy mówiłam to z nadzieją na przyszłość, rzucając w eter prośbę o takich słuchaczy. Tak się stało i teraz marzę, aby ta grupa była jeszcze większa. Po prostu apetyt rośnie w miarę jedzenia. Dziś jeszcze bardziej rezonuje ze mną to zdanie, bo mam wrażenie, że trafiam tylko i wyłącznie do takiego słuchacza. Kilka razy próbowałam pisać choć odrobinę mniej wrażliwe piosenki – i dziś nie chcę już tego robić. Bo mój słuchacz jest wręcz nadwrażliwym.

Sama też jesteś osobą wysoce wrażliwą. To bardziej utrudnia ci życie, czy stymuluje twoją artystyczną kreatywność?

Jedno i drugie. Jestem osobą wysoce wrażliwą, ale w świecie artystów to właściwie norma. Dlatego nie czuję się w nim inna. Ale w codziennym życiu – tak. I im jestem starsza i dojralsza, tym bardziej tę inność odczuwam. Tylko wcześniej ciążyło mi to i wydawało mi się, że to moja wada, a teraz przyjmuję to bez oceny. Uważam, że jestem, jaka jestem i korzystam z tego w naturalny sposób – wymyślałam piosenki cały czas: budząc się, biorąc prysznic, pijąc kawę. Pogodziłam się z tym i zaakceptowałam to jako coś pięknego. Czuję, że to moja wielka zaleta.

W piosenkach z nowej płyty z czułością pielęgnujesz tę wrażliwość. Nie trzeba się jej wstydzic?

Po sześciu latach, od kiedy narodziła się Paula Roma, czuję, że jest to powód do dumy.

Przeszłam bardzo długą i krętą drogę do akceptacji swojej nadwrażliwości. Dziś wiem, że wpływa ona na mój sposób pisanania, sznyt mojego pióra, jak się wypowiadałam i śpiewam. Bez tej wrażliwości byłabym po prostu inną osobą.

Do wspólnego śpiewania na płycie zaprosiłaś też dwie inne kobiety – Katię i Sarsę. Dlaczego akurat one?

Katię zaprosiłam do pierwszego duetu na tę płytę. Było to siedem miesięcy temu. Czyli bardzo dawno jak dla mnie, bo ja już żyję nowymi piosenkami. A pomyślałam o niej, ponieważ chciałam w utworze „Robisz mi w głowie” drugi kobiecy głos o ciemnej barwie. Kathia wydała w tamtym czasie debiutancką płytę i usłyszałam jej piosenkę „Kamfora”. „Chcę mieć ten głos na swojej płycie!” – stwierdziłam wtedy. Tak też się stało i powstał bardzo zmysłowy duet.

A jak było z Sarsą?

„Przyznaję się” jest z kolei jednym z ostatnich numerów, które zrobiłam na nową płytę. Kosztował mnie on najwięcej wysiłku. Szukałam bowiem w nim większej melodii i lekkości w połączeniu z trudniejszym tekstem. Kiedy powstał jego szkic, uznałam, że potrzebuję w nim wokalistki, która dobrze rozumie świat popu. Od razu wpadła mi do głowy dziewczyna o charakterystycznym głosie – Sarsa. Zadzzwoniłam do niej – i udało się.

Wpuściłaś jednak też do swego kobiecego świata mężczyznę.

To Michał Lange w piosence „Gonił jak zły”. To mój pierwszy męski duet. Tekst tej piosenki opowiada o mężczyźnie, który jest absolutnym materialistą i widzi tylko pie-



Paula Roma: Pogodziłam się z tym, że emocje, które odczuwam każdego dnia, są dla mnie po prostu zapalnikiem do napisania kolejnej piosenki

niądze. Nie było więc innej opcji – musiał tu zaśpiewać wokalista. Myślałam długo kto to mógłby być. Szukałam konkretnej barwy głosu i pasowali mi aż trzej piosenkarze. Wystosowałam do nich propozycje i Michał się zgodził.

Kiedyś stwierdziłaś: „Inspirują mnie emocje – moje i moich najbliższych”. Tak było w przypadku piosenek z nowej płyty?

Jak najbardziej. Ja po prostu żyję sztuką i przestałam z tym walczyć. W ciągu ostatnich lat próbowałam rozdzielić dwie sfery swego życia: śpiewać i pisać piosenki oraz prowadzić zwyczajne życie osoby, niebędącej artystyczną duszą. Okazało się, że to zupełnie niepo-

trzebne. Zrozumiałam, że jestem tak empatycznym i czułym człowiekiem, że przekłada się to nie tylko na to, co tworzę, ale też jaka jestem na co dzień. Pogodziłam się z tym, że emocje, które odczuwam każdego dnia, są dla mnie po prostu zapalnikiem do napisania kolejnej piosenki.

Ważne są tu też piosenki, w których deklarujesz, że warto być sobą i żyć na własnych zasadach: „Nie wypada” czy „Przyznaję się”. Kierujesz je do innych, czy też trochę do siebie?

Ja zawsze zaczynam od siebie. Moi znajomi mówią, iż zazdrozczą mi tej cechy – że nie patrzę na innych ludzi. Nigdy nie miałam takiej natury. Mama wpajała mi od dziecka,

żebym najpierw patrzyła na siebie i dawała innym coś od siebie. Słyszałam to od rana do wieczora i to się przeniosło na moją muzykę. Zaczynam od tego, co ja czuję i myślę, dopiero potem staje się to odbiciem doświadczeń czy przemyśleń innych ludzi. Bardzo często śpiewam na tej nowej płycie w pierwszej osobie – „Ja przyznaję się” czy „Ja chcę więcej czasu na miłość”. Wcześniej świadomie tego nie robiłam. Dzięki temu ktoś, kto słucha mojej piosenki, słyszy w niej siebie.

Pod względem muzycznym udało ci się stworzyć bardzo melodyjne utwory, które od razu chce się z tobą śpiewać. Jak to się robi?

To pytanie, które słyszę obecnie bardzo często, ponieważ od niedawna jestem czynnym songwriterm – piszę piosenki dla innych wykonawców. Wiele utworów, które emituje radio lub które są na streamingowych playlistach, wyszło spod mojego pióra. Stąd to pytanie: „Paula, jak to się robi?”. A ja powiem ci szczerze, że nie mam pojęcia! (śmiech) Zartuję oczywiście – bo gdzieś tam mam jakieś pojęcie i czuję to do pewnego stopnia. Wiem co robić, kiedy chcę napisać bardziej popową melodię, a kiedy zupełnie mi na tym nie zależy, tylko piosenka sama powstaje. Nie lubię kalkulacji w muzyce, która bardzo mocno kojarzy się z dzisiejszymi czasami. Kilka razy jednak z niej skorzystałam i poszłam na kompromis, aby się lepiej poznać – i nie żałuję tego. Dzięki temu zdobyłam wiedzę jak się pisze piosenkę. Trzeba oczywiście spróbować tego wiele razy, dopiero wtedy można sobie odpowiedzieć na pytanie „jak to się robi”. W moim przypadku robi się to w jak najbardziej wrażliwy i naturalny sposób, jak się da. Każdy artysta ma jednak inną odpowiedź.

Większość utworów z płyty to energetyczna i pozytywna muzyka. To dlatego, że masz teraz ten dobry czas w życiu?

Tak. Większość płyty jest radosna, bo odzwierciedla czas macierzyństwa. Tak to zawsze się dzieje, że każda kolejna płyta jest zapisem danego okresu w życiu artysty. Jeśli ma doła, to możemy się spodziewać przejmującej płyty. Jeśli rodzi mu się dziecko i jest szczęśliwy, to możemy się spodziewać czegoś radosnego. W moim przypadku to bardzo duży miks, ale faktycznie ten wektor zwrócił się teraz bardziej ku szczęściu. Stąd masz pewnie takie odczucia. A ja z kolei mam niedosyt, że za mało na „Z resztek” smutnych piosenek. (śmiech)

Są tu jednak trzy dramatyczne utwory. To dla ciebie wyjątkowe piosenki?

Najbardziej wyjątkowa jest „Już nigdy nie spojrzę na morze”. To mój numer jeden z tej płyty. Czuję też, że ta piosenka jest najważniejsza dla moich słuchaczy. Opowiada ona o trudnym doświadczeniu, o którym wiele ludzi boi się mówić – o żalu, smutku i próbie pogodzenia się z odejściem bliskiej osoby. W tamtym czasie, kiedy ją napisałam, odszedł mój najlepszy przyjaciel. Kochał surfować, dużo czasu spędzał w morzu – i to w hołdzie dla niego napisałam ten utwór. Widzę teraz, że dla wielu ludzi jest ona swoistym plastrem na ranę, jaką rodzi nieprzepracowany żal czy tęsknota za kimś, kto odszedł na zawsze.

Poprzedni twój album miał w Spotify aż 3 miliony odtworzeń. „Z resztek” pobije ten wynik?

Nie myślałam o tym. Może dlatego, że jestem artystką a nie księgową. (śmiech) To jednak naturalne pytanie w tych czasach. Może gdybym myślała o cyfrach, byłabym dzisiaj w innym miejscu niż jestem. Ale mnie jedyne, co interesuje, to tylko to, żebym po wydaniu płyty, była z niej w pełni zadowolona. To mój cel w życiu. Bo wyobraź sobie, że piszesz książkę i poświecasz na to dwa lata – a tu nagle wychodzi coś, z czego nie jesteś zadowolony. Wiesz jaki to jest ból? Dlatego moim priorytetem jest muzyka, która w dniu swej premiery sprawia, że mówię: „Ale mam wspaniały dzień!”. Moim celem nigdy nie był pieniądz i mam nadzieję, że słyhać to w mojej twórczości.

Ponoć już jako dziecko wcześniej śpiewałaś niż mówiłaś. Potem przez 12 lat brałaś lekcje śpiewu. Od zawsze chciałaś być piosenkarką?

Tak. Od kiedy mam synka, patrzę na takie małe dziecko i widzę, że już pojawiają się u niego pierwsze skłony ku jakimś pasjom. A ma dopiero dwa lata. Moja mama miała podobne obserwacje względem mnie. Marzę dziś, by być takim samym rodzicem, jakim byli i są moi rodzice – wspierać u mojego synka tę naturalną iskrę talentu, którą przejawia. Moi rodzice zauważyli ją u mnie u samego początku. Jest nawet taki filmik, na którym mam cztery lata i wracam autokarem z Hiszpanii i pan kierowca daje mi mikrofon, a ja wychodzę na środek i śpiewam „Czerwone korale”. (śmiech) To piękne wspomnienie. Moi rodzice otoczyli mnie wspaniałą opieką i gdyby nie ich wiara w mój wokalny talent, pewnie dziś byśmy nie rozmawiali o Pauli Romie.

Zadebiutowałaś jako Paula Roma, mając 27 lat. To dosyć późno, jak na dzisiejsze stan-

dardy w show-biznesie. Tak długo szukałaś własnej drogi?

Tak. Odnalazłam się w pełni świadomie jako piosenkarka dokładnie sześć lat temu. Każdy ma swoją drogę i swoją historię. Świat drastycznie zmienił się przez ten ostatni czas. Kiedy miałam 15 lat, nie wolno było się w szkołach ubierać po swojemu czy malować paznokci, a dziś - wszystko jest dopuszczalne. Nie oceniam tego, tylko stwierdzam fakt - jest po prostu inaczej. Pocho- dzę też z niewielkiej miejscowości pod Warszawą i miałam mniejsze możliwości muzycznego rozwoju. Dlatego choć od zawsze wiedziałam, że chcę śpiewać, to długo skradałam się do mikrofonu. Potwierdza to też ścieżka mojej edukacji: po maturze poszłam na studia metodyki emisji głosu i wiele lat uczyłam innych śpiewać. Dopiero mając 27 lat zrozumiałam co naprawdę chcę robić.

Dlaczego nie objawiłaś się światu jako Paulina Romanuk, tylko Paula Roma?

To ciekawa historia. W 2020 roku miałam wydać w Kayaxie pod własnym imieniem i nazwiskiem mój pierwszy singiel „Nie do powiedzenia”. Ale pewnego dnia, kiedy byłam w Sopocie na wakacjach, poczułam, że tak być nie może - że potrzebuję się jakoś nazwać inaczej. Że to jest moja droga

i koniec dyskusji. Zadzwo- niłam do Kayaxu i okazało się, że wszystko jest już gotowe z moim imieniem i nazwi- skiem: okładka singla, na- główki w Spotify, grafiki, tele- dysk. Przeprosiłam ich za za- mieszenie, ale powiedziałam, że od dzisiaj jestem Paula Roma i trzeba wszystko zmie- nić. Tak też się stało.

Ten twój powolny rozbieg sprawił, że w chwili debiutu byłaś już dojrzałą artystką?

Tak mi się wydaje. Wszystko ma swoje plusy i minusy. Piszę obecnie często piosenki dla debiutantów, mających po 19-20 lat. Widzę wtedy różnicę między nimi a mną na starcie. Oni są bardziej odważni niż ja byłam i postrzegam to bardzo pozytywnie. Ale widzę też, że w większości przypadków, nie są tak naprawdę gotowi na debiut. A ponieważ ta droga jest tak trudna, bolesna, pełna emocjonalnych wyzwani, to nie dają sobie na niej rady ze względu na swoją młodzień- cą naiwność. Jednemu na sto uda się, ale reszta zalicza bole- sny upadek. Wtedy zaczynają się depresje i lęki, co sprawia, że większość rezygnuje w ogóle z uprawiania muzyki. Dlatego aż roi się od wyko- nawców, którzy wydają jedną czy dwie piosenki - i potem ni- gdy już o nich nie słyszysz. Show-biznes ich zmiażdżył.

Szukając siebie przez dłuższy czas, uczymy się tego, co jest niezbędne, aby być na stałe w tej branży. Początkowo wy- rzucałam sobie, że miałam ten długi rozbieg i uważałam, iż wszystko dzieje się u mnie za późno. Dopiero potem zro- zumiałam, że zaczęłam w ide- alnym momencie.

Powiedziałaś kiedyś, że pierw- szy album „Cholerne pragnie- nie” stworzyłaś, borykając się z depresją i stanami lękowymi. Z czego wynikały te problemy?

Z bardzo trudnego doświad- czenia, które zakończyło się dwuletnim procesem sądo- wym. Stres, jaki przeżyłam, dotknął całe moje ciało - od serca po głowę. Wszystko wtedy cierpiało. Nie potrafi- łam sobie z tym sama poradzić i musiałam się poddać lecze- niu. Najskuteczniejszym le- karstwem okazało się jednak dopiero napisanie piosenek na debiutancki album. Mimo że byłam na terapii i łykałam tabletki, praktykowałam jogę i medytację, próbowałam pul- singu, słuchałam muzyki re- laksacyjnej, to niezbędne było stworzenie „Cholernego pra- gnienia”, które pomogło mi uporać się z tymi problemami w stu procentach.

I twoja druga płyta „To, co płonie z miłości” była już bar- dziej pozytywna.

Bo wyszłam z tego. Poczułam, że wyzdrowiałam z depresji, co wcale nie jest takie oczywiste. Uporałam się z nią sprawnie w półtora roku i zbudowałam siebie na nowo. Zdecydowa- łam się wtedy na bycie mamą w szczytowym momencie mo- jej kariery. Chwilę przed wyda- niem „To, co płonie z miłości” grałam duże festiwale, jak „Męskie Granie” czy „Letnie Brzmienia”, miałam zapeł- niony kalendarz koncertami i było o mnie głośno. A ja wtedy poczułam całą sobą, że zbliża mi się trzydziestka i bar- dzo pragnę zostać mamą, bo lepszemu momentu nie będzie. Pamiętam, miałam wtedy taką myśl, której na głos nigdy nie wypowiedziałam, że jeśli teraz nie zdecyduję się na macie- rzyństwo, to moja kariera tak się rozwinie, iż nie będę w sta- nie wcisnąć guzika „stop”.

Wytwórnia nie wpadła w pa- nikę?

Nie. Podpisałam kontrakt z Warnerem na trzy płyty, ma- jąc 24 lata i już na pierwszym spotkaniu powiedziałam, że gdzieś po drodze będę chciała zrobić sobie przerwę na macie- rzyństwo. Niby wytwórnia nie może się wtrącać w życie osobiste artysty, ale ja chcia- łam być lojalna i uprzedziłam, że na tej mojej drodze kariery będzie taka mała przerwa. Dlatego wszyscy byli na to

przygotowani i kiedy tak się stało, otrzymałam pełne zro- zumienie.

Młodzi artyści często narze- kają na duże wytwórnie, że bardzo mocno nimi sterują - choćby Alicja Szemplińska. To nie twój przypadek?

Ja mam tak silny charakter i asertywność, że nie ma szans na uskutecznianie ze mną takich gier. (śmiej) Tak naprawdę nigdy nie czułam ze strony wytwórni tego ro- dzaju prób. Przeciwnie: je- stem bardzo zadowolona ze wsparcia, jakie mi udziela przez lata. Jasne - zawsze może być lepiej. Ale bardzo doceniam, że wytwórnia uwiaryła we mnie i zrobiła wiele, aby wypromować Paulę Romę i rozumie kieru- nek, w którym chcę iść. Na samym początku ustalili- śmy, że nagram płytę po swo- jemu i będzie to alternatywa, a nie stricte mainstreamowy pop. Postawiłam więc sprawę bardzo jasno. Byłam późną debiutantką, więc miałam w sobie odwagę i asertyw- ność. A tego typu historie, o których mówisz, zdarzają się najczęściej przy bardzo młodych debiutach. Gdy wy- twórnia pyta artystę, w którą stronę chce iść, a on odpo- wiada „Nie wiem”, to bierze sprawy w swoje ręce. I potem są narzekania.

Postawiłaś na swoim i jesteś mamą od dwóch lat. Trudno pogodzić życie rodzinne z ka- rierą w show-biznesie?

Jakbym powiedziała, że łatwo, to bym skłamała. (śmiej) Bardzo trudno, ale bardzo warto. Aczkolwiek wydaje mi się, że znalazłam balans i cał- kiem dobrze sobie radzę. My- ślę, że właśnie to połączenie - bycia mamą i artystką - daje mi absolutne spełnienie.

Jesteś mężatką. Mąż wspiera cię w muzycznych poczynaniach?

Bardzo. Gdyby mnie nie wspie- rał, to na pewno nie byłibyśmy razem dziesięć lat. (śmiej) Wyszłam bardzo wcześniej za mąż jak na obecne standardy - bo miałam 23 lata. Ale jakoś mnie strzeliła strzała Amora, tak jak w mojej piosence „Cześć, tu miłość”. Kiedy po- znałam mojego przyszłego męża Jakuba, od razu wiedzia- łam, że to jest ten jedyny. Wierzę w romantyczną miłość, może nie taką jak w filmach, gdzie jest sztuczna i wyreżyse- rowana, ale w taką prawdziwy porwy serca. To choćby przypa- dek moich rodziców, którzy są ze sobą ponad 50 lat i kochają się nad życie. Podobnie jest wśród moich przyjaciół. To po- zwala mi wierzyć w miłość prawdziwą i niezłomną. Dla- tego tak dużo o tej miłości piszę i taką miłość znalazłam.

REKLAMA

0011510036



JUŻ W TEN WEEKEND

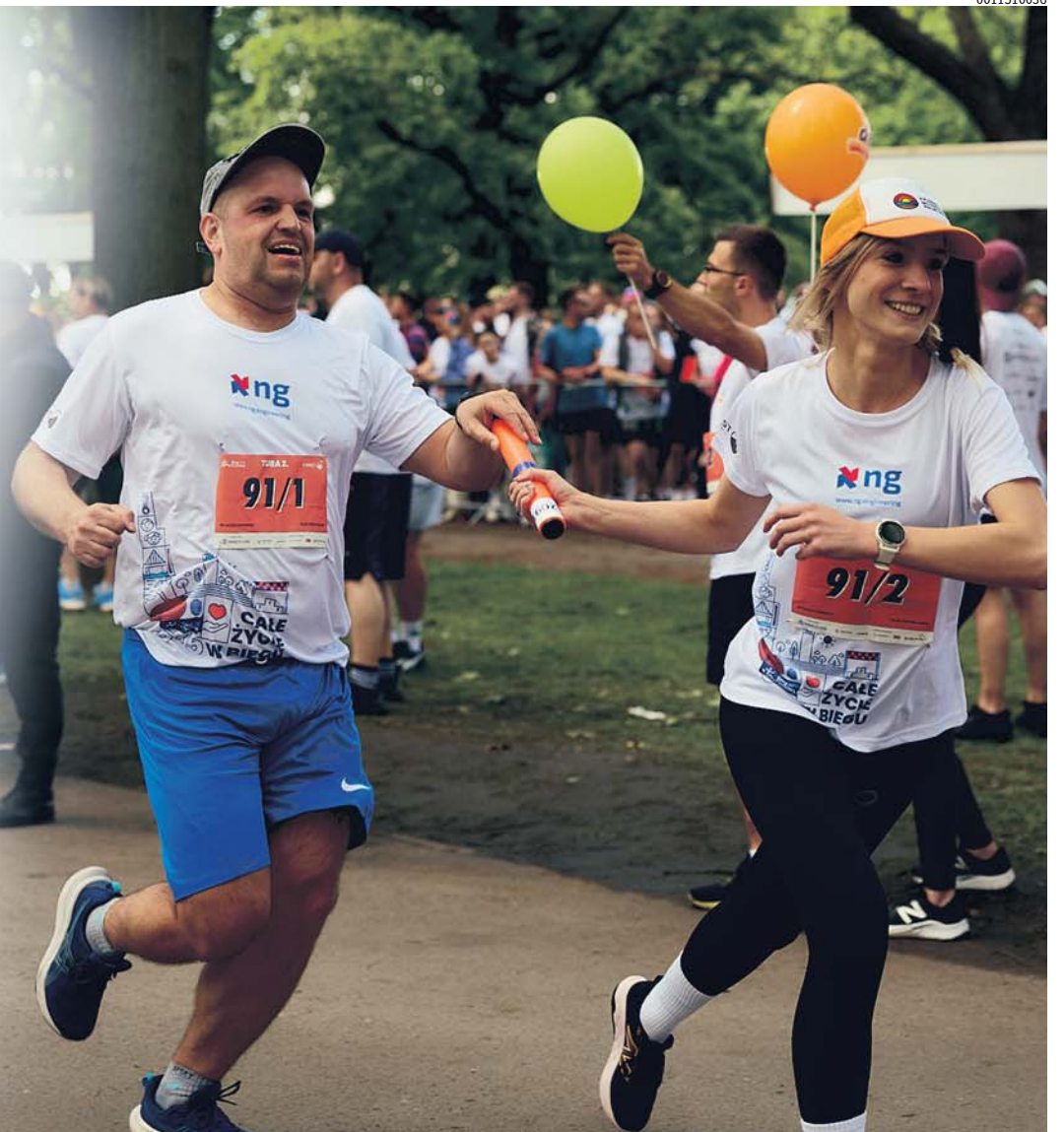
ROZBIEGAMY

WROCŁAW

W SZCZYTNYM

CELU!

24.05.2026

STADION OLIMPIJSKI
WE WROCŁAWIU

Bożena Kończal

Czy dolnośląskie firmy z sektora MŚP mają lepsze warunki rozwoju niż te w innych częściach Polski?

Uważam, że Dolny Śląsk na mapie Polski jest bardzo dobrym miejscem do inwestowania i prowadzenia biznesu. Decyduje o tym nie tylko dogodnie położenie geograficzne i rozwijająca się infrastruktura transportowa, ale również działania samorządu województwa, który dba o tworzenie przyjaznego otoczenia biznesowego dla mikro, małych, średnich przedsiębiorców. Przykładem tych działań jest m.in. Dolnośląski Fundusz Rozwoju - spółka, w której województwo dolnośląskie jest 100% udziałowcem. Możemy na to patrzeć także poprzez pryzmat inwestycji zagranicznych, które były prowadzone na naszym terenie już od lat dziewięćdziesiątych, nadal istnieją, mają się dobrze, i co więcej, pojawiają się nowe.

Ilu przedsiębiorców wsparł już Dolnośląski Fundusz Rozwoju?

Dolnośląski Fundusz Rozwoju swoją bardziej intensywną działalność polegającą na udzielaniu pożyczek i reporeczeń, prowadzi od 2016 r. Przez ten czas wsparliśmy kilka tysięcy dolnośląskich przedsiębiorców. Były i są to zazwyczaj tzw. instrumenty zwrotne, które wracają od pożyczkobiorców do DFR i w następnych latach służą zasilaniu kolejnych firm. Zarządzamy pieniędzmi publicznymi pochodzącymi z wcześniejszych regionalnych programów operacyjnych 2007-2013 i 2014-2020, a zatem środkami, które trafiły na Dolny Śląsk jako fundusze europejskie, a następnie zostały przekazane przez Zarząd Województwa do DFR, do dalszego ich dystrybuowania m.in. w formie pożyczek.

Dolnośląski Fundusz Rozwoju jest podmiotem, który dotychczas działał na rynku poprzez pośredników finansowych, będąc tzw. menadżerem produktu. Pośrednicy działają blisko przedsiębiorców w subregionach naszego województwa, na przykład Agencja Rozwoju Regionalnego ARLEG w Legnicy, Fundusz Regionu Wałbrzyskiego w Wałbrzychu, Agencja Rozwoju Regionalnego AGROREG w Nowej Rudzie, Karkonowska Agencja Rozwoju Regionalnego w Jeleniej Górze czy we Wrocławiu: Dolnośląska Agencja Współpracy Gospodarczej i Wrocławska Agencja Rozwoju Regionalnego. Od tego roku Dolnośląski Fundusz Rozwoju będzie prowadził dystrybucję swoich produktów także bezpośrednio, pierwszym, który właśnie w maju wchodzi na rynek, jest Inwestycyjna Pożyczka Obronnościowa (IPO).

Kto może skorzystać z oferty finansowej DFR?

„MIKRO W MAŁE, MAŁE W ŚREDNIE, ŚREDNIE W DUŻE!”. MISJA REALIZOWANA MIMO TRUDNYCH CZASÓW

Rozmowa z dr. Robertem Kosztem, prezesem Dolnośląskiego Funduszu Rozwoju (DFR)



**Dr Robert Koszt,
prezes DFR**

Przede wszystkim mikro, małe i średnie przedsiębiorstwa zarejestrowane na terenie Dolnego Śląska. Mogą jednak także zgłaszać się firmy, które mają swoje siedziby w innych województwach, ale w naszym regionie otwierają swoje oddziały lub filie, czyli tutaj prowadzą działalność gospodarczą i tutaj chcą inwestować.

Dlaczego Wasza oferta jest tak atrakcyjna?

W finansowaniu sektora MŚP mamy między innymi możliwość wykorzystywania pomocy de minimis, bazując na uchwałach Sejmiku Województwa Dolnośląskiego. W związku z tym oprocentowanie pożyczek może być znacznie niższe niż w bankach komercyjnych. W przypadku Dolnośląskiej Pożyczki Obronnościowej oprocentowanie zaczyna się od 2,87%, a Inwestycyjnej Pożyczki Obronnościowej już od 2,15%. Nie ma u nas także większości opłat administracyjnych czy prowizji, ponadto DFR i nasi pośrednicy pomagają w wypełnianiu wniosków, nie pobierając za to opłat.

Czyli pomagacie, ale na tym nie zarabiacie?

Jako spółka prawa handlowego oczywiście prowadzimy działalność gospodarczą, ale z uwagi na postanowienia naszego aktu założycielskiego i specyfikę udziałową ma ona charakter non for profit. Zysk nie jest naszym celem podstawowym i choćby z tego powodu wspieramy przedsiębiorców także w sytuacjach kryzysowych. Przykładem mogą być

pożyczki interwencyjne w czasach pandemii Covid-19 albo powódź na Dolnym Śląsku w 2024 r., kiedy szybko wprowadziliśmy produkt reporeczeńowy REPO Pomoc, aby ułatwić odbudowę zniszczeń na terenie naszego województwa.

Wspominał Pan o Inwestycyjnej Pożyczce Obronnościowej (IPO). Skąd ten pomysł?

Wychodzimy tu naprzeciw oczekiwaniom przedsiębiorców, jak i władz województwa. Wydarzenia za naszą wschodnią granicą i inne sytuacje kryzysowe, z jakimi się stykamy, skłoniły nas do skierowania na rynek produktu, którego celem jest finansowanie zadań mających charakter tzw. pod-wójnego przeznaczenia. Inwestycje realizowane w ramach pożyczki mają służyć przedsiębiorcom w czasach pokoju, ale gdyby doszło do sytuacji kryzysowych, inwestycja taka może zostać wykorzystana na cele związane z poprawą bezpieczeństwa i obronnością. Przykładowo, jeżeli mówimy o linii produkcyjnej, ma być to inwestycja wykorzystywana obecnie typowo biznesowo na cele cywilne, ale w przypadku wystąpienia sytuacji kryzysowej, umożliwić przedstawienie produkcji na cele związane z ochroną ludności, czy wprost na cele wojskowe. Jeśli chodzi o kwestie cyberbezpieczeństwa, mogą być to inwestycje np. w sprzęt elektroniczny lub oprogramowanie komputerowe, które będzie chroniło przed atakami teleinformatycznymi, sfinansujemy również zakupy na zasilenie awaryjne chroniące przed przerwami w dostawie energii. Wsparzymy także inwestycje magazynowe związane z funkcjami dystrybucyjnymi, które w przypadkach zagrożenia mogą zostać przekazane na potrzeby obrony cywilnej lub służb mundurowych. Nie ukrywam, że liczymy na kreatywność i pomysłowość przedsiębiorców w kierowaniu do nas wnioskach. Nie chcemy nikogo straszyć, ale warto się odpowiednio przygotować do identyfikowalnych obecnie zagrożeń.

Jakie są warunki dzielenia IPO?

Inwestycyjna Pożyczka Obronnościowa to nasz najnowszy produkt finansowy, dla którego elektroniczny nabór wniosków ruszył 7 maja br. Zainteresowanie jest spore, bowiem już wcześniej na spotkaniach Dolnośląskich Liderów Biznesu mówiliśmy o jej projekcie. Jednostkowo możemy udzielić pożyczki do 4 milionów zł, przy oprocentowaniu już od 2,15% na okres do 7 lat. Szczegółowe informacje są dostępne na naszej stronie internetowej, ale zachęcam także do telefonicznego kontaktowania się z pracownikami DFR. Wyjaśnimy wszystkie sprawy związane z warunkami udzielenia pożyczki oraz bezpłatnie pomożemy w wypełnieniu wniosku.

Na IPO zaplanowanych jest 30 milionów złotych. To stosunkowo niewielka kwota...

To pierwsza transza, którą chcemy skierować na rynek. Jeżeli szybko znajdzie odbiorców na terenie naszego województwa, zwiększymy alokację o kolejne kwoty, na przykład o kolejne 30 milionów zł.

Macie w ofercie jeszcze 5 innych produktów finansowych.

Tak, w połowie zeszłego roku w ofercie naszych pośredników pojawiła się Dolnośląska Pożyczka Obronnościowa, przeznaczona na bieżące wydatki związane z prowadzoną działalnością gospodarczą. Warto wspomnieć także o naszych reporeczeniach: RepoPomoc - produkt wspierający uzyskanie finansowania na likwidację strat spowodowanych z 2024 roku oraz REPO2 zabezpieczające m.in. należyte wykonanie kontraktu, usunięcie wad i usterek czy zapłatę wadium. Aktywnie działa także nasza alternatywna spółka inwestycyjna Lowercap DFR ASI, która kontynuuje działalność dawnego DFR Inwestycyjny i wspiera z naszych środków dolnośląskie start-upy. Jest to fundusz venture capital działający zgodnie z ustawą o funduszach inwestycyjnych i kontrolowany przez Komisję Nadzoru Finansowego. Inwestycje, które realizujemy poprzez ten fundusz

polegają na obejmowaniu udziałów w dolnośląskich przedsiębiorstwach na okres zazwyczaj do 5 lat i wsparciu merytorycznym m.in. poprzez udział naszego przedstawiciela w Radzie Nadzorczej. W perspektywie ostatnich lat możemy się pochwalić bardzo dobrymi rezultatami z tych inwestycji, które posłużyły do zbudowania wielu ciekawych przedsiębiorstw i ich sukcesów zarówno na rynku krajowym jak i międzynarodowym. Są to na przykład Scanway, obecnie już firma giełdowa z sektora kosmicznego, KFB Acoustics, DokDok, Your Kaya, Pergamin, czy Livekid - producent oprogramowania dla żłobków i przedszkoli. Co istotne, w kontekście naszego wsparcia kapitałowego, udaje nam się też ściągać biznesy na Dolny Śląsk z innych województw, a poprzez dalsze inwestycje tych firm, tutaj ciekawostka, nasze województwo stało się także udziałowcem przejmowanych przedsiębiorstw zlokalizowanych w innych krajach Unii Europejskiej, a także w Ameryce Południowej.

Czy do końca roku zapowiadają się w DFR jakieś nowości?

Jeszcze przed końcem tego roku, będziemy starali się skierować na dolnośląski rynek kolejne produkty pożyczkowe, myślimy m.in. o pożyczce hipotecznej i dodatkowej pożyczce obrotowej. Zachęcam więc dolnośląskich przedsiębiorców do stałego śledzenia naszej oferty. Możemy się także spodziewać kolejnych inwestycji naszej alternatywnej spółki inwestycyjnej, która uważnie obserwuje rozwój rynku dolnośląskich start-upów i co roku dokonuje przeglądu i analizy finansowej około 400 potencjalnych nowych przedsięwzięć.

DFR zajmuje się także działaniami edukacyjnymi. Które są najważniejsze?

Dolnośląski Fundusz Rozwoju poza dystrybucją produktów finansowych, prowadzi także działalność informacyjno-edukacyjną wśród przedsiębiorców i młodych adeptów biznesu. Chciałbym

wskazać na kilka takich inicjatyw. Głównie spotkania Dolnośląskich Liderów Biznesu, projekt który wystartował w ub. roku z zamiarem odwiedzenia wszystkich powiatów województwa. W ramach tego cyklu spotykamy się z przedsiębiorcami średnio raz w miesiącu, w tym roku gościliśmy już we Wrocławiu, Zgorzelcu i w Świdnicy, przed końcem maja wizytować będziemy jeszcze Trzebnicę, a w czerwcu Lubin i Jawor. Na spotkaniach prezentujemy ofertę i wystąpienia ekspertów z różnych obszarów małego średniego i średniego biznesu, którzy starają się podpowiedzieć jak w dynamicznie zmieniającym się otoczeniu gospodarczym, skutecznie optymalizować działalność lokalnych firm. Drugim bardzo ważnym przedsięwzięciem jest Kongres MŚP, którego I edycja w październiku 2025 r. spotkała się z pozytywnym odbiorem dolnośląskich przedsiębiorców i samorządowców. W tym roku, również w październiku, planujemy drugą edycję tego wydarzenia. Warto również powiedzieć o takich programach jak Wielka Bitwa o Startup i Szkoła Liderów Lokalnych. Pierwszy z nich to konkurs realizowany z wrocławskimi uczelniami, który pozwala nagrodzić najlepiej zapowiadające się przedsięwzięcia startupowe wśród studentów i absolwentów szkół wyższych. Pozwala on młodym ludziom zrobić pierwszy realny krok w stronę biznesu, to rzeź przesterzeń, w której pomysły akademickie mogą spotkać się z kapitałem i doświadczeniem współpracujących z nami inwestorów. Natomiast Szkoła Liderów Lokalnych łączy środowisko akademickie z jednostkami samorządu terytorialnego, którego celem jest wzmocnienie kompetencji przyszłych liderów oraz wypracowywanie praktycznych rozwiązań dla wyzwań stojących przed dolnośląskimi gminami. Cyklicznie odbywa się też wydarzenie dla inwestorów „Dolny Śląsk. Mikrokosmos Inwestycji”, organizowane przez Lowercap DFR ASI we współpracy z DFR. Patronujemy też Forum Ekonomicznemu w Karpaczu oraz prestiżowemu plebiscytowi gospodarczemu „Gazeta Wrocławskiej” Złota Setka Dolnośląskiego.

Co daje Panu największą satysfakcję jako prezesowi DFR?

To, gdy obserwuję jak rozwijają się dolnośląskie firmy, które wspieramy. Zgodnie z naszym mottem „Mikro w małe, małe w średnie, średnie w duże!”. Ta misja jest realizowana, mimo trudnych geopolitycznych czasów, czy choćby rosnących cen energii, na co szczególnie ostatnio zwracają uwagę przedsiębiorcy. Ten rozwój w znacznej mierze jest zasługą pracowników DFR i daje nam wszystkim poczucie satysfakcji.



FOT. PAMEL DUBIEL

Daniel Wojtas: - Mam wrażenie, że część mediów i niektórzy ludzie grają na emocjach. To przekłada się na poczucie bezpieczeństwa mieszkańców i turystów

FILMIKI Z NIEDŹWIEDZIAMI ODSTRASZAJĄ TURYSTÓW

- Rodzice dzwonią i pytają, czy dzieci będą bezpieczne na szlakach. Część grup szkolnych prosi o alternatywne zajęcia zamiast wyjść w teren - mówi bieszczadzki przedsiębiorca

Barbara Galas

Jeszcze kilka lat temu spotkanie z niedźwiedzia w Bieszczadach było dla turystów rzadkością i wyjątkową atrakcją. Dziś widok drapieżnika spacerującego przy drodze, między domami czy w pobliżu pensjonatów coraz częściej trafia do mediów społecznościowych. Mieszkańcy gminy Solina i innych bieszczadzkich miejscowości alarmują, że sytuacja staje się coraz trudniejsza. Samorządowcy mówią o ograniczonych możliwościach działania, przedsiębiorcy obawiają się o turystykę, a mieszkańcy przyznają wprost: po zmroku boją się wychodzić z domów.

Nagrania z niedźwiedziami spacerującymi po Polańczyku, Wołkowyi czy okolicach Soliny regularnie pojawiają się w internecie. Zwierzęta podchodzą pod zabudowania, przeszukują śmietniki i coraz śmielej pojawiają się tam, gdzie mieszkają ludzie.

- Od marca do dziś mamy ponad 60 zgłoszeń dotyczących konfliktu na linii człowiek - niedźwiedź tylko w naszej gminie - mówi Jarosław Duda, zastępca wójta Soliny. - Mieszkańcy zgłaszają takie sytuacje również policji i innym służbom. Jako gmina mamy jednak bardzo ograniczone możliwości działania.

Samorządowcy podkreślają, że prowadzone są działania prewencyjne. W gotowości pozostają jednostki OSP, wydawane są ostrzeżenia dla mieszkańców, a niedźwiedzie próbują się płoszyć sygnałami dźwiękowymi.

- Trudno jednak ocenić skuteczność tych działań. To bardziej pytanie do ekspertów - przyznaje Jarosław Duda. - W ostatnich latach składaliśmy wnioski o odstrzał konfliktowych osobników, jednak nie otrzymaliśmy zgody. W ubiegłym tygodniu wóldarze i przedstawiciele bieszczadzkich gmin uczestniczyli w posiedzeniu sejmowej Komisji Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych

i Leśnictwa. Wszyscy apelowali jednym głosem o realne i skuteczne rozwiązania legislacyjne. Sytuacja samorządów jest bardzo trudna, bo z jednej strony odpowiadamy za bezpieczeństwo mieszkańców i turystów, a z drugiej - z uwagi na ścisłą ochronę gatunkową - mamy bardzo ograniczone pole działania. Nie możemy jedynie bez końca apelować o ostrożność - dodaje zastępca wójta.

„Po nocach nie śpimy”

Największy niepokój odczuwają mieszkańcy miejscowości, gdzie niedźwiedzie pojawiają się najczęściej. W Wołkowyi strach stał się codziennością.

- Po nocach nie śpimy i tyle. Trzeba coś z tym zrobić - mówi pan Bogusław z Wołkowyi. - Kiedy wyszedłem na podwórko o zmierzchu, pod gankiem stały trzy niedźwiedzie. U nas to już właściwie norma.

Mężczyzna przyznaje, że mieszkańcy są coraz bardziej zdeterminowani.

- Dzieci odprowadzamy do szkoły i przedszkola. Po zmroku praktycznie nikt już nie wychodzi z domu. Ludzie zwyczajnie się boją - opowiada.

Jak dodaje, problem zaczyna coraz mocniej uderzać również w lokalną gospodarkę.

- Zbliża się sezon letni i będziemy bardzo stratni. Turysty rezygnują z przyjazdów. Rozmawiam z mieszkańcami i każdy to potwierdza. U sąsiadki o trzeciej nad ranem pojawiły się dwie samice z młodymi. To już nie są pojedyncze przypadki - podkreśla.

Wśród mieszkańców coraz częściej słychać głosy domagające się bardziej zdecydowanych działań.

- Trzeba część populacji zredukować i tyle - mówi mieszkaniak Wołkowyi. - Ludzie w Warszawie nie rozumieją, jak wygląda życie tutaj na miejscu. Niedźwiedź potrafi wejść praktycznie wszędzie. To bardzo sprytnie zwierzę.

„Nie popadajmy w panikę”

Daniel Wojtas, który prowadzi m.in. Hotel w Polańczyku przyznaje, że problem istnieje, ale jednocześnie apeluje o rozsądek.

- Bieszczady nadal są bardzo bezpiecznym regionem - podkreśla. - W mojej ocenie nie wzrosła liczba ataków niedźwiedzi na ludzi. Widzimy ich więcej, bo prawdopodobnie populacja jest większa, ale nie zauważyłem, żeby były agresywne.

Jak mówi, największym problemem staje się dziś atmosfera strachu podsycana w mediach społecznościowych.

- Mam wrażenie, że część mediów i niektórzy ludzie grają na emocjach. To przekłada się na poczucie bezpieczeństwa mieszkańców i turystów. Sam biegam po lesie i ostatnio złapałem się na tym, że zacząłem się zastanawiać, czy wieczorem na szlaku jest bezpiecznie. A przecież realnie nic się nie zmieniło - mówi.

Przedsiębiorca podkreśla jednak, że problemu nie można bagatelizować.

- Potrzebne są skuteczne działania, przede wszystkim płoszenie niedźwiedzi, zanim przyzwyczają się do szukania pożywienia przy ludzkich domach. Im dłużej urzędnicy będą przeciągać decyzje, tym sytuacja będzie trudniejsza - ocenia.

Wojtas potwierdza, że skutki obecnej sytuacji już odczuwa branża turystyczna.

- Rodzice dzwonią i pytają, czy dzieci będą bezpieczne na szlakach. Część grup szkolnych prosi o alternatywne zajęcia zamiast wyjść w teren. Są też osoby, które odkładają decyzję o rezerwacji wakacji w Bieszczadach - mówi.

Jednocześnie zaznacza, że mieszkańcy nie chcą wojny z dziką przyrodą.

- Ludzie w Bieszczadach są dumni z tego, że mamy tutaj dziką naturę. To nasza marka budowana przez lata. Nie można strzelać do niedźwiedzi tylko dlatego, że żyją. Eliminować należy jedynie osobniki agresywne albo takie, których nie da się przepłoszyć - podkreśla.

„Jesteśmy w patowej sytuacji”

Samorządowcy tłumaczą, że znaleźli się między oczekiwaniami mieszkańców a restrykcyjnymi przepisami dotyczącymi ochrony gatunkowej.

- Jesteśmy w swoistej patowej sytuacji - mówi Robert Petka, zastępca wójta gminy Olszanica. - Z jednej strony chcemy zapewnić bezpieczeństwo mieszkańcom i turystom, z drugiej nie chcemy wywoływać paniki.

Petka nie kryje frustracji wobec działań administracji rządowej. Obecne przepisy powodują, że decyzje dotyczące niebezpiecznych osobników podejmowane są zbyt długo.

- Nie może być tak, że lokalne władze tygodniami czekają na decyzje z Warszawy, gdy zagrożone jest bezpieczeństwo

mieszkańców. Zaczynamy być obywatelami nie kategorii B, ale wręcz C czy D. Społeczność Bieszczadów i Beskidu Niskiego jest pozbawiana podstawowego poczucia bezpieczeństwa i normalnego funkcjonowania. Ta sytuacja jest dla nas nie do zaakceptowania.

Turystyka pod presją

Bieszczady żyją przede wszystkim z turystyki. Stąd też obawy, że medialne doniesienia o niedźwiedzich mogą poważnie odbić się na tegorocznym sezonie.

- Mamy ponad 60 tysięcy miejsc noclegowych, a bardzo wiele osób utrzymuje się właśnie z obsługi ruchu turystycznego - opisuje skalę problemu Katarzyna Zielińska, sekretarz gminy Solina.

Samorządy mają obowiązek informowania mieszkańców i turystów o zagrożeniach, ale też starają się to robić tak, by nie potęgować paniki. Do Urzędu Gminy Solina docierają sygnały od przedsiębiorców obawiających się o sezon.

- Ludzie monitorują sytuację i część decyzji o wyjazdach odkładają na później. Mimo wszystko liczymy, że ten sezon nie będzie stracony - mówi.

Jak znaleźć równowagę?

Kluczowy spór dotyczy tego, jak radykalne mają być działania podejmowane wobec niedźwiedzi.

- Część samorządowców chce rozwiązań radykalnych, podobnych do tych stosowanych na Słowacji, czyli odstrzału części populacji. Ja uważam, że najpierw należy skutecznie płoszyć zwierzęta, a zredukować jedynie osobniki agresywne albo takie, których nie da się przepłoszyć. Wszystko powinno być jednak poparte badaniami naukowymi. Samorządowcy powinni mieć możliwość podejmowania szybkich decyzji na miejscu, w ramach sztabu kryzysowego, jeśli dany osobnik stanowi zagrożenie dla ludzi - dzieli się swoimi przemyśleniami Daniel Wojtas.

Przedsiębiorca podkreśla jednocześnie, że problem nie może być wykorzystywany politycznie.

- Nie zgadzam się na budowanie politycznych zasięgów na strachu mieszkańców. To bardzo szkodliwe dla ludzi, którzy chcą tutaj spokojnie żyć i pracować - zaznacza.

Część mieszkańców domaga się jednak bardziej zdecydowanych działań.

- Jeśli ktoś z Warszawy chce, żeby Bieszczady były skansenem, to nie ma problemu. Ludzie mogą się ubrać w sukmany, tylko trzeba im za to zapłacić. Jeśli jednak mamy być regionem turystycznym, to problem z niedźwiedziami trzeba realnie rozwiązać - mówi mieszkaniak Polańczyka.

Obecnie odzyskane fragmenty skarbu średniego znajdują się w muzeach we Wrocławiu i Środzie Śląskiej. To gotycka korona ślubna, złote pierścienie, inne elementy średniowiecznej biżuterii, a także prawie 8 tys. monet. Wszystko warte przynajmniej ćwierć mld zł.

Odkrycie pierwsze

8 czerwca 1985 r. robotnicy robiący wykop pod fundamenty centrali telefonicznej przy wielkiej ul. Daszyńskiego natrafili na kilka glinianych dzbanów wypełnionych złotymi i srebrnymi monetami. Znajdowało się w nim 3771 srebrnych krążków pochodzących z I poł. XIV w.: grosze praskie i miśnieńskie.

Odkrycie było sensacyjne, ale nie nadano mu rozgłosu. Znalezisko zabezpieczyli funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej i trafiło później do Muzeum Archeologicznego we Wrocławiu. Nie podjęto wówczas także żadnych prac badawczych w miejscu dokonania znaleziska, a przy Daszyńskiego kontynuowano dalsze prace budowlane.

Zajęto się też tymi, którzy część monet rozkradli. „Ponieważ – zgodnie z obowiązującym prawem – wszystko, co leży w ziemi, jest własnością Skarbu Państwa, postanowiono odzyskać złoty złom od osób, o których wiadomo, że byli »szczęśliwymi znalazcami«” – pisał w 1997 r. historyk sztuki Michał Gradowski, jeden z pierwszych, który oglądał i szacował znaleziska. „W dniu 28 czerwca i paru następnym organa MO dokonały licznych przeszukań, odzyskując kilka fragmentów złotych wyrobów i sporo monet. Sprawy nieuczciwych znalazców skierowano do prokuratury we Wrocławiu” – dodawał.

Tłum żądny złota

Minęły trzy lata i sprawa ucihła. Po raz drugi na skarb średni natrafiono 24 maja 1988 r., tym razem podczas rozbiórki kamienicy stojącej przy Daszyńskiego 14. Nowe odkrycie, znacznie większe od poprzedniego, stało się szybko lokalną sensacją, która ściągnęła na miejsce znaleziska rzeszę przypadkowych osób poszukujących srebra i złota.

„Znalezisko było na tyle ciekawe, że oczywiście odkrywcy i przypadkowi gapie skrzętnie wybierali monety, ale nikt nie zadał sobie trudu by pobiec za wywrotką na wysypisko, gdzie niebawem spychacz rozgarnął kolejny pagórek gruzu, a z nim górną część glinianego garmka wraz z zawartością – relacjonował Gradowski

Z ruin piwnic domu, zanim zareagowały odpowiednio władze, wyniesiono znaczną część monet i biżuterii. Z czasem pojawiła się także informacja, z której wynikało to, że precjoza pochodzące ze skarbu średniego można znaleźć na wysypisku



W muzeach we Wrocławiu i Środzie Śląskiej znajdują się odzyskane fragmenty znaleziska: prawie 8000 monet, gotycka korona ślubna, złote pierścienie i inne elementy j biżuterii. Wszystko jest warte ok. 250 mln złotych

OPOWIEŚĆ O „SKARBIE TYSIĄCLECIA” ZE ŚRODY ŚLĄSKIEJ

Skarb w Środzie Śląskiej odkrywano niejako dwa razy,
a towarzyszące temu okoliczności nadają się co najmniej
na film sensacyjny

Mariusz Grabowski

gruzu zlokalizowanym na terenie Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji. Tam także pojawiły się hordy poszukiwaczy, często agresywne, którzy przeszukiwali hałdy gruzu w nadziei znalezienia czegoś drogiego.

Ile to warte?

25 lipca zgromadzone w wyniku dotychczasowych działań przedmioty mogli obejrzeć wezwani biegli, a wśród nich cytowany tu Michał Gradowski. Po ich oględzinach nie było już żadnych wątpliwości: fragmenty korony, zausznica, pasek złotej blachy i kilka dodatkowych drobniaków, okazały się obiektami o ogromnej rzadkości i olbrzymiej wartości historycznej i artystycznej. Prócz tego parę tysięcy monet. Całość została wstępnie datowana na XIII w.

Momentalnie powstał czarny rynek: srebrny grosz praski można było nabyć już za kilka niemieckich czekolad oraz paczkę dobrej kawy, a za garść srebrnych monet dwa kufle piwa prosto z beczki. Ludzie wymykali się nocami z domów, żeby kopać. Do znalazców docierali

antykwarusze pytający po okolicy o precjoza i monety.

Szybko uruchomiono maszynę administracyjną mającą na celu odzyskanie całości skarbu. Nielegalnym znalazcom zaproponowano odkupienie za 3-krotność wartości, to jednak nie przekonało wszystkich. Niezdecydowani nie spodziewali się chyba, że będą musieli się liczyć z konsekwencjami, bo żarty naprawdę się skończyły. Zaczęto ich śledzić i ścigać, włączając w to prokuraturę.

Milicja rewiduje

Akcję odzyskiwania fragmentu skarbu nazwano błyskotliwym kryptonimem „Korona”. W jej wyniku ostatecznie udało się odzyskać wiele bezcennych znalezisk, w tym kolejne fragmenty korony, zausznice, sygnet i przede wszystkim kolistą zaponę, która obok korony jest główną ozdobą skarbu.

Do Środy Śląskiej zostali skierowani młodzi milicjanci, którzy zajęli się przesiewaniem ziemi. W nocy wysypiska pilnował wartownik, ale kiedy rano wychodził, amatorzy wykorzysty-

wali ten czas, żeby kopać dalej. Nikt nie kontrolował tego, co znikało i gdzie.

Prokuratura wystawiła ponad pięćdziesiąt nakazów rewizji. W ten sposób w średnich mieszkaniach znaleziono kilkadziesiąt monet i fragmenty biżuterii. Posiadacze tłumaczyli się rozmaicie, niektórzy zasłaniaли się niewiedzą. Ale nikt nie przyznał się, że cokolwiek już zdążył sprzedać albo gdzieś wywieźć.

Bezcenny „złoty złom”

Gradowski wspominał: „21 lipca powołano nas jako biegłych i w 4 dni potem mogliśmy obejrzeć »złoty złom« zgromadzony we wrocławskiej prokuraturze. Były to fragmenty korony, zausznica, pasek złotej blachy, skromny pierścionek i kilka drobniaków. Mimo luźno rozrzuconych elementów uznaliśmy niezwłocznie, że mamy tu do czynienia z koroną o powtarzalnych segmentach – obiektem ogromnej rzadkości oraz wielkiej rangi historycznej i artystycznej. Zausznica wśród znanych mi z literatury wielu obiektów tego typu (kilka lat pracowałem

w warszawskim Muzeum Archeologicznym) wyróżniała się ozdobnością i bogactwem. Całość znaleziska wstępnie datowałem na wiek XIII z możliwością wejścia w sąsiednie stulecia. W protokole odnotowano także, że znalezisko zostało uznane za zespół pierwszorzędnej wartości”.

Dodajmy, że elementy skarbu znajdowały się w różnym stanie. Jakość kruszcu, z jakiego wykonano biżuterię, powodowała, że ich powierzchnie zewnętrzne zachowały się doskonale. Najgorsze były uszkodzenia mechaniczne, jakich poszczególne elementy skarbu doznały, jak należy przypuszczać, w trakcie wykopywania ich koparką z ziemi oraz na wysypisku.

Kto był właścicielem skarbu?

Badacze dość szybko zidentyfikowali historię skarbu. Został prawdopodobnie ukryty w połowie XIV w., czyli w okresie, w którym miasta Śląska nawiedziła epidemia dżumy. Według badań przeprowadzonych przez historyków zajmujących się jego

pochodzeniem był prawdopodobnie własnością bogatego bankiera żydowskiego Mojżesza, który w 1348 r. dokonał we Wrocławiu korzystnej dla siebie transakcji pożyczkowej, w wyniku której król Czech Karol IV Luksemburski zastawił u niego znaczną część swoich kosztowności w zamian za wsparcie finansowe starań o koronę cesarską. Podczas czarnej śmierci tenże Mojżesz w obawie przed prześladowaniami opuścił Środę Śląską i nigdy do niej nie powrócił. Nie odzyskał też skarbu, który zakopał w piwnicach swojego domu.

Ale są i inne teorie. Np. taka, że stanowiły one rezerwę skarbcza Karola IV zastawioną lub sprzedaną za pośrednictwem Jana ze Środy Żydom średnim, a następnie ukrytą przez nich w czasie pogromu.

Zacytujmy Rainera Sachsa, historyka sztuki, autora „Leksykonu Artystów i Twórców Rzemiosła Artystycznego Śląska”: „Szczęśliwym trafem zachowały się przekazy pisane. (...) Mówią one, że 3.09.1348 r. król czeski Karol IV Luksemburski upoważnia: Jana, proboszcza kaplicy Wszystkich Świętych na Hradczanach, głogowskiego scholastyka Henryka, Petrusa de Luna i swego marszałka dworu Hubardusa Altari do poprowadzenia negocjacji w sprawie dużej pożyczki. 28.10 tegoż roku został wystawiony we Wrocławiu dokument zapewniający Żydowi Muscho ze Środy Śląskiej trzyletnie prawo do pobytu na Śląsku i zwolnienie z podatku żydowskiego za pożyczanie władcy większej sumy pieniędzy. Warto podkreślić, że pod postacią proboszcza Jana ukrywał się nikt inny, tylko późniejszy kanclerz cesarstwa Jan ze Środy Śląskiej”.

Dziś skarb jest skrupulatnie i opisany, i skatalogowany, choć wciąż trafiają doń sporadycznie odzyskiwane artefakty (np. trzy fragmenty odnaleziono w 2005 r.). Najcenniejsza jest złota gotycka korona kobieca prawdopodobnie należąca do żony cesarza Karola IV Luksemburskiego, Blanki de Valois – wykonana w warsztacie sycylijskich mistrzów złotnictwa. Wysadzana jest bogato szlachetnymi kamieniami. Prawdopodobnie jej ostatnią właścicielką była Blanka de Valois, pierwsza żona Karola IV, zmarła w 1348 r., a więc niedługo przed domniemanym czasem ukrycia i utraty skarbu. Bezczenna jest także kolistą zaponą z kameą z chalcedonu w postaci orła, ozdobiona szlifowanymi kamieniami szlachetnymi, a także dwie pary złotych zawieszek: jedna pochodząca z XII w., druga o stulecie młodsza. Do tego dochodzą złote taśmy, pierścienie, bransolety i monety. To w większości srebrne grosze praskie wybite w czasie panowania Wacława II i Karola IV Luksemburskiego, ale także złote floreny, dukat, halerz i grosze miśnieńskie z czasów Fryderyka II Poważnego.

FOT. PAVEL RELKOWSKI

JAJA GRUBEGO

Hasło utworzą litery z półponumerowanych u dołu od 1 do 7.

POZIOMO: 1) ten ceha i tamten taki sam, 5) rezerwa, 8) miejski, gminny, ministerialny, 9) gazela w skorym, 10) komu ogarek?, 11) mniej więcej szef Arki, 13) 3,14 bojowych ostrzy, 16) damskie choć brzmią chłopięco, 17) kobieta, w 2/3 z siola, 18) nieślusnie go żałowała mysz Krasińskiego, 20) losu albo elektryczne, 23) jej uczestnik się poniewiera, 26) mamusia Matołka, jak piecyk, 27) opera głośna w 1900 r., 28) kurza odzywka mruzcza, 29) dawne okrycie pytające.

PIONOWO: 1) wraca choć się opiera, 2) bywa powszechny i codzienny, 3) należeli do kalikstynów lub taborytów, 4) do podnoszenia albo wypalenia, 5) wyzysk z użyciem pil-

nika, 6) druga strona marnej budowlu, 7) do wypicia w dawnym pocisku, 12) umowa o pracę, 14) wachmistrz jak strzelba (u Sienkiewicza), 15) artystyczne, nadprzyrodzone lub lokalne, 19) płacz z łaknienia, 21) sługa w Jolce, 22) giętki, oszczerczy, jaszczurczy, itd., 24) miejscowość boskich pomocy, 25) twórca z Olzy.

● Rozwiązanie z 8.05.2026 r.

Hasło: FREZJE

POZIOMO: Szuch, argot, okres, Tytus, Edyta, Erato, lokale, Urania, dąb, joga, Afazja, grono, Ubu, guzik, wieko, skaza, imbryk, Smain, słup.

PIONOWO: szterling, ustnik, hostel, gruda, asesor, gryfon, Traviata, reda, tuba, Aton, Arab, jodełka, Gogolin, fuks, zupa, ozboba, galop, włos, keks.

1		2		3		4		5		6		7
				8								
9												
				11	12							
13			14									15
17												
23		24										
28												

1	2	3	4	5	6	7
---	---	---	---	---	---	---

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

SANDRA KUBICKA

Wyprawiła przyjęcie

Choć w marcu modelka rozwiódła się z Aleksandrem Milwim-Baronem, to musi dzielić się z nim opieką nad ich wspólnym dzieckiem. Kilka dni temu mały Leonard obchodził drugie urodziny. Rodzice nie celebrowali jednak tej chwili razem. Sandra wyprawiła chłopcu przyjęcie na ranchu z takimi atrakcjami, jak głaskanie alp, przeciąganie liny czy wata cukrowa. Nie brało też tematycznej ścianki i tortu ze zwierzętami i traktorem. Baron z kolei zorganizował synowi dzień w parku rozrywki. Najpierw pochwalili się jednak prezentem, jaki wręczył Leosiovi, czyli miniskuterem Vespa. Następnie zrelacjonowali ich wspólną zabawę. U taty dwulatek również miał tort - też z motywem farmy.

KATARZYNA CICHÓPEK

Pokazała wnętrze

Na początku grudnia ubiegłego roku Kasia Cichopek i Maciej Kurzajewski kupili luksusową posiadłość pod Warszawą. Przez kilka ostatnich miesięcy trwał w niej remont. Wokół znajdują się wysokie drzewa, które zapewniają prywatność. Sam budynek ma nowoczesną, prostą formę i duże okna, dzięki którym wnętrza są pełne światła. Teraz Cichopek podzieliła się w sieci nagraniem, na którym pokazała pokój, kuchnię i łazienkę. Największe wrażenie robi duża wanna ze złotymi kurkami. Cichopek postawiła na jasną kolorystykę oraz eleganckie akcenty, które podkreślają przestronność domu. Wnętrze posiadłości jest minimalistyczne, ale jednocześnie przytulne.

MARCELA LESZCZAK

Zeszła z leków

Ostatnie miesiące przyniosły modelce rewolucję w jej życiu prywatnym. Najpierw po wielu latach burzliwego związku rozstała się z Michałem Koterskim, a potem znalazła nową miłość u boku biznesmena z Gdyni. W minionym tygodniu Leszczak obchodziła 34. urodziny i z tej okazji zamieściła bardzo osobisty wpis na Instagramie. „Po pięciu latach walki z ciągłymi lękami



FOT. SYLWIA DĄBROWA

Magda Gessler – pewnie nieoczekiwanie dla samej siebie – trafiła do reklamy amerykańskich demokratów

i depresją zeszedłam całkowicie z farmakoterapii i jestem wolna od dziewięciu dni. Nigdy nie miałam w to wiary, że mi się uda! Zanim do tego doszło, musiałam wprowadzić bardzo dużo zmian w swoim życiu, które były również bolesne” - napisała.

IZABELA JANACHOWSKA

Dostała skrzydeł

Celebrytka poinformowała za pośrednictwem swego Instagrama, że jest w ciąży. Zamieściła nagranie, na którym widać zdjęcie z USG i podpisała je „Czekamy na ciebie”. Będzie to owoc jej związku ze starszym od niej o 27 lat milionerem Krzysztofem Jabłońskim. Para ma już syna - siedmioletniego Christophera Alexandra. Janachowska zdążyła udzielić pierwszego wywiadu po ogłoszeniu dobrej nowiny. Odwiedziła „Dzień dobry TVN” i spytana jak się czuje, powiedziała: - Świetnie. Mam poczucie, że ta ciąża i ogrom miłości, który dostaję od bliskich, dosłownie dodają mi skrzydeł.

MAGDA GESSLER

Popiera demokratów

Najsłynniejsza polska restauratorka ma wielu przeciwników i zwolenników. Do tych drugich okazują się teraz należeć... amerykańscy demokraci. Oto bowiem Gessler pojawiła się na jednej z rolek, które trafiły na oficjalne konto partii na Tik-

Toku, które ma sześć milionów obserwatorów. Na wideo użyto popularnej czołówki do „Kuchennych rewolucji”, w której Gessler steruje lewitującymi w powietrzu nożami. Niżej możemy przeczytać podpis, nawiązujący do zbliżających się wyborów śródkonwencyjnych, odbywających się w USA zawsze w połowie kadencji prezydenta: „To Amerykanie, gdy w listopadzie odsuną od władzy zgrybiałych republikanów”.

AGNIESZKA KACZOROWSKA

Zasiądzie w jury?

W minionym sezonie celebrytka brała udział w „Tańcu z gwiazdami” ze swym obecnym ukochanym - aktorem Marcinem Rogacewiczem. Niestety: nie udało im się zachwycić jurorów ani zdobyć sympatii widzów. Na odchodne nie pożegnali się z resztą ekipy, a oburzony aktor poskarżył się na rzekomo złe traktowanie przez współzawodników. Wyruszyli potem w Polskę z tanecznym spektaklem „Siedem” - i właśnie trasa ta dobiegła końca. W rozmowie z Kozaczkiem para zapowiedziała, że niebawem poinformuje o nowościach w swym życiu. Kiedy reporterka zapytała czy Kaczorowska wróci do „Tańca z gwiazdami”, jej partner zasugerował: „Byłabyś świetną jurorką”. Potem puścił oczko do produkcji, sugerując, że jego ukochana nie zmieniła numeru telefonu.

DROBNE

Gazeta
WROCŁAWSKA

Jak zamieścić ogłoszenie drobne?

Telefonicznie: 800-472-852, 71/37-48-249
Przez internet: ibo.polskapers.pl
e-mail: ogloszenia.wroclawska@polskapers.pl

W Biurze Reklamy:

Biuro Ogłoszeń: Wrocław, ul. Świętego Antoniego 2/4
tel. 71/37-48-249, 71/37-48-132
Czekamy od poniedziałku do piątku w godz.: 8.00-16.00BIURA W REGIONIE: • Jelenia Góra, tel. 797 607 853 • Legnica, tel. 514 800 870 • Syców, tel. 514 800 969 • Lubin, tel. 514 800 969
• Wałbrzych, tel. 502 499 983 • Głogów, tel. 798 751 830 • Świdnica, tel. 502 499 983

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ garaż, mieszkanie, tel.
504-358-452.

KUPIĘ każde, got. w 24 h, 500-002-486

Kupię mieszkanie zadłużone,
z trudnym lokatorem,
komornikiem, udziały. Gotówka,
883-402-202KUPIĘ udział w mieszkaniu
500185254.

MIESZKANIA - WYNAJMĘ

POSZUKUJĘ do wynajęcia mieszkania,
pokoju tel. 504-358-452.

Handlowe

ANTYKI

ANTYKI, stare obrazy, meble, starocie
- kupię, 660-532-696.

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu
i drewna. Tel.: 782-592-790.

Motoryzacja

OSOBOWE SPRZEDAM

POLONEZ Caro, 1.6, 1999r., zielony,
garażowany, pierwszy właściciel, stan
dobry, 604-844-769

CZĘŚCI WYPOSAŻENIE SPRZEDAM

SPRZĘGŁA-NAPRAWA Szczęki
hamulcowe - wymiana okładzin.
Świdnica. www.metalowiec.com Tel.
728-493-565.

Praca

ZATRUDNIĘ

SPRZĄTANIE klatek schodowych oraz
posesji, Wrocław, tel. 515-144-576.

Usługi

AGD RTV FOTO

Domowa naprawa telewizorów
LED, LCD; 71/351-60-02,
502-175-735.

BUDOWLANO-REMONTOWE

A-Z remonty. Tanio! 502-974-900.

ELEKTRYCZNE inst. Pomiary.
71/351-15-15, 603-867-128.ELEKTRYCZNE Pogotowie
71/351-15-15, 603-867-128.

MALARZ, gładzie bezpył. 730-325-737

REMONT express! 576-843-659.

ROLETKI, żaluzje, moskitiery, okna,
rolety, drzwi. Montaż, produkcja,
naprawa, tel. 71/341-83-03.

INSTALACYJNE

ANTENA absolutnie profesjonalnie,
tel. 603-867-128, 71/351-15-15.

Awarie - Hydraulik - 505-087-474.

HYDRAULICY taniej 694-724-672

HYDRAULIK 24h, awarie 505-982-689.

Hydraulik natychmiast 500323373

OGRODNICZE

OGRODY, drzewa, 576-843-659.

PORZĄDKOWE

ZWALCZANIE pluskwy, 660-811-020.

PRZEPROWADZKI

TANIO 508-287-106, 71/784-55-63.

STOLARSKIE

Tapicerstwo tanio 601-892-927.

TRANSPORTOWE

WYWÓZ starych mebli, 660-811-020.

ZABEZPIECZAJĄCE

AWARIE zamków, montaż, serwis
drzwi antywłam. 501-104-158.

INNE

KUCHNIE junkersy piece 609-528-079.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 7 dni od 1050
zł z 30% dofin. dla emerytów/
rencistów, tel 501-642-492.PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze
śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok.
z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie
wczasy z wyżywieniem dla Seniorów.
601-585-510 www.danaustronie.plKarwia, - wczasy i pokoje nad
morzem, 602-474-929

KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308

USTKA - ośrodek wypoczynkowy.
Promocje! Wczasy 604-486-413 www.
morski101.plUSTRONIE MORSKIE - pokoje
z łazienkami, V-VI. PROMOCJA.
Blisko morza - 7 min. Tel.:
503-936-581.

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/
tona, 500-669-621

Towarzyskie

WANDY, 505-353-547.

AUTOREKLAMA

TELEMAGAZYN

Twój wybór programów telemagazyn.pl

REKLAMA

0011526173



OGŁOSZENIE

Wójt Gminy Grębocice
informujeo zamieszczeniu w Biuletynie Informacji Publicznej
Urzędu Gminy Grębocice oraz na stronie internetowej:
www.grebocice.com.pl

wykazu nieruchomości:

- Zarządzenie nr 100.2026 z dnia 22.05.2026 r., przeznaczonych do dzierżawy w trybie bezprzetargowym,
- Zarządzenie nr 101.2026 z dnia 22.05.2026 r., przeznaczonych do oddania w najem w trybie bezprzetargowym.

REKLAMA

0011526181



I N F O R M A C J A

BURMISTRZ MIASTA I GMINY CHOCIANÓW

informuje,

o zamieszczeniu na tablicy ogłoszeń
oraz w Biuletynie Informacji Publicznej
<http://chocianow.bip.pbox.pl>

informacji

o WYKAZACH nieruchomości
przeznaczonych do oddania w najem,
dzierżawę i bezpłatne użyczenie.

REKLAMA 0011504893

Stacja demontażu pojazdów
ZŁOMUJGRATA.PL
**KASACJA
POJAZDÓW**
64-100 Lasocice k. Leszna
ul. Wschodnia 36A (przy S5)
500 545 500

REKLAMA 0011459132

**ZŁOMOWANIE
POJAZDÓW**
tel. 600 609 606
Wszystkie formalności zafatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

AUTOREKLAMA

aktualne
z całej Polski
przetargi
nasze
komunikaty.pl

REKLAMA 0011524984

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PRZETARGU
BURMISTRZ ŚRODY ŚLĄSKIEJ
informuje o ogłoszeniu
pierwszego przetargu ustnego nieograniczonego na sprzedaż
nieruchomości stanowiących własność gminy Środa Śląska

- Przedmiotem sprzedaży są nieruchomości gruntowe niezabudowane położone w Środzie Śląskiej, przeznaczone pod zabudowę garażową:
 - działka nr 5/9 AM-9 o pow. 0,0020 ha, cena wywoławcza 5.000,00 zł + podatek VAT w wysokości 23%, wysokość wadium 500,00 zł
 - działka nr 5/10 AM-9 o pow. 0,0020 ha, cena wywoławcza 5.000,00 zł + podatek VAT w wysokości 23%, wysokość wadium 500,00 zł
 dla których Sąd Rejonowy w Środzie Śląskiej prowadzi księgę wieczystą nr WR1S/00041374/8 Wadium należy wpłacić do dnia 6.07.2026 r. na konto Gminy Środa Śląska – Bank Spółdzielczy w Środzie Śląskiej nr 47 9589 0003 0002 8668 2000 0370.
- Termin i miejsce przetargu: Przetarg odbędzie się w sali konferencyjnej Urzędu Miejskiego w Środzie Śląskiej (ratusz), pl. Wolności 1, w dniu 14.07.2026 r. o godz. 12.00.
- Miejsce wywieszenia i publikacji pełnego ogłoszenia o przetargu:
 - na tablicy ogłoszeń w budynku Urzędu Miejskiego w Środzie Śląskiej przy pl. Wolności 5,
 - na stronach internetowych: www.srodaslaska.pl oraz bip.srodaslaska.pl
- Szczegółowe informacje o sprzedawanej nieruchomości i warunkach przetargu można uzyskać w Wydziale Gospodarki Nieruchomościami i Planowania Przestrzennego, pok. nr A-6, tel. 71 39 60 732.

REKLAMA

0011527837

Spółdzielnia Mieszkaniowa w Świdnicy
ul. M. Skłodowskiej-Curie 8
ogłasza
**PRZETARG NIEOGRANICZONY OFERT PISEMNYCH
NA ROBOTY BUDOWLANE**
„Wymiana stolarki okiennej i drzwiowej na zasobach Spółdzielni Mieszkaniowej w Świdnicy” - nr postępowania AA/S/22/2026
Warunkiem udziału w przetargu jest spełnienie warunków określonych w Specyfikacji Istotnych Warunków Zamówienia (SIWZ). Formularz SIWZ można odebrać w siedzibie Spółdzielni Mieszkaniowej w Świdnicy przy ul. M. Skłodowskiej-Curie 8, pokój nr 14, otrzymać pocztą lub elektronicznie: administracja@spoldzielnia.swidnica.pl
Oferty należy składać do dnia 9.06.2026 r. do godz. 8:30 w sekretariacie Spółdzielni Mieszkaniowej w Świdnicy, pok. nr 6. Otwarcie ofert nastąpi w dniu 9.06.2026 r. o godz. 9:00 w siedzibie Spółdzielni Mieszkaniowej w Świdnicy, parter. Wadium 3.900,00 zł.
Pracownikiem uprawnionym do kontaktu z oferentami jest Pan Adam Guźda, nr tel. kontakt.: 699-972-659.
Zastrzega się prawo odwołania przetargu bez podania przyczyny.

ZAKŁAD I DOM POGRZEBOWY
Anubis 

www.anubis.info.pl



SIEDZIBA FIRMY I DOM POGRZEBOWY

ul. Szpacza 32-34 | ☎ 723-030-303

**DOM POGRZEBOWY
ANUBIS**

Profesjonalne usługi pogrzebowe

BEZGOTÓWKOWO

KAPLICA

OSTATNIE POŻEGNANIE
Z PEŁNĄ GODNOŚCIĄ
I NALEŻYTYM SZACUNKIEM

FILIE ■ ul. Gubińska 15 lok. nr 5 ■ ul. Dubois 20 ■ ul. Powstańców Śląskich 127
tel. 723 030 303 **TELEFONY CZYNNE CAŁĄ DOBĘ**

*„Śpieszmy się kochać ludzi,
tak szybko odchodzą...”*

LIGA EUROPY PIŁKARZ ASTON VILLI JEST 13. REPREZENTANTEM POLSKI, KTÓRY SIĘGNAŁ PO TEN TYTUŁ

Matty Cash z piłkarskim trofeum

Bartosz Głęb
redakcja@polskapress.pl

Aston Villa w środowy wieczór sięgnęła po zwycięstwo w finale Ligi Europy. Całe spotkanie rozegrał Matty Cash. Dla reprezentanta Polski było to pierwsze trofeum w piłkarskiej karierze.

Finał drugich najważniejszych rozgrywek klubowych UEFA od początku do końca został zdominowany przez jeden zespół. Aston Villa już po pierwszej połowie prowadziła 2:0 po dwóch efektownych trafieniach. Najpierw w 41. minucie wynik spotkania w Stambule otworzył belgijski pomocnik Youri Tielemans. Natomiast tuż przed przerwą do bramki przedstawięla Bundesligi trafił Argentyńczyk Emiliano Buendia. W drugiej połowie zespół z Birmingham przypieczętował zwycięstwo. Wynik na 3:0 ustalił niesamowity w tym sezonie 23-letni Morgan Rogers.

Matty Cash już w 21. minucie otrzymał żółtą kartkę po ostrym

faulu na Vincenzo Grifo, co mocno utrudniło mu grę w dalszej części spotkania. Mimo to, trener Unai Emery postanowił pozostawić swojego zawodnika na boisku do ostatniego gwizdka sędziego.

- Prawy obrońca znalazł się w trudnej sytuacji po tym, jak już na początku meczu otrzymał żółtą kartkę za nieostrożny faul, ale poradził sobie z tym bezbłędnie, choć jego podania nie zawsze były celne - ocenił występ 28-latkę portal Goal.com.

Piłkarz Aston Villi został trzynastym reprezentantem Polski w historii, który sięgnął po triumf w europejskich rozgrywkach klubowych. W tym gronie są też między innymi Zbigniew Boniek, Jerzy Dudek, Robert Lewandowski czy Grzegorz Krychowiak. Ten ostatni w 2015 roku, będąc zawodnikiem hiszpańskiej ekipy Sevilla FC, wygrał Ligę Europy po zwycięstwie w finale na stadionie PGE Narodowy w Warszawie z ukraińskim Dnipro Dniepropietrowsk, a trenerem andalu-



Matty Cash po meczu w Stambule nie ukrywał radości ze zgarnięcia trofeum. Razem z zespołem świętowali zwycięstwo

zyjskiej drużyny był wtedy również Unai Emery.

Matty Cash po meczu w Stambule nie ukrywał radości ze zgarnięcia trofeum. Dla Aston Villi natomiast był to pierwszy triumf w jakichkol-

wiek rozgrywkach od 24 lat, kiedy to wygrała nieistniejący już Puchar Intertoto. - Był półfinał Ligi Konferencji, ćwierćfinał Ligi Mistrzów. Byliśmy blisko szczytu, ale czegoś brakowało. Teraz czujemy się niesamowicie,

to zostanie z nami na długo. (...) Trzeba się napracować, żeby wygrać to trofeum. Niewiarygodne, że się udało! Będziemy bawić się do rana - powiedział 25-krotny reprezentant Polski w rozmowie z Polsat Sport.

Triumf Aston Villi w finale Ligi Europy istotnie wpłynął też na... losy w Europie wicemistrza Polski. Wyjaśniło się, że w 2. rundzie eliminacji Ligi Mistrzów trafi na austriacki Sturm Graz lub tureckie Fenerbahce Stambuł. Jeśli jakimś cudem przejdzie któryś z wymienionych solidnych europejskich marek, będzie mieć pewną fazę ligową Ligę Europy (nie „spadnie” do 4. rundy eliminacji Ligi Europy).

W tym sezonie do rozegrania pozostały jeszcze 3 wielkie finały klubowych rozgrywek UEFA. W najbliższą sobotę w Oslo zostanie rozegrany finał Ligi Mistrzów, w którym FC Barcelona z Ewą Pajor w składzie zmierzy się z Olympique Lyon. W kolejną środę w finale Ligi Konferencji na Red Bull Arena w Lipsku zmierzą się angielski Crystal Palace i hiszpańskie Rayo Vallecano. Natomiast 30 maja na Puskás Aréna w Budapeszcie odbędzie się finał Ligi Mistrzów, w którym zagrają francuskie PSG i angielski Arsenal FC.

© ©

Żuźlowy weekend na praskim Stadionie Markéta

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

ŻUŻEL. Przed nami druga tegoroczna eliminacja żuźlowych mistrzostw świata. Tym razem przenosimy się za południową granicę, a konkretnie do Pragi, gdzie wystartuje aż pięciu Polaków.

Broniący tytułu Bartosz Zmarzlik powalczy w sobotę o czwarte zwycięstwo w turnieju Grand Prix na praskim torze Markéta. Przed rokiem był tu najlepszy.

W czeskiej stolicy wystartują także Kacper Woryna, Patryk Dudek i Dominik Kubera. Oraz...? O tym za chwilę.

Pierwszy tegoroczny turniej żuźlowej Grand Prix - w bawarskim Landshut - zakończył się niespodzianką. Wygrał bowiem debiutujący jako pełnoprawny uczestnik cyklu Kacper Woryna, przed Brytyjczykiem Danielem Bewleyem i Bartoszem Zmarzlikiem. Dudek był siódmy, a Kubera zajął 10. miejsce.

Lubiana przez polskich kibiców i zawodników Stadion Markéta zorganizuje turniej Grand Prix już po raz 32. i pod tym względem ten tor jest rekordzistą w historii odbywającego się od 1995 roku cyklu.

Oprócz Zmarzlika zwyciężali tu Tomasz Gollob, Janusz Koło-

dziej i Maciej Janowski, a na podium stawali także Jarosław Hampel, Patryk Dudek, Krzysztof Kasprzak oraz reprezentujący Biało-Czerwone barwy Rune Holta.

W ubiegłym roku Bartosz Zmarzlik dołączył do Brytyjczyka Taia Woffindena, Australijczyka Jasona Crumpa, Duńczyka Nickiego Pedersena i Słowaka Martina Vaculika, którzy trzykrotnie wygrywali w Pradze.

W sobotę będzie mógł zostać samodzielnym rekordzistą. Wcześniej pięciokrotny mistrz świata był tu najlepszy przed rokiem i dwukrotnie w „pandemicznym” sezonie 2020.

W stolicy Czech zabraknie Szweda Fredrika Lindgrena, który doznał kontuzji w ostatnim meczu ligowym jego Orlen Oil Motoru Lublin z Unią Leszno.

Z listy rezerwowych zastąpi go Duńczyk Anders Thomsen. Nie pojedzie również drugi w Landshut Dan Bewley, który miał wypadek podczas ligi duńskiej (ma złamane udo). Zastąpi go reprezentant gospodarzy Jan Kvech, a „dziką kartę” otrzymał inny Czech - Adam Bednar.

W piątek na Markécie odbędą się zawody Speedway of Nations 2 (SON2), czyli drużynowe mistrzostwa świata do lat 21.

Wystąpi osiem zespołów, w tym Polska. Trener reprezen-

tacji Polski Stanisław Chomski powołał na te zawody Wiktora Przyjemskiego (Abramczyk Polonia Bydgoszcz - kapitan), Bartosza Bańbora (Orlen Oil Motor Lublin) i rezerwowego Kevina Małkiewicza (Bayersystem GKM Grudziądz).

Największym nieobecnym w polskiej drużynie jest Maksymilian Pawełczak, który niedawno zajął 2. miejsce w finale Srebrnego Kasku, a przed rokiem był liderem reprezentacji podczas finału SoN2 w Toruniu.

Polacy tradycyjnie liczą na złoty medal, a najgroźniejszymi rywalami wydają się Duńczycy z rewelacyjnym w tym roku Villadsem Nagelem i Bastianem Pedersenem na czele.

Piątkowy turniej SON2 rozpocznie się o godz. 17.00, a sobotnia Grand Prix Czech o godz. 19.00. © ©

Co jeszcze przed nami, czyli kolejne turnieje Grand Prix?:

- 5 czerwca - Manchester (W. Brytania)
- 6 czerwca - Manchester (W. Brytania)
- 20 czerwca - Wrocław
- 11 lipca - Malilla (Szwecja)
- 1 sierpnia - Łódź
- 8 sierpnia - Ryga (Łotwa)
- 12 września - Vojens (Dania)
- 26 września - Toruń

Ruszył siatkarski maraton 2026

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

SIATKÓWKA. W pierwszym meczu towarzyskiego turnieju Silesia Cup, nasi siatkarze przegrali w Sosnowcu z Serbią 2:3 (25:23, 22:25, 26:28, 25:22, 14:16). Polacy zagrają jeszcze z Ukrainą i Bułgarią.

Tym samym, podopieczni trenera Nikoli Grbica rozpoczęli bogaty w wydarzenia - sezon reprezentacyjny.

Serbski szkolenowiec, który został zatrudniony przez PZPS w styczniu 2022 roku, dał odpocząć m.in. Wilfredo Leonowi, Tomaszowi Fornalowi czy Jakubowi Kochanowskiemu.

W składzie meczowym pojawiło się za to wielu młodych zawodników, w tym m.in. Jakub Przybyłkiewicz, który został najmłodszym debiutantem w historii polskiej siatkówki (17 lat i 13 dni)!

Utalentowany nastolatek urodził się 7 maja 2009 roku, jest związany z SMS PZPS Spała i Lechią Tomaszów Mazowiecki. W momencie powołania do reprezentacji Polski siatkarzy miał dokładnie 16 lat, 11 miesięcy i 9 dni. 17. urodziny obchodził na zgrupowaniu kadry w Spale.

Silesia Cup to jedyny turniej towarzyski, który Biało-Czer-



Marcel Bakaj, Alaksiej Nasewicz i Bartłomiej Lemański kontra Serb Nikola Brborić w meczu towarzyskim

woni rozegrają przed rozpoczęciem się 10 czerwca Ligą Narodów (w piątek z Ukrainą, a w sobotę z Bułgarią - oba mecze w Katowicach o godz. 20.00).

W pierwszym tygodniu zmagają „2026 FIVB Volleyball Men's Nations League”, Polacy zmierzą się w chińskim Linyi z Kubą, Słowenią, Japonią i Ukrainą (10-14 czerwca).

Kolejne turnieju Ligi Narodów to 24-28 czerwca - Gliwice, 15-19 lipca - Chicago i 29 lipca-2 sierpnia turniej finałowy, ponownie w Chinach, tyle że tym razem w Ningbo.

Po powrocie do kraju, naszych siatkarzy czeka Memoriał

Huberta Jerzego Wagnera w Krakowie (28-30 sierpnia).

Najważniejszą imprezą w tym roku są oczywiście mistrzostwa Europy, rozgrywane w Bułgarii i we Włoszech w dniach 9-26 września br., w których nasi siatkarze będą bronić tytułu.

Rozgrywki kontynentalne mają w tym roku podwójną stawkę - oprócz tytułu, zwycięzca wywalczy również kwalifikację na Igrzyska XXXIV Olimpiady, które w 2028 roku zorganizuje Los Angeles.

W tym roku, polskich siatkarzy czeka co najmniej 30 meczów reprezentacyjnych. © ©

SPORT

www.sportowy24.pl

Mecz o mistrzostwo
Polski. Wyjątkowy,
a jednak jeden z wielu

Jakub Guder

jakub.guder@polskapress.pl

W piątek mecz o mistrzostwo Polski w piłce ręcznej: KGHM MKS Zagłębie Lubin a PGE MKS El-Volt Lublin. Początek o godz. 20:30.

Zagłębie Lubin - pod wodzą Bożeny Karkut - gra o szóste z rzędu mistrzostwo Polski. Co tu dużo kryć - jest faworytem. Obie drużyny mierzyły się ze sobą w tym sezonie już siedem razy: w Superlidze, w europejskich pucharach, w Pucharze Polski i w Superpucharze. Zagłębie wygrało sześć z tych meczów. Przegrało tylko w styczniu w meczu ligowym. Teraz jednak nie ma to żadnego znaczenia, bo jeden mecz zdecydowanie o mistrzostwie. Tak ułożyła się tabela Orlen Superligi Kobiet.

Bożena Karkut meczów o taką stawkę rozegrała dziesiątki jeśli nie setki. - Każdy z takimi emocjami musi radzić sobie sam, nawet w grupie, w zespole. Ja już dużo takich meczów o stawkę rozegrałam - mówi. - Chcąc nie chcąc trzeba brać pod uwagę

wszystkie scenariusze. Mam ogromną wiarę w to, że to spotkanie zakończy się naszym zwycięstwem. Zawsze przychodzi taki moment, że coś o czymś decyduje. Zasiadamy na tronie cały rok, a teraz jeden mecz może to zniweczyć. Moje dziewczyny nie pierwszy raz grają o taką stawkę. Mam nadzieję, że wyjdą w piątek na boisko i nie ulegną presji - dodaje.

Obie drużyny znają się oczywiście jak łysy konie. Trudno tu zatem mówić o jakichś niespodziankach, zaskoczeniach, taktycznych manewrach. - Wygraliśmy z nimi w lepszym i gorszym składzie, teraz słyszę że są strasznie osłabione. Trzeba dać sobie z tym spokój. Nasiedem meczów wygraliśmy z Lublinem sześć - wtedy, kiedy miały kontuzje i kiedy ich nie miały. Na tym poziomie nie ma to znaczenia. Tak bywa - jedna zawodniczka wypadła, wchodzi druga i musi to pociągnąć. My też w trakcie tego sezonu byliśmy porażeni. To jest wpisane w takie rozgrywki - twierdzi doświadczona trenerka. Transmisja - Polsat Sport 2. ©©

Zagłębie wciąż może
zagrać w Europie

Piotr Janas

x.com: @Piotr_K_Janas

W sobotę KGHM Zagłębie Lubin zagra z Jagiellonią w Białymstoku w ostatniej. 34. kolejki PKO Ekstraklasy. Jeśli wygra, może rzutem na taśmę załapać się do europejskich pucharów.

Scenariusz jest „prosty” KGHM Zagłębie Lubin musi wygrać z Jagiellonią Białystok na wyjeździe i liczyć na to, że w równoległym rozgrywanym spotkaniu GKS Katowice nie wygra (przegra lub zremisuje) z Pogonią Szczecin. Tylko taki obrót spraw da Miedziowym 5. miejsce i przepustkę do eliminacji. Ligi Konferencji.

34. KOLEJKA BETCLIC 1 LIGI

Sobota: Bruk-Bet Termalica Nieciecza - Lechia Gdańsk, Cracovia - Korona Kielce, Górnik Za-

brze - Radomiak Radom, Jagiellonia Białystok - KGHM Zagłębie Lubin, Lech Poznań - Wisła Płock, Legia Warszawa - Motor Lublin, Pogoń Szczecin - GKS Katowice, Raków Częstochowa - Arka Gdynia, Widzew Łódź - Piast Gliwice. (wszystkie mecze o godz. 17:30, w ramach tzw. Multilig).

1. Lech Poznań	33	59	60-43
2. Górnik Zabrze	33	53	44-36
3. Jagiellonia Białystok	33	53	55-41
4. Raków Częstochowa	33	52	48-40
5. GKS Katowice	33	49	50-44
6. KGHM Zagłębie Lubin	33	48	45-37
7. Legia Warszawa	33	46	38-37
8. Wisła Płock	33	45	32-36
9. Radomiak Radom	33	44	50-47
10. Pogoń Szczecin	33	44	46-48
11. Motor Lublin	33	43	46-49
12. Korona Kielce	33	42	39-39
13. Piast Gliwice	33	41	41-44
14. Cracovia	33	41	38-41
15. Widzew Łódź	33	39	39-40
16. Lechia Gdańsk	33	38	60-62
17. Arka Gdynia	33	36	34-58
18. Termalica Nieciecza	33	31	40-63

©©

WYNIKI LOSOWAŃ LOTTO

ŚRODA, 20.05

Multi Multi - godz. 22
2, 11, 12, 18, 23, 24, 25, 28, 32,
35, 39, 45, 48, 49, 55, 64, 67,
68, 69, [77]
Mini Lotto
6, 17, 21, 33, 34

Kaskada - godz. 22

1, 2, 4, 7, 12, 14, 15, 16, 17, 18,
21, 23
Ekstra Pensja
2, 4, 8, 14, 18+4
Ekstra Premia
7, 9, 16, 29, 30+3

CZWARTEK, 21.05

Multi Multi - godz. 14.00
2, 3, 4, 6, 7, 8, 11, 20, 23, 27, 30,
33, 43, 57, 58, 67, 68, 72, 73, [76]
Kaskada - godz. 14.00
3, 4, 5, 7, 9, 12, 16, 18, 20, 21,
22, 24

KRÓTKO

KOSZYKÓWKA

Śląsk komplikuje swoją sytuację. Druga porażka z Arką
Koszykarze Śląska Wrocław w czwartym meczu I rundy play-off po raz drugi przegrali z Arką Gdynia - po dogrywce - 84:86. To oznacza, że o tym, kto awansuje dalej zadecyduje piąte spotkanie. Wrocławianie w drugiej kwarcie w pewnym momencie prowadzili 35:20. Niestety - to były miłe złego początku. Trzecia kwarta zaczęła się od dwóch strat wykorzystanych bezlitośnie przez Arkę. Śląskowi pierwsze punkty udało się zdobyć po ponad dwóch minutach gry. Przewaga topniała i przed ostatnią częścią spotkania wynosiła tylko trzy punkty. Czwarta kwarta to walka punkt za punkt. Na 71 sekund przed końcem Śląsk prowadził 78:75, ale za trzy trafił Barrett. Potrzebna była dogrywka. Tu znów zadecydował rzut w końcówce. Wygraną Arce zapewnił Barbitch. Najlepszymi graczami gości byli Jakub Nizioł (20 pkt, 6 zbiórek, 5 asyst) oraz Angel Nunez (10 pkt, 7 zb.). Piąty, decydujący mecz w sobotę we Wrocławiu w Orbicie.

AMW Arka Gdynia - Śląsk Wrocław 86:84 (15:23, 16:20, 24:15, 23:20 - 8:6)

Arka: Luke Barrett 22, Milan Barbitch 18, Jarosław Zyskowski 14, Mike Okauru 10, Kresimir Ljubicić 10, Einaras Tubutis 6, Jakub Garbacz 5, Kamil Łączyński 1, Filip Kowalczyk 0, Adam Hrycaniuk 0.

Śląsk: Jakub Nizioł 20, Noah Kirkwood 11, Angel Nunez 10, Jakub Urbaniak 9, Regigarius Williams 9, Kadre Gray 8, Stefan Djordjević 8, Błażej Kulikowski 5, Kyrell Luc 4.

*Stan rywalizacji play off (do trzech zwycięstw) 2-2. Piąty mecz w sobotę we Wrocławiu (godz. 19).

(PAP, jg)



FOT. PAP

Ostatni akord ligowy.
Wrocław już świętuje

FOT. PAMEL RELIKOWSKI

Śląsk bez względu na wynik niedzielnego meczu ma już pewny awans do ekstraklasy

Piotr Janas

x.com: @Piotr_K_Janas

W niedzielę o godz. 16:30 Śląsk Wrocław zagra z Pogonią Grodzisk Mazowiecki w ostatnim meczu Betclit 1 ligi w tym sezonie. Po meczu piłkarze będą świętować awans z kibicami.

Awans do PKO Ekstraklasy - po zaledwie jednym sezonie na jej zapleczu - był hucznie świętowany w ostatnich dniach w stolicy Dolnego Śląska. Stało się to już tydzień temu, po wygranej z Polonią Bytom na wyjeździe (3:1). Niedzielny mecz już niczego nie zmieni, dlatego klub planuje świętowanie awansu wraz ze swoimi fanami. Najpierw na Tarczyński Arena Wrocław, a później w centrum miasta, na Placu Wolności.

Przed Narodowym Forum Muzyki powstanie scena, na której pojawi się drużyna. Będą wspólne śpiewy, zdjęcia, autografy. Klub zapowiada także dodatkowe atrakcje i konkursy, na miejscu będzie też strefa gastronomiczna.

Znacznie ważniejsze od samego meczu z Pogonią są działania w kuluarach. Okazało się, że po awansie automatycznie przedłużyły się umowy z trzema piłkarzami, w tym dwoma niechcianymi, czyli Mi-

łosem Kozakiem i Damianem Warchołem. Przedłużył się także kontrakt Marko Djakovicia, który na wiosnę grał więcej niż wcześniej wymieniona dwójka, aczkolwiek jego przydatność na poziomie ekstraklasy na ten moment jest zagadką.

Zagadką jest także to, kto będzie podejmował decyzje kadrowe, ponieważ nad klubem wisi kolejna rewolucja. W mieście aż huczy od plotek, że dni prezesa Remigiusza Jezierskiego są policzone. Wraz z nim pracę mogą stracić jego współpracownicy, ale na tę chwilę nikt nie chce powiedzieć, kiedy dokładnie to się stanie. Sam fakt wydaje się jednak nieunikniony i jest bliżej niż dalej.

Powód? Ten sam co zawsze: polityka. Ryba zawsze psuje się od głowy i w tym przypadku nie będzie inaczej: odwołanie wiceprezydenta Renaty Granowskiej, odpowiadającej dotąd za sport w mieście, ma zapoczątkować domino zmian. Zbyt wiele niezależnych od siebie źródeł potwierdza, że coś jest na rzeczy, a za kulisami już toczą się rozmowy i walka o stołki. Mocno powiązani z Platformą Obywatelską nowi wiceprezydenci mają przed sobą czy później zaprowadzić własne porządki. Dobre notowania ma mieć powołany pod koniec marca wiceprezes Śląska Le-

szek Jakubów, ale nie jest powiedziane, że to on wejdzie w buty Jezierskiego.

Piłkarze - abstrahując od zakulisowych zdarzeń - przygotowują się do niedzielnego starcia. Dzisiaj o godz. 11 odbędzie się trening przy ul. Oporowskiej, na który mogą przyjść karnetowicze oraz kibice, którzy mają bilet na mecz z Pogonią. ©©

34. KOLEJKA BETCLIC 1 LIGI

Niedziela: GKS Tychy - Stal Rzeszów, ŁKS Łódź - Górnik Łęczna, Miedź Legnica - Puszcza Niepołomice, Odra Opole - Polonia Warszawa, Stal Mielec - Polonia Bytom, Śląsk Wrocław - Pogoń Grodzisk Mazowiecki, Wiczyza Kraków - Chrobry Głogów, Wisła Kraków - Pogoń Siedlce, Znicz Pruszków - Ruch Chorzów (wszystkie mecze o godz. 16:30, w ramach tzw. Multilig).

1. Wisła Kraków	33	68	70-32
2. Śląsk Wrocław	33	61	69-47
3. Wiczyza Kraków	33	56	69-46
4. Chrobry Głogów	33	54	47-35
5. Ruch Chorzów	33	53	52-43
6. ŁKS Łódź	32	51	53-46
7. Polonia Warszawa	33	50	50-48
8. Miedź Legnica	33	49	50-52
9. Polonia Bytom	33	47	55-46
10. Puszcza Niepołomice	32	46	43-38
11. Odra Opole	33	44	33-38
12. Pogoń Grodzisk Maz.	33	44	51-54
13. Stal Rzeszów	33	42	46-57
14. Pogoń Siedlce	33	36	33-41
15. Stal Mielec	33	33	47-61
16. Górnik Łęczna	33	27	38-59
17. Znicz Pruszków	33	25	37-66
18. GKS Tychy	33	21	38-72

tygodnik
GŁOGOWSKI

www.glogow.naszemiasto.pl

Nr 21/117



GALA W GŁOGOWIE
**MAŁGORZATA
MAĆKOWIAK,
MALARKA,
Z MEDALEM
„ZASŁUŻONY
KULTURZE
GLORIA ARTIS”**
str. 3

FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

KGHM

Pierwszy raz zatrzymają dwa piece

Huta Miedzi Głogów II
szykuje największy w historii postój
remontowo-modernizacyjny str. 5

Nr ISSN 2353-6152
Nr indeksu 350206



FOTOREPORTAŻ

Noc Muzeów
Głogowski zamek
pełen atrakcji:
zwiedzanie i rycerskie
walki str. 10

SPORT

Chrobry zagra o awans
do ekstraklasy!
str. 31



FOT. CHROBRY GŁOGÓW SA

REKLAMA

0011464646



DIAGNOSTYKA SŁUCHU DZIECKA

- Kompleksowa
DIAGNOSTYKA SŁUCHU DZIECI:
- ▶ Videootoskopia
 - ▶ Tympanometria
 - ▶ otoemisja akustyczna
 - ▶ ABR, ASSR
 - ▶ Zaburzenia Przetwarzania Słuchowego



ZBADAJ SWÓJ SŁUCH I BEZPŁATNIE

przetestuj aparat słuchowy
u siebie w domu

FONMED
APARATY SŁUCHOWE
od 1997



GŁOGÓW, ul. Kościuszki 15 F ☎ **76 835 05 01, 888 748 707** www.fonmed.pl
(budynek przy wjeździe do szpitala po byłej aptece)

TO JEST PRODUKT MEDYCZNY, UŻYWAJ GO ZGODNIE Z INSTRUKCJĄ I ETYKIETĄ

Janusz Michalczyk



Troje rodziców jednego dziecka? Proszę bardzo

W konstytucji zapisano, że małżeństwo jest związkiem mężczyzny i kobiety. Niektórzy uważają, że to przestarzały pogląd i nie powinno się stawiać tamy miłości, jeśli szczerym uczuciem zapałają do siebie dwaj mężczyźni lub dwie kobiety. Jak to z wieloma sprawami bywa, są dobre argumenty za utrzymaniem tradycyjnego podejścia, jak i za rozsądnymi zmianami. W krajach zachodniej Europy dyskusja jest spokojniejsza niż u nas, bo tamtejsi politycy nauczyli się pomijać kwestie obyczajowe w partyjnej naparzanicy między lewicą i prawicą albo konserwatystami i liberałami.

U nas znów robi się gorąco, bo w rządzie zdaje się przeważać pogląd, że w końcu trzeba zdecydować się na transkrypcję aktów małżeńskich zawartych pomiędzy osobami tej samej płci w państwach Unii. Skutki prawne są na razie niejasne, bo nie oznacza to automatycznie korzystania z rozwiązań przewidzianych dla małżeństw w polskich przepisach. Oczywiście, byłoby o wiele łatwiej znaleźć sensowny kompromis, gdybyśmy przyjęli już w jakiejś postaci ustawę o związkach partnerskich, ale na to się nie zanosi, bo politycy koniecznie chcą się kłócić.

Jednym z argumentów przeciwników małżeństw jednopłciowych pozostaje sytuacja dzieci. Interesująca wiadomość dotarła właśnie z Włoch, gdzie sąd uznał, że dziecko ma troje rodziców: matkę i dwóch ojców. To niejako zalegalizowanie decyzji władz niemieckich w sprawie czteroletniego chłopca, wychowywanego przez dwóch mężczyzn. Jeden z nich spłodził dziecko z kobietą, która jest przyjaciółką tej pary, więc jest ojcem biologicznym. Włoski sąd został niejako wmieszany w całą sytuację, ponieważ drugi z mężczyzn ma pochodzenie włosko-niemieckie i zależało mu na tym, by został formalnie uznany za ojca na zasadzie adopcji.

Wszystko pięknie, dopóki cała trójka rodziców żyje w zgodzie i troszczy się o dzieciaka. Komplikacje mogą się pojawić, gdyby doszło do rozstania i konfliktu z finałem na wokandy. Z drugiej strony, dodatkowy rodzic może się przydać, bo los potrafi nieźle dokuczyć. W pierwotnych plecionkach dzieci wychowywała cała wioska i miało to niewątpliwie zalety. Poza tym, czy nie sądzicie, że w czasach kryzysu demograficznego każda osoba, która chce być rodzicem, jest na wagę złota?

GŁOGÓW

Wakacyjna praca dla młodych

Młodzi Głogowianie znów będą mogli dorobić w czasie wakacji w Spółdzielni Mieszkaniowej „Nadodrze”. Tegoroczna edycja zakłada zatrudnienie 66 osób. Plan zakłada zorganizowanie dwóch turnusów: pierwszy w dniach 29 czerwca - 10 lipca oraz drugi 13-24 lipca. Gmina Miejska Głogów dofinansowała program kwotą 50 tys. zł. Rekrutację zaplanowano 26 maja w sali zebrań przy ul. Rycerskiej 17c (Osiedle Piastów Śląskich A). W godz. 14-16 będą wydawane formularze zgłoszeniowe, w których trzeba wpisać: imię, nazwisko, numer telefonu oraz adres zamieszkania. Wypełniony formularz trzeba wrzucić do urny. Po godz. 16 nastąpi losowanie osób, które wezmą udział w programie. Warunki: 29 czerwca trzeba mieć ukończone 16 lat, ale nie więcej niż 20 lat, być uczniem lub studentem i mieszkać w Głogowie.

Wiktorija Żyta

Siłownia otwarta przy Głogovii

Wiktorija Żyta
Głogów

Xtreme Fitness Gyms, jedna z najszybciej rozwijających się sieci klubów fitness i siłowni w Polsce, otworzyła siłownię w Głogowie.

Od 21 maja Głogowianie mogą korzystać z nowej siłowni. Obiekt przy ul. Księcia Józefa Poniatowskiego 12a ma 700 mkw. i jest zaprojektowany z myślą o każdym rodzaju treningu. Powstała w doskonałej lokalizacji, tuż obok Galerii Głogów oraz parku trampolin JumpPlanet. Dzięki temu będzie świetnym miejscem do treningu dla mieszkańców osiedla Słonecznego i Piastów Śląskich.

Na klientów czekają:

- nowoczesne strefy treningowe;
- przestronna sala fitness oraz zajęcia grupowe w cenie karnetu;
- system do monitorowania treningu - telewizor wyświetlający czas przerwy między seriami, co ułatwia utrzymanie intensywności treningu.

- Oprócz systemu monitorowania treningu, wyjątkowymi czyni nas strefa HYROX, która oferuje trening wytrzymałościowy, a jest w naszej okolicy rzadkością. Do dyspozycji będzie dwóch trenerów, którzy bezpłatnie udzielą pomocy w treningu. Wiemy, że pierwszy trening na siłowni lub na nowym sprzęcie bywa trudny, więc nie pozostajemy obojętni - zapewnią menedżerka klubu Grażyna Lic.

Dodajmy, że do dyspozycji klientów jest również salka fitness dla osób, które lubią tego rodzaju ćwiczenia.

Siłownia zaprasza na treningi młodzież w wieku 13-14 lat z pełnoletnim opiekunem, który posiada aktywny karnet. Aby młodzież od 15. roku życia mogła trenować samodzielnie, rodzic lub opiekun musi wyrazić pisemną zgodę.

Xtreme Fitness Gyms przyjmuje karty Medicover Sport, MultiSport, FitProfit, FitSport oraz PZU Sport. Ponadto oferuje niższe ceny dla uczniów i studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny.



FOT. WIKTORIJA ŻYTA

GŁOGÓW

„Miedziowi dla Medyków” po raz drugi

Pielęgniarka oddziałowa Joanna Laszczowska (na zdjęciu z lewej) z hospicjum otrzymała Tarczę św. Floriana. To wyróżnienie zostało wręczone po raz drugi podczas wydarzenia pod hasłem „Miedziowi dla Medyków”. Z okazji Międzynarodowego Dnia Pielęgniarek oraz Dnia Opiekuna Medycznego hospicjum połączyło siły z Hutą Miedzi „Głogów”. Podczas zeszłorocznej uroczystości Tarczę św. Floriana otrzymała ordynator Aleksandra Glińska, prezes Fundacji Hospicjum Głogowskie.

Podczas skromnej uroczystości 14 maja wyświetlono m.in. film, na którym pracownicy hospicjum opowiedzieli o swojej pracy, a także zdjęć z działalności hospicjum, np. z mikołajek czy Wielkanocy.

Pracownicy zostali obdarowani kwiatami oraz upominkami. O inicjatywę mówiła Aleksandra Glińska. - Hutnicy świętują z nami Dzień Pielęgniarek i Dzień Opiekuna Medycznego. Będzie to cykliczne wydarzenie. W przyszłym roku również je zorganizujemy - zapewniła. Wiktorija Żyta

POWRÓCIŁY TRENINGI W RAMACH AKCJI „BIEGAM BO LUBIĘ”



FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

Wystarczą chęci, sportowe buty i odrobina motywacji. Spotkania odbywają się w środy o godz. 19:00 na bieżni przy II LO przy ul. Daszyńskiego. Zajęcia prowadzą doświadczeni trenerzy Honorata Wieczyńska i Dominik Komendacki. - Zajęcia są głównie dla początkujących, więc nie trzeba się obawiać, że ktoś będzie odstawał. Zadbamy o każdego - zapewnia Honorata Wieczyńska. - Kładziemy nacisk na ćwiczenia, które są bardzo ważne w bieganiu. Bez nich łatwo o kontuzję. Będziemy też skupiać się na technice biegu - podkreśla Dominik Komendacki. Grażyna Szyszka

NAGRODY UROCZYSTA GALA Z UDZIAŁEM WOJEWODY

Wyróżnienia dla ludzi kultury w Głogowie

Grażyna Szyszka
Głogów

Podziękowaliśmy ludziom kultury za ich pasję, talent i codzienną pracę. Uroczysta gala była okazją do wręczenia nagród i docenienia tych, którzy budują kulturalną tożsamość miasta.

W niedzielę, 17 maja, na scenie MOK-u uhonorowano osoby, które w szczególny sposób zaznaczyły swoją obecność na kulturalnej mapie miasta.

- Cieszymy się, że głogowska kultura ma się dobrze i że mamy wspaniałych ludzi, których warto wyróżnić - powiedział Rafał Rokaszewicz, prezydent miasta.

Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego przyznał Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Z rąk wojewody dolnośląskiej Anny Żabskiej odebrała go głogowska malarka Małgorzata Maćkowiak.

- Jestem wdzięczna wszystkim ludziom, których spotkałam na swojej drodze, bo dzięki nim czerpię inspiracje i mogę tworzyć - powiedziała wzruszona artystka.

Nagrodę specjalną „Głogowski Gryphius” prezydent miasta przyznał w tym roku Krzysztofowi Jeleniowi - nauczycielowi, od 24 lat prezesowi stowarzyszenia literackiego, ceniemu poecie i autorowi dziesięciu tomików wierszy.

- Jestem tylko zwykłym wyrobikiem słowa. W przerwach między lekcjami coś napiszę, czasami opublikuję, coś przetłumaczę na jeden ze znanych mi języków, pomogę mło-



Małgorzata Maćkowiak z prezydentem miasta i wojewodą dolnośląską



Krzysztof Jeleń z nagodą „Głogowski Gryphius”

dieży napisać dobre teksty. Jeśli przynosi to takie efekty, jestem bardzo wdzięczny - mówi laureat.

Podczas gali wyróżniono także: Joannę Białą - dyrygentkę chóru Space of Grace, Renatę Jurk z Miejskiej Biblioteki Publicz-

nej, Małgorzatę Grouz z Klubu Batalionowego, Joannę Kinder z MOK-u, Zenona Hendla z MAH, Urszulę Ziębę z TZG.

Swoje nagrody wręczył również Bartłomiej Adamczak, dyrektor MOK-u. Wyróżnił osoby od lat związane z głogowską kulturą. Statuetki w kształcie kolorowych żyraf oraz nagrody finansowe otrzymali: Ewa Kobiąka, Agnieszka Lewandowska, Zdzisław Berkowicz.

Nagrody przyznano z okazji zbliżającego się Dnia Działacza Kultury, obchodzonego 29 maja. W tym roku święto dla wielu z nich będzie wyjątkowo pracowite, ponieważ przypadnie w trakcie trzydniowych Dni Głogowa.

Dzień Strażaka. Awanse i medale

Grażyna Szyszka
Głogów

Strażacy PSP Głogów obchodzili swoje święto. We wtorek, 19 maja, w Jubileacie druhowie odebrali awanse na wyższe stopnie, a zasłużonym wręczono medale.

W głogowskim Jubileacie swoje święto obchodzili strażacy. Uroczystość była okazją do wręczenia awansów na wyższe stopnie oraz medali.

Złoty „Medal za długoletnią służbę” odebrał st. bryg. Paweł Dziadosz. Srebrne - st. ogn. Tomasz Gruszczyński, asp. sztab. w stanie spoczynku Piotr Kwiatkowski oraz st. ogn. w stanie spoczynku Marcin Makowski. Medal brązowy odebrał st. kpt. Michał Pilz. Odnaczenia te zostały wręczone podczas uroczystości w Złotoryi.

Uhonorowani

Na głogowskim święcie trzy osoby uhonorowano „Srebrnym medalem za zasługi dla pożarnictwa”. A byli to:

- Łukasz Horbatowski, poseł na Sejm,
- Rafał Rokaszewicz, prezydent miasta,
- Bartłomiej Zimny, wójt Gminy Głogów.

Awanse na wyższy stopień odebrali:

- na starszego kapitana - kpt. Michał Pilz.,

- na mł. ppt Tomasz Pawlik.

- na stopień starszego asp. Jacek Coner.

- na stopień aspiranta:

Kacper Kosiński,

Dawid Król,

Szymon Rolla.

- na stopień starszego

ogniomistrza.:

Sebastian Siniawa,

Paweł Sobczak,

Remigiusz Zarzycki.

- na stopień ogniomistrza:

mł. ogn. Jakub Gródecki.

- na stopień starszego sekcyjnego:

sekc. Maciej Hajduk

sekc. Karol Sumela.

- na stopień sekcyjnego:

st. str. Arkadiusz Gromuł,

st. str. Mateusz Grzesiecki,

st. str. Jan Mochol,

st. str. Patryk Urbańczyk.

Emeryci i Renciści

Podczas uroczystości w Jubileacie wręczono także Odnaczenia „Zasłużony dla Związku Emerytów i Rencistów Pożarnictwa RP”. Przyznano je: Alfredzie Janiak, Bogusławowi Cielebąkowi, Januszowi Kryńskiemu, Sławomirowi Matyskowi i Henrykowi Matuszkowi.



Strażackie święto w Głogowie

REKLAMA

0011487460



Drogie Mamy!

Z okazji Waszego Święta życzę Wam samych cudownych dni!
Wszystkiego najlepszego!

Rafał Rokaszewicz
Prezydent Głogowa

Pijany 18-latek jechał autem na samej feldze

Grażyna Szyszka
Polkowice

Jechał uszkodzonym Renaultem, mając niemal dwa promile alkoholu w organizmie. Niebezpieczną jazdę 18-latek przerwali inni kierowcy, którzy odebrali mu kluczyki i wezwali policję.

O krok od tragedii na drodze Gaworzyce - Kurów Wielki. Nietrzeźwy 18-latek bez prawa jazdy poruszał się uszkodzonym autem, stwarzając zagrożenie dla innych uczestników ruchu. Dzięki zdecydowanej reakcji świadków udało się zatrzymać pijanego kierowcę, zanim doszło do wypadku.

Ze zgłoszenia, które przyjął oficer dyżurny policji, wynikało, że kierujący samochodem osobowym marki Renault poruszał się na samej feldze, a styl jego jazdy wskazuje, że może znajdować się pod wpływem alkoholu.

Jeszcze przed dotarciem na miejsce policyjnego patrolu inni kierowcy uniemożliwili mężczyźnie dalszą jazdę, zabierając mu kluczyki. Dzięki

ich zdecydowanej postawie nie doszło do tragedii.

Okazało się, że 18-latek nie posiada uprawnień do kierowania pojazdami. Funkcjonariusze zatrzymali dowód rejestracyjny pojazdu, a samochód został odholowany na policyjny parking. Od kierującego pobrano również krew do dalszych badań.

W trakcie interwencji mężczyzna znieważał funkcjonariuszy, kierując wobec nich słowa powszechnie uznawane za obelżywe.



Młody człowiek jechał samochodem bez opony, na samej feldze

Grażyna Szyszka
Lubin

Spółka zajęła 6. miejsce wśród pracodawców w Polsce w rankingu Randstad Employer Brand Research 2026 i została liderem sektora surowców i paliw.

To jedno z najbardziej rozpoznawalnych badań dotyczących wizerunku pracodawców. W polskiej edycji 2026 oceniono 150 największych firm, a w badaniu udział wzięło ponad 4 tys. osób z całego kraju.

KGHM od lat umacnia swoją pozycję jako stabilny i nowoczesny pracodawca, który odpowiada na potrzeby pracowników. O atrakcyjności Polskiej Miedzi decydują zarówno warunki zatrudnienia, jak i możliwości rozwoju, benefity oraz środowisko pracy sprzyjające długofalowemu budowaniu kariery.

- Wysoka pozycja KGHM w tegorocznym rankingu Randstad Employer Brand Research jest dla nas ważnym potwierdzeniem, że konsekwentnie budujemy markę praco-



Spółka z Lubina jest liderem w sektorze surowców

dawcy opartą na wiarygodności, stabilności i odpowiedzialnym podejściu do rozwoju - powiedziała Magdalena Lipińska, dyrektor naczelna ds. Zarządzania Zasobami Ludzkimi w KGHM Polska Miedź S.A. - Zależy nam na byciu w gronie najlepiej ocenianych pracodawców w Polsce, dlatego

staramy się łączyć silne fundamenty z nowoczesnym spojrzeniem na potrzeby pracowników i wyzwaniem współczesnego rynku pracy. To wyróżnienie traktujemy jako wyraz zaufania do naszej organizacji i docenienie codziennego zaangażowania całego zespołu KGHM.

Tegoroczne wyniki pokazują, że dla kandydatów i pracowników coraz ważniejsze są: dobra atmosfera, dostęp do nowoczesnych technologii, atrakcyjne wynagrodzenie, dobre zarządzanie, możliwości rozwoju oraz równowaga między pracą a życiem prywatnym. To właśnie w tych obszarach KGHM od lat konsekwentnie wzmacnia swoją ofertę jako pracodawca.

KGHM oferuje też płatne praktyki, wspiera naukę i zdobywanie nowych umiejętności, a także pomaga młodym osobom wejść na rynek pracy dzięki programowi klas patronackich „Kompetentni w branży”.

O atrakcyjności KGHM decydują także codzienne korzyści dla pracowników. Spółka oferuje opiekę medyczną, ubezpieczenia grupowe, dojazdy do wypoczynku i dojazdów oraz dodatkowe świadczenia finansowe. Ważne są też inicjatywy, które budują dobrą atmosferę w pracy - w tym program CUdowni Rodzice i wolontariat pracowniczy wspierający lokalne społeczności.

REKLAMA

0011520247

*Szanowne Panie,
Drogie Mamy,*

w tym wyjątkowym dniu pragniemy podziękować za Waszą miłość, troskę i ciepłość, którymi obdarzacie swoje dzieci każdego dnia. To dzięki Wam nasze domy są pełne ciepła, a przyszłość naszej gminy nabiera pięknych barw. Życzymy Wam zdrowia, spełnienia marzeń i wielu chwil pełnych radości oraz dumy z najbliższych.

Przewodniczący Rady
Gminy Grębocice

Marek Pakiet



GINA GRĘBOCICE

Wójt
Gminy Grębocice

Roman Jabłoński




Grębocice
Przyjazna Gmina

REKLAMA

0011520250

Drodzy Samorządowcy,

z okazji Waszego święta składamy serdeczne podziękowania za trud, jaki wkładacie w rozwój naszej lokalnej wspólnoty. Wasza codzienna praca, zaangażowanie i troska o sprawy mieszkańców mają ogromne znaczenie dla jakości życia w naszej gminie.

Życzymy Wam zdrowia, wytrwałości, wielu sukcesów oraz niegasnącej energii do realizacji kolejnych inicjatyw.

Z serdecznymi pozdrowieniami,

Przewodniczący
Rady Gminy Grębocice
Marek Pakiet

Wójt
Gminy Grębocice
Roman Jabłoński


Grębocice
Przyjazna Gmina



Anna Lechowska (z lewej) nie jest już prezeską Szansy. Została nią Martyna Rybka

Martyna Rybka nową prezeską Szansy

Grażyna Szyszka
Głogów

Walne Zebranie wybrało nową władzę stowarzyszenia. Martyna Rybka zastąpiła Annę Lechowską.

Oprócz Martyny Rybki w skład nowego zarządu weszli Dariusz Grzemny (wiceprezes) i Dominika Błaszczuk.

Podkreślają, że nie żegnają się z Anną Lechowską, ponieważ zostaje w stowarzyszeniu jako dyrektorka programowa.

Będzie rozwijać działania merytoryczne stowarzyszenia, wspierać programy i wносить wiedzę, doświadczenie oraz wrażliwość.

Szansa działa w Głogowie od 27 lat. Główną misją stowarzyszenia jest szeroko rozumiana pomoc dzieciom i przeciwdziałanie przemocy wobec nich. Wspiera ono krzywdzone dzieci. Z inicjatywy Szansy powstało w Głogowie Centrum Pomocy Dzieciom, gdzie mogą one uzyskać kompleksową pomoc.

Huta zatrzyma dwa piece: zawieszinowy i elektryczny

Grażyna Szyszka
Głogów

Huta Miedzi Głogów II szykuje największy w historii postój remontowo-modernizacyjny. Pod koniec czerwca planuje remonty pieca zawieszinowego i elektrycznego.

Za półtora miesiąca rozpocznie się planowany postój remontowy w Hucie Miedzi Głogów II. Będzie to największy w historii głogowskiej „dwójki” zakres prac remontowo-modernizacyjnych. Po raz pierwszy jednocześnie przeprowadzony zostanie remont kapitalny pieca zawieszinowego oraz pieca elektrycznego.

„Celem remontu jest odtworzenie stanu technicznego agregatów hutniczych, parku maszynowego i instalacji. Dodatkowo inwestycje realizowane podczas postoju mają przyczynić się do obniżenia kosztów produkcji miedzi oraz poprawy warunków pracy za-



Zatrzymanie ciągu technologicznego pieca zawieszinowego planowane jest na 28 czerwca

łogi” - informuje KGHM Polska Miedź.

O planowanych działaniach mówił podczas hutniczego święta dyrektor huty Jarosław Siedlecki.

- Ubiegły rok zakończyliśmy bardzo dobrymi wynikami produkcyjnymi, przekraczając założone plany. Wciąż realizujemy nowe zadania i pracujemy nad kolejnymi in-

Po raz pierwszy jednocześnie przeprowadzony zostanie remont kapitalny pieca zawieszinowego oraz pieca elektrycznego

westycjami, których nie sposób dziś wszystkich wymienić - podkreślał dyrektor. - Już za półtora miesiąca rozpocznie się postój remontowy Huty II, do którego przygotowujemy się od niemal trzech lat. Będzie to jedno z największych i najbardziej wymagających przedsięwzięć w historii naszego zakładu.

Zatrzymanie ciągu technologicznego pieca zawieszinowego do postoju planowane jest na 28 czerwca. Remont kapitalny pieca ma potrwać 90 dni.

Dzień później (29 czerwca) ma dojść do zatrzymania ciągu technologicznego pieca elektrycznego. Postój remontowy zaplanowano na 102 dni.

REKLAMA

W dniu Waszego święta dziękuję wszystkim Mamom

za niezwykle ciepło, czułość i miłość, którymi dzielicie się na co dzień.

Życzę Wam spokoju, zdrowia i mnóstwa powodów do uśmiechu. Niech wdzięczność płynąca od bliskich towarzyszy Wam w każdym geście, a marzenia spełniają się bez wyjątku. Bądźcie szczęśliwe i doceniane - dziś i w każdy inny dzień roku.



Michał Wnuk
Starosta Głogowski
wraz z Zarządem Powiatu



0011461588

REKLAMA

Z OKAZJI DNIA SAMORZĄDOWCA

Wszystkim obecnym i byłym Pracownikom Samorządowym, Radnym oraz Sołtysom

składamy najserdeczniejsze życzenia: szczęścia, satysfakcji i sukcesów w realizacji zadań samorządowych oraz zadowolenia w życiu osobistym.



Michał Wnuk
Starosta Głogowski
wraz z Zarządem Powiatu



0011461599

27 MAJA
DZIEŃ
SAMORZĄDU
TERYTORIALNEGO

JUBILEUSZ UROCZYSTOŚCI ZGROMADZIŁY STRAŻAKÓW, MIESZKAŃCÓW I ZAPROSZONYCH GOŚCI

Strażacy z Jaczowa świętują 80-lecie

Grażyna Szyszka
Jerzmanowa

Jubileuszowe uroczystości odbyły się w sobotę, 16 maja. Szczególnym momentem było odsłonięcie Tablicy Pamięci poświęconej druhom jednostki.

Po mszy świętej w miejscowym kościele strażacy ochotnicy, zaproszeni goście oraz mieszkańcy wsi, przy dźwiękach orkiestry HM Głogów, przeszli pod remizę. Tam odsłonięto dwie pamiątkowe tablice - pierwszą z okazji 80-lecia jednostki, a drugą - Tablicę Pamięci poświęconą druhom OSP Jaczów. Umieszczono na niej 50 tabliczek z nazwiskami strażaków.

O historii ośmiu dekad jednostki w Jaczowie przypomniał prezes zarządu OSP Józef Przebieda.

- OSP została założona 15 stycznia 1946 roku przez pierwszego sołtysa Jaczowa, Władysława Mazurskiego. Pierwsza siedziba mieściła się



W ochotniczej jednostce służą trzy panie

w budynku przy kościele, obecnie jest to sala świętego Floriana - mówił prezes. - Teren działalności obejmował ówczesną gminę Nosocice,

czyli wsie Jaczów, Ruszowice i Smardzów. Pierwsze wyposażenie jednostki stanowiły ręczna pompa tłokowa oraz dwuosobowy wóz konny.

Trzy przeszkolone strażaczki

Na przestrzeni lat OSP Jaczów modernizowała sprzęt i szkoliła druhow. W 1995 roku

Na Tablicy Pamięci poświęconej druhom OSP Jaczów umieszczono 50 tabliczek z nazwiskami miejscowych strażaków

jednostka została wpisana do Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego (KSRG), a w maju 2017 roku dołączyła do stowarzyszenia Strażacy Wspólnie Przeciw Białaczkę. Druhowie z Jaczowa angażują się w liczne akcje pomocowe, między innymi w rejestrację nowych dawców szpiku kostnego.

Obecnie OSP w Jaczowie liczy 45 członków, z czego 26 strażaków posiada aktualne szkolenia i bierze udział w akcjach ratowniczych.

OSP Jaczów może pochwalić się także pierwszymi w historii gminy Jerzmanowa kobietami strażaczkami. W 2020 roku szkolenie z powodzeniem ukończyły i rozpoczęły udział w akcjach gaśniczych oraz ra-

townicznych: Wioleta Cyran, Iwona Wolska, Sandra Wolska.

Jubileusz w Jaczowie był również okazją do wręczenia druhom pamiątkowych statuetek oraz odznak „Wzorowego Strażaka”.

Rozbudują remizę

Od 2013 roku OSP działa w nowej remizie, jednak jednostka potrzebuje już większej przestrzeni. Podczas sobotnich obchodów wójt gminy Jerzmanowa, Anna Obolewicz zdradziła, że są plany rozbudowy budynku.

Przekazując prezesowi OSP symboliczny jubileuszowy czek na kwotę 3 tys. zł, podziękowała strażakom za służbę oraz pogratulowała 80 lat działalności na rzecz mieszkańców gminy.

- To wielka sztuka powołać jednostkę opartą na wartościach. Ale jeszcze większą sztuką jest przez 80 lat pielęgnować te wartości w sercu. Drogie strażaczki i strażacy, jestem z was bardzo dumna - powiedziała wójt.

Piekarnia powiększyła swój chlebomat

Wiktoria Żyta
Głogów

W Głogowie są dwa chlebomaty - przy ul. Sybiraków oraz przy ul. Perseusza. Ten przy Perseusza został powiększony. W chlebomacie można kupić pieczywo oraz słodkie wyroby.

Chlebomat, czyli automat z pieczywem, jest świetnym rozwiązaniem - przez całą dobę można kupić tam chleb, bułki, pączki, drożdżówki oraz pizzę. Piekarnia Ciastkarnia Grygiel ma już dwa takie automaty w mieście - przy ul. Sybiraków (róg Poczdamskiej) oraz przy ul. Perseusza.

O tym, jakie były powody powiększenia automatu z pieczywem, mówi Marzena Grygiel, właścicielka Piekarni Ciastkarni Grygiel.

- Powiększenie chlebomatu było zaplanowane już dużo wcześniej, gdyż zainteresowanie klientów naszymi produktami jest spore. Mając większą jednostkę przy ul. Sybiraków, wiedzieliśmy, że powiększenie to tylko kwestia czasu. W chlebomacie przy ul. Perseusza bę-

dzie oczywiście więcej naszych produktów - zapewnią. Właścicielka informuje, że automaty mają swoich stałych klientów.

- Maszyny są zaopatrywane minimum dwa razy dziennie w świeże produkty, czasami nawet jeszcze ciepłe. A możliwość zakupu ciepłego pieczywa, bułek, drożdżówek oraz świeżutkich pączków w niedzielę bardzo przypadła do gustu naszym klientom - dodaje.

Zainteresowanie chlebomatem wśród Głogowian jest dość duże. - Zazwyczaj rano coś kupuję. Świetne rozwiązanie - mówi pan Krzysztof.

Jednak część mieszkańców twierdzi, że to dla nich nietypowe rozwiązanie:

- To dobre rozwiązanie, bo przez całą dobę można kupić pieczywo. Wiem też, że dwa razy dziennie przywożą świeże produkty. Moja córka często kupuje w chlebomacie - mówi pani Anna.

I dodaje, że taki sposób na zakupy sprawdza się zwłaszcza w niedziele, gdy piekarnie i sklepy są nieczynne.

KRÓTKO

GŁOGÓW

53-latka unikała 75 dni odsiadki

Policjanci zatrzymali 15 osób poszukiwanych przez wymiar sprawiedliwości. Wśród nich były ścigane na podstawie listów gończych. - Wśród zatrzymanych znalazła się 53-letnia kobieta poszukiwana listem gończym w celu odbycia kary 75 dni pozbawienia wolności - informuje Natalia Szymańska, oficer prasowa KPP w Głogowie. SEL

POWIAT

Remont drogi Borek - Wojszyn

Od ostatniego poniedziałku kierowcy muszą liczyć się ze zmianami w organizacji ruchu i objazdami. Dojazd do Wojszyna jest możliwy przez Białolekę i Drogowice. Remont obejmie odcinek o długości ponad 2 km. Zakres prac przewiduje wymianę nawierzchni, utwardzenie poboczy oraz wykonanie nowego oznakowania pionowego i poziomego. Koszt to ponad 2,7 mln zł, z czego niemal 1,3 mln zł to rządowe dofinansowanie. SEL

Bezpłatna szkoła dla dzieci ze spektrum autyzmu

Wiktoria Żyta
Głogów

Od września placówka przy ul. Gwiaździstej 16 będzie oferować specjalistyczne kształcenie. Trwa rekrutacja.

„Jarzębinki” to Niepubliczne Przedszkole i Żłobek, które są idealnym miejscem dla dziecka z potrzebami kształcenia specjalnego. Trwa wyposażanie sal dydaktycznych, a placówka czeka na meble.

Ma być bezpiecznym, kameralnym miejscem dostosowanym do indywidualnych potrzeb dzieci: tylko dwie klasy do czterech uczniów; wykwalifikowana kadra: psycholog, logopeda, pedagog specjalny, specjalista integracji sensorycznej, specjalista terapii pedagogicznej; specjalistyczne wsparcie: terapia integracji sensorycznej, terapia pedagogiczna; bogate zaplecze: ścieżka sensoryczna, sala doświadczania świata.

Szkoła czeka też na dzieci ze spektrum autyzmu z niepełnosprawnością intelektualną (stopień lekki lub umiarkowany). Placówka jest bezpłatna -



Dla dzieci przygotowano sale z wyposażeniem

opłata dotyczy jedynie wyżywienia.

O powodach otwarcia podstawówki dla dzieci ze specjalnymi potrzebami kształcenia opowiedziała Iwona Kępińska, dyrektorka przedszkola.

- Docierały do mnie informacje od rodziców dzieci, które skończyły przedszkole. Wspominali o trudnościach, z jakimi muszą się zmierzyć oni i ich dzieci w szkołach masowych:

brak indywidualizacji kształcenia, brak wsparcia terapeutycznego, zbyt liczne klasy, brak zrozumienia ze strony grona pedagogicznego, które nie jest przygotowane do pracy z dzieckiem przejawiającym liczne trudności - informuje.

Placówka jest przygotowana do takiej działalności, bo otrzymała Certyfikat Jakości od Fundacji Wspierania Jakości i Innowacyjności.

SŁOWO SPORTOWE



Visegrad Bicycle Race

GRAND PRIX POLSKI Głogów - Grębocice



SKANUJ,
ABY POBRAĆ TRASĘ



UCI EUROPE TOUR



Designed with 'by BrandCrowd' (www.brandcrowd.com) ©2026 (ca. Dariusz Krywicki)

07.06.2026

START: GŁOGÓW / Rynek
11:30 Prezentacja teamów
11:50 Start honorowy

META: GRĘBOCICE / Park
13:30 Wyścigi rowerowe
i atrakcje dla dzieci oraz rodziców
ok. 15:30 Meta (przy Urzędzie Gminy)
ok. 15:40 Dekoracja

SPONSORZY

Visegrad Fund



Gmina Jerzmanowa
Gościnna dla rozwoju

Grębocice
Przyjazna Gmina

DOLNY
ŚLĄSK



SKODA GALL-ICM
WROCLAW

SYNCROS

DANIELO

B*

ŚLĘŻA
SOBÓTKA
BIKE ACADEMY



Rodzice przygotowali występ w tajemnicy przed dziećmi, żeby sprawić im niespodziankę

Rodzice wystawili spektakl dla dzieci

Wiktoria Żyta
Głogów

W Teatrze im. Andreea Gryphiusa w Głogowie rodzice uczniów klasy 1c ze Szkoły Podstawowej nr 8 z Oddziałami Integracyjnymi im. Jana z Głogowa wystawili spektakl.

Zazwyczaj to rodzice siedzą na widowni i podziwiają programy artystyczne swoich dzieci. 19 maja było na odwrót i to właśnie dzieci patrzyły na scenę z uznaniem. O inicjatywie opowiada jeden z organizatorów, Tomasz Olczak:

- Pomyśl jest pani Dagmara Hucaluk, wychowawczyni, która ma artystyczną duszę i napisała scenariusz. Kiedy zaczęliśmy o tym rozmawiać, jako człowiek związany z teatrem zaproponowałem, żebyśmy zrobili to nie w szkole, a w teatrze. Skoro jest taka inicjatywa, w której rodzice chcą wystąpić na scenie, zaprezentować bajkę, to najlepszym do tego miejscem będzie teatr. Myślę, że po takim wydarzeniu może pojawić się apetyt, żeby to powtórzyć - mówi.

Opowiada także o tym, skąd wziął się pomysł na opowieść o zaginionej rodzinie.

- To jest bajka o tym, jak rodziny gubią się w codziennych obowiązkach. O tym, że dzieci są w świecie elektronicznym. Myślę, że to bajka z morałem - informuje.

Rodzice są zadowoleni z inicjatywy, mają nadzieję, że to wydarzenie nie było ostatnim.

- Wyszło super, była ogromna trema. Od liceum nie brałam udziału w żadnej inscenizacji. Nauka tekstu, zagranie - to było wyzwaniem - mówi Katarzyna Henclik, wcielająca się w postać królowej. - Dodam, że dostałam cudowną suknię dzięki pomocy Bożeny Kowalczykowskiej.

Wychowawczyni Dagmara Hucaluk była uradowana efektami pracy z rodzicami.

- Działania z rodzicami na rzecz dzieci są najważniejsze. To nas jednoczy i pokazuje, że współpracujemy tłumaczy. I dodaje: - Dzieci znały treść bajki, ale nie wiedziały, kto będzie występował.

Na początku uczniowie byli lekko zdziwieni, ale potem chętnie śpiewali piosenki i angażowali się w wydarzenia na scenie. - Moja mama była kotem, a babcia krasnoludkiem. Bardzo mi się podobało - mówiła z uśmiechem Blanka, uczennica klasy 1c.

Grażyna Szyszka
Jerzmanowa

Szkoła Podstawowa im. Jana Pawła II obchodziła 70-lecie, a uroczystości zgromadziły uczniów, nauczycieli, absolwentów oraz przyjaciół szkoły.

Wielkie święto w Szkole Podstawowej im. Jana Pawła II w Jerzmanowej. Wtorek, 19 maja, był ważnym dniem w historii placówki. Uczniowie w galowych strojach, nauczyciele, absolwenci, byli pracownicy oraz zaproszeni goście wzięli udział w obchodach 70-lecia SP. Po mszy świętej z dziedzica szkoły wypuszczono w niebo 70 balonów, a następnie w świetlicy odbyła się uroczysta akademia.

Gości witała dyrektor szkoły, Mariola Tuz, dla której wydarzenie było szczególnie wzruszające.

- Spotykamy się na obchodach dwóch jubileuszy - 70-lecia istnienia naszej szkoły oraz 20-lecia nadania jej imienia świętego Jana Pawła II. To szczególny moment, w którym splatają się historia, pamięć, wdzięczność i dumę - powiedziała.

Dyrektor przypomniała również historię powstawania szkolnictwa na terenie gminy Jerzmanowa. Warto zaznaczyć, że w pierwszych powojennych latach szkoły działały w Gaikach, Bądzowie, Łagoszowie Małym, Jaczowie oraz Kurowicach.

- Szkoła w Jaczowie od 1946 roku była placówką siedmioklasową, podobnie jak w latach 50. szkoła w Gaikach. W Bądzowie i Kurowicach działały natomiast szkoły czteroklasowe. To właśnie z tych niewielkich pla-



Uroczystą akademię zorganizowano w świetlicy



Dyrektor Mariola Tuz przypomniała historię powstawania szkolnictwa w gminie po wojnie

cówek rodziła się edukacja, która stała się fundamentem naszej dzisiejszej szkoły - przypomniała Mariola Tuz.

Obecnie do szkoły w Jerzmanowej uczęszcza 290 dzieci. Kameralny charakter placówki sprawia, że wszyscy dobrze się znają.

niem oglądali stare fotografie, szukając na nich swoich kolegów i członków rodziny. Na jednej z nich swojego brata odnalazła Wiktoria Sikorska, która szkołę ma za płotem.

- Gdy po wojnie moi rodzice przyjechali do Jerzmanowej, w tym budynku była gospoda. Moi dwaj najstarsi bracia chodzili pieszo do szkoły w Jaczowie. Później otwarto czteroklasową szkołę w Jerzmanowej, a z tyłu nadal działała knajpa. Dopiero z czasem zaczęto tworzyć kolejne klasy. Pomagali wszyscy, także rodzice. Moja siostra Lodzia w 1955 roku uczyła się już na miejscu, w Jerzmanowej. Do tej szkoły chodziły również moje dzieci, a teraz uczęszcza do niej wnuk - wspominała Wiktoria Sikorska, która rozpoczęła naukę w podstawówce pod koniec lat 50. ubiegłego wieku.

- Mam tu wielu przyjaciół, a nasi nauczyciele są bardzo fajni. Jest u nas przytulnie - powiedziała Patrycja Maciejewska z piątej klasy.

Na jubileusz przybyli również dawni uczniowie. W specjalnie przygotowanej sali wspomnień z zainteresowa-

REKLAMA 0011504919

Stacja demontażu pojazdów
ZŁOMUJGRATA.PL

KASACJA POJAZDÓW

64-100 Lasocice k. Leszna
ul. Wschodnia 36A (przy 55)

500 545 500

AUTOREKLAMA

motofakty.pl

Motoryzacja
na wysokich obrotach

motofakty.pl

REKLAMA 0011526181

INFORMACJA

BURMISTRZ MIASTA I GMINY CHOCIANÓW

informuje,

o zamieszczeniu na tablicy ogłoszeń
oraz w Biuletynie Informacji Publicznej
<http://chocianow.bip.pbox.pl>

informacji

o WYKAZACH nieruchomości
przeznaczonych do oddania w najem,
dzierżawę i bezpłatne użyczenie.

REKLAMA 0011526173

OGŁOSZENIE

Wójt Gminy Grębocice
informuje

o zamieszczeniu w Biuletynie Informacji Publicznej Urzędu Gminy Grębocice oraz na stronie internetowej:
www.grebocice.com.pl

wykazu nieruchomości:

- Zarządzenie nr 100.2026 z dnia 22.05.2026 r., przeznaczonych do dzierżawy w trybie bezprzetargowym,
- Zarządzenie nr 101.2026 z dnia 22.05.2026 r., przeznaczonych do oddania w najem w trybie bezprzetargowym.

REKLAMA 0011459123

ZŁOMOWANIE POJAZDÓW
tel. 600 609 606

Wszystkie formalności zafatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem

cenimy Twój czas!

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

Dalków. Festiwal Kwitnących Azalii



Czwarty Festiwal Kwitnących Azalii i Rododendronów w Dalkowie cieszył się ogromnym zainteresowaniem



W parku rośnie ponad 300 rododendronów i azalii, a także słynny 300-letni buk purpurowy



Odwiedzający robili zakupy w szkółce drzew i krzewów i na jarmarku rękodziela, próbowali regionalnych potraw

AUTOPROMOCJA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie przez
Internetowe Biuro Ogłoszeń.
Bez wychodzenia z domu.

ibo.polskapress.pl



PLOTKI

ALICJA SZEMPLIŃSKA
W ramionach

Polska wokalistka zachwyciła widzów podczas pierwszego półfinału Eurowizji w Wiedniu i zakwalifikowała się do sobotniego finału konkursu. Po wykonaniu piosenki „Pray” zeszła ze sceny i wbiegła za kulisy. W mediach społecznościowych pojawiło się nagranie dokumentujące tę chwilę, na którym widać, jak rzuca się w ramiona ukochanego i daje mu buziaka. Piosenkarka jest związana z Łukaszem Hodakowskim, znanym w branży muzycznej jako Hodak. 30-latek jest cenionym raperem i autorem tekstów. - On jest dla mnie taką osobą, która zawsze próbuje mnie uspokoić w tym wszystkim, bo jestem bardzo emocjonalna, bardzo wrażliwa - powiedziała w wywiadzie.

KATARZYNA CICHÓPEK
Bujała na ulicy

Celebrytka wybrała się z Maciejem Kurzajewskim na krótki wypad do Budapesztu. W mediach społecznościowych pary pojawiły się rolki dokumentujące zwiedzanie stolicy Węgier. Na jednym z nagrań Cichopek i Kurzajewski dali się nawet ponieść chwili, bujając biodrami na środku ulicy. Potem para podzieliła się rolką, na której można zobaczyć rozmaite kadry z ich węgierskiej podróży. Romantyczne spacery przeplatają się tutaj z zakupami w lokalnych sklepach, a jednym z najbardziej malowniczych momentów jest rejs po Dunaju z widokiem na słynny parlament. „Wciągnęła nas ta przystojak” - podsumowała celebrytka relację.

FILIP CHAJZER
Utrudnia

Celebryta promował książkę „Szczęście na kreskę” podczas spotkania autorskiego. Pojawił się na nim w towarzystwie nowej partnerki - 19-letniej Bianki. Para jest ze sobą od kilku miesięcy i ostatnio nawet zamieszkała razem. Nie wszystkim się to podoba. Jak donosi Pudelek, w momencie, gdy do głosu została dopuszczona publiczność, za mikrofon chwyciła matka Bianki. Zapytała Chajzera, dlaczego nakłonił dziewczynę po zaledwie kilku tygodniach znajomości do zamieszkania razem bez wiedzy rodziców, a także dlaczego utrudnia jej kontakty z bliskimi. Zrobiło się bardzo niezręcznie. Po spotkaniu Chajzer usiadł ze swą dziewczyną i jej matką, by spokojnie porozmawiać i po kilkunastu minutach wszyscy się rozeszli.



FOT. GRAZYNA SZYSZKA

„Łowy w Puszczy Tarnowskiej” z sokołami

Festyn „Łowy w Puszczy Tarnowskiej”, zorganizowany przez Nadleśnictwo Sława Śląska wśród kwitnących kasztanów w Gaju Wandy zwałił wielu amatorów przyrody.

W osadzie Stowarzyszenie Rekonstrukcji Historycznej Dziadoszanie można było nauczyć się rzucać toporkiem do celu i strzelać z łuku. Były też sokoły. SEL

HUMOR

Matka do córki:

- Kiedy wreszcie pójdziesz do pracy?
- Przecież pracuję z domu.
- Ale mogłabyś czasem pójść do pracy. Albo gdziekolwiek indziej. Ja też chcę mieć życie osobiste!

Na lekcji religii ksiądz pyta:
- Czy odmawiacie modlitwę przed jedzeniem?
- Mój tato się modli - zgłasza się Jasio.
- Bardzo ładnie - cieszy się

ksiądz. - A możesz kolegom powiedzieć, jak?
- Dobry Boże, znowu ten paskudny bigos...

- Coś taki smutny?
- A czytałeś wiadomości?
- Jakież!
- Dowolne!

Parka narzeczonych w kinie dyskutuje podczas projekcji filmu. Jakis podenerwowany widz z tyłu mówi...

- Hej wy tam... przecież tu nic nie słychać!
- A co byś chciał słyszeć? To są nasze sprawy!

Rozmawia dwóch kumpli:
- Aby zadowolić żonę, rzucitem picie, palenie i karty.
- No to na pewno jest szczęśliwa?
- A tam. Wściekła chodzi. Za każdym razem, jak zaczyna mówić, dociera do niej, że nie ma się do czego przytępić.

REKLAMA

0011484025



Nadleśnictwo Głogów

Nadleśnictwo Głogów jest zainteresowane zakupem lasów i gruntów przeznaczonych do zalesienia.

Osoby i instytucje, które chcą sprzedać swoje grunty leśne lub te przeznaczone do zalesienia, proszone są o składanie wniosków do biura Nadleśnictwa Głogów (ul. Sikorskiego 54, 67-200 Głogów) lub przesłanie ich na adres mailowy: glogow@wroclaw.lasy.gov.pl

Wniosek powinien zawierać następujące informacje:

- 1 Lokalizacja gruntów (numer działki ewidencyjnej, obręb ewidencyjny, gmina).
- 2 Rodzaj użytku gruntowego i jego powierzchnia.
- 3 Numer Księgi wieczystej założonej dla przedmiotowego gruntu.
- 4 Przeznaczenie gruntu w Miejscowym Planie Zagospodarowania Przestrzennego gminy, a w przypadku jego braku MPZP przeznaczenie w Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego. W przypadku braku MPZP istotna będzie także informacja, czy dla gruntu wydana została decyzja o warunkach zabudowy.
- 5 Cena gruntu – określona w oparciu o wycenę rzeczoznawcy majątkowego.

► Zakup gruntów poprzedzony będzie weryfikacją stanu prawnego (istnienie obciążeń, sporów granicznych itp.). Grunt będzie także weryfikowany pod względem spełniania warunków do nabycia określonych w art. 37 ustawy o lasach.

► Osoby zainteresowane sprzedażą lasu zapraszamy do kontaktu z Nadleśnictwem Głogów pod numerem telefonu 76 836 59 93 od poniedziałku do piątku w godz. 7.00-15.00.



Na dziedzińcu zorganizowano pokazy walk rycerskich oraz bicie pamiątkowych monet. Można było również podziwiać panoramę miasta z zamkowej wieży. Na stoisku Głogowskiej Edukacji Kresowej oferowano książki

Noc Muzeów. Głogowski zamek pełen atrakcji: zwiedzanie i rycerskie walki



Na odwiedzających czekały muzealne wystawy, w tym ekspozycja poświęcona księżnej Salomei Głogowskiej



Głogowianie przybyli na zamek całymi rodzinami. Dorośli i dzieci dobrze się bawili

WATYKAN POD REKĘ ZE SZTUCZNĄ INTELIGENCJĄ

Stolica Apostolska pionierem w świecie rozwiniętej technologii i sztucznej inteligencji? Jak najbardziej, choć wedle ściśle określonych zasad i regulacji

Mariusz Grabowski

Kościół ze swej strony posiada »autorytet moralny« oraz zdolność gromadzenia kompetentnych rozmówców, stając się istotnym partnerem w ukierunkowywaniu rozwoju AI» - twierdzi abp Paul Tighe, sekretarz Dykasterii ds. Kultury i Edukacji. Ale prócz korzyści z AI dostrzec też można niebezpieczeństwa płynące z jej niefrasobliwego wdrażania.

Stojąc przed wyzwaniem

Słowa irlandzkiego duchownego zabrzmiały całkiem niedawno, w marcu 2026 r., podczas seminarium naukowego w Watykanie poświęconego potrzebom zarządzania sztuczną inteligencją. Zorganizował je watykański Sekretariat ds. Gospodarki oraz Urząd Pracy Stolicy Apostolskiej o potencjale i wyzwaniach sztucznej inteligencji.

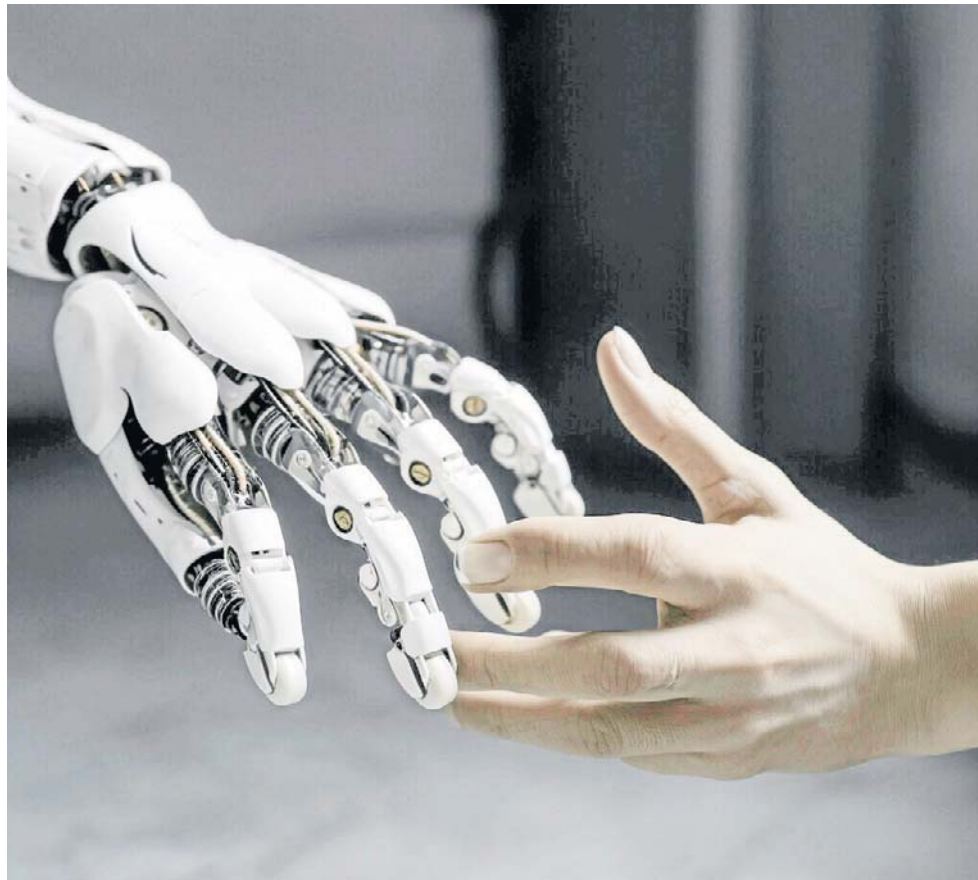
Abp Tighe przypomniał, że zaangażowanie papieża Leona XIV, który uczynił refleksję nad sztuczną inteligencją jednym z priorytetów swojego pontyfikatu, zakłada jednocześnie konkretne zasady, które muszą przełożyć się na konkretne działania Kościoła.

Jakie to zasady? W obszarze konkurencyjności - poprzez promowanie współpracy i globalnego zarządzania nowymi technologiami. W kontekście polaryzacji - poprzez ponowne potwierdzenie kultury spotkania i dialogu, zaś w odniesieniu do nierówności - przypominając, że „realistyczny pakt społeczny” musi obejmować różne kultury i wizje świata.

Wreszcie w kwestii „delegowania funkcji poznawczych” - poprzez umacnianie katolickiej wizji edukacji i wzmacnianie sieci uniwersytetów katolickich.

Papież w widoczności

Można powiedzieć, że od teoretyzowania do działań praktycznych daleka droga. Ale są przykłady, że Kościół już korzysta z nowych technologii. Oto w lutym tego roku działalność zainaugurował bezpłatny video-widżet Vatican News. Dzięki temu narzędziu odbiorcy mediów elektronicz-



Watykański dokument nie zaprzecza, że sztuczna inteligencja może wprowadzić „ważne innowacje”, ale ostrzega też, że może pogłębić zjawiska dyskryminacji

nych mieli bezpośredni i łatwy dostęp do wszelkich materiałów multimedialnych dotyczących pielgrzymki Leona XIV do Afryki od 13 do 23 kwietnia.

Do instalacji widżetu zachęcał sam Leon XIV, który napisał w lutym do biskupów całego świata: „Drogi Bracie, ta inicjatywa Vatican News jest narzędziem ewangelizacji i daje możliwość budowania sieci oraz wymiany darów między Rzymem a Kościołem w Twoim kraju. To sposób, by Twoje parafie i wspólnoty miały stały dostęp do informacji z pierwszej ręki”.

W sensie medialnym to wydarzenie bez precedensu. Dostęp do transmisji na żywo oraz wszystkich relacji dotyczących papieskich podróży w wybranym języku, zmienia formy informacji i ewangelizacji w sposób fundamentalny.

60 języków. Na razie

Inny przykład: także w lutym Stolica Apostolska poinformowała, że przygotowuje nową usługę opartą na AI, która

pozwoli pielgrzymom oraz turystom na translację słów papieża. Będzie to specjalna platforma, która pozwoli na zeskanowanie kodu QR telefonem.

Od strony technicznej jest to wykorzystanie platformy Lara, stworzonej przez firmę Translated jeszcze w 2024 r. Jej działanie jest bardzo proste. Telefon i zeskanowany kod QR przeniesie użytkownika na specjalną stronę, skąd będzie można uzyskać dostęp do tłumaczenia słów papieża. Będą to zarówno wersje tekstowe, jak i nagrania dźwiękowe.

Na początku tłumaczenia będą funkcjonować w jednym z 60 języków. Wybór Lary nie jest przypadkowy, bo platforma jest w stanie przeprowadzać tłumaczenia nawet w ponad 200 językach i odbywa się to w bardzo krótkim czasie i w miarę bezbłędnie, generując ok. 2,5 błędów na 1000 słów. Obecna faza testowa ma na celu sprawdzenie wydajności serwerów przy ogromnym obciążeniu - kiedy to tysiące osób jednocześnie połączą się z systemem.

Feeria nowinek

Idźmy dalej - z okazji 400. rocznicy poświęcenia Bazyliki Świętego Piotra (dokonał go papież Urban VIII 18 listopada 1626 r.), zostaną otwarte wcześniej niedostępne jej części. Obecnie rozbudowywany jest w tym celu ekosystem cyfrowy Smart Pass, który pozwala na rezerwację dostępu do Bazyliki w czasie rzeczywistym. Zintegrowany z oficjalną platformą basiclicasanieta.va umożliwi sprawdzenie możliwości szybkiego wejścia do Bazyliki oraz dokonanie rezerwacji, regulując zarządzanie przepływem osób i przestrzenią.

Za pomocą specjalnie stworzonej platformy cyfrowej pielgrzymi i turyści będą mogli także opowiedzieć o swoich doświadczeniach z wizyty w Bazylice poprzez napisanie na tzw. social wall wiadomości, pozostawienie intencji modlitewnej czy opublikowanie zdjęcia wykonanego na zewnątrz Bazyliki. Przedstawiając owe technonowinki archidziekan Bazyliki kard. Mauro Gambetti

dodał też ciekawostkę: do pakietu Microsoft Office trafi nowa instytucjonalna czcionka nazwana „Michelangelus”, zainspirowana pismem Buonarrotiego i stworzona przez grafików ze Studio Gusto.

„Zero impact”

Skoro jesteśmy przy ciekawostkach, wspomnijmy o jeszcze innej, bardziej w stylu eko: Bazylika św. Piotra ma do 2030 r. stać się obiektem zeroemisyjnym, technologicznie zaawansowanym i przyjaznym środowisku.

Inicjatywa „zero impact” rozpoczęła się już w 2022 r. z ramienia instytucji o nazwie Fabryka św. Piotra, odpowiedzialnej za utrzymanie i konserwację świątyni. Obejmuje nie tylko samą Bazylikę, lecz także siedzibę kanoników, Dom św. Marty oraz Studio Mozaiki. Celem jest przekształcenie tego miejsca w „dom bez śladu węglowego”, przyjazny zarówno dla milionów odwiedzających rocznie, jak i dla środowiska.

Technologicznie projekt obejmuje m.in. monitoring powietrza w czasie rzeczywistym. „Wewnątrz Bazyliki zainstalowano siedem punktów pomiarowych analizujących poziom pyłów zawieszonych (PM), lotnych związków organicznych (TVOC), dwutlenku węgla (CO) i warunków mikroklimatycznych. Dane te pozwalają nie tylko chronić zdrowie odwiedzających, ale też zabezpieczać zabytkowe wnętrza przed skutkami zanieczyszczeń” - czytamy w opisie systemu.

Ostrożnie! Ostrożnie!

„Sztuczna inteligencja i nowe technologie mogą przyspieszyć pracę ewangelizacyjną, obniżyć koszty tworzenia materiałów i pomóc misjonarzom docierać z przekazem tam, gdzie człowiekowi trudno być fizycznie obecnym” - takie wnioski płyną z międzynarodowego webinaru Papieskiej Unii Misyjnej, który odbył się na początku maja.

Podczas cyklu internetowych szkoleń PUM uczestnicy poznawali różne zastosowania AI: od generowania tekstów, przez tworzenie grafik, po proste formy wideo i animacje. Ostatni warsztat był poświęcony m.in. animacjom, prebitkom wideo i awatarom, które mogą służyć pracy misyjnej, edukacyjnej i formacyjnej.

Jednak korzyści z AI to tylko jedna strona zagadnienia. Równie ważny jest aspekt etyczny, o którym papież wspominał w liście do uczestników listopadowego Builders AI Forum 2025, który odbył się na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. „Nie chodzi tylko o to, co AI może zrobić, lecz kim stajemy się przez technologie, które budujemy” - brzmiało przesłanie Leona XIV.

Teolodzy radzą

Nauczanie papieża w kwestii nowych technologii doczekało się już całkiem sporej bibliografii. Innowacja technologiczna - wedle niego - może być formą uczestnictwa w Bożym akcie stworzenia, lecz „jako taka niesie ze sobą ciężar etyczny i duchowy. Każdy wybór w procesie tworzenia wyraża wizję człowieczeństwa”.

Papież przypomina, że korzyści z AI nie mogą ograniczać się jedynie do warstwy technologicznej czy inwestycyjnej, jak w przypadku wymienionych wyżej zastosowań w służbie Stolicy Apostolskiej. To - jak zauważył - musi być przedsięwzięcie całego Kościoła, w którym technologia „staje się narzędziem ewangelizacji i integralnego rozwoju człowieka”.

To zgodne z tym, co o AI opublikowały w styczniu 2025 r. dwie dykasterie - Nauki Wiary oraz do spraw Kultury i Edukacji. W nocie „Antiqua et Nova” poruszono zależności między sztuczną inteligencją a inteligencją ludzką. Przyjrzyjmy się wnioskom, odwołując się bowiem do sedna katolickiej antropologii.

Osoba ludzka a AI

„Inteligencja ludzka - czytamy w dokumencie - »ureczywistnia się w relacjach«, jest kształtowana przez Boga i »plastyczna dzięki niezliczonym doświadczeniom przeżywanym w cielesności«. Sztucznej inteligencji »brakuje zdolności do ewolucji w tym znaczeniu«. Jej perspektywa jest »czysto funkcjonalistyczna«, oceniająca ludzi wyłącznie przez pryzmat ich pracy i osiągnięć, podczas gdy ludzka godność jest niezbywalna i zawsze nienaruszalna. Dotyczy to także »dziecka nienarodzonego«, »osoby w stanie nieświadomości« czy »cierpiącego seniora«. Mylące jest zatem używanie słowa »inteligencja« w odniesieniu do sztucznej inteligencji: nie jest ona »sztuczną formą inteligencji«, ale »jednym z jej wytworów”.

Zatem jak każdy wytwór ludzkiego geniuszu, sztuczna inteligencja może być skierowana zarówno ku „celom pozytywnym, jak i negatywnym”. Dokument nie zaprzecza, że sztuczna inteligencja może wprowadzić „ważne innowacje” w różnych dziedzinach, może ona również pogłębić zjawiska marginalizacji, dyskryminacji, ubóstwa, „wykluczenia cyfrowego” i nierówności społecznych.

„W szczególności »obawy etyczne« budzi fakt, że »większość władzy nad głównymi zastosowaniami sztucznej inteligencji jest zgromadzona w rękach kilku potężnych firm«, co powoduje, że technologią tą można manipulować dla osiągnięcia »osobistych lub korporacyjnych korzyści« albo do »kierowania opinią publiczną w interesie określonego sektora”.

Czwartkowe popołudnie. Nagle dzwoni telefon.
- Dorota, słyszałaś? Nie żyje poseł Litewka!
- Ewa, przyjaciółka, mówi na bezdechu.

- Tak, słyszałam.
- No i co o tym myślisz?
- pyta przekonana, że dziennikarce zawsze wiedzą więcej.
- Co tu myśleć? Potworne nieszczęście.

- Bo wiesz, to podobno nie był wypadek. Nie uważasz, że to trochę dziwne? Młody, zdrowy, przecież zjechałby do rowu, jakoś uciekłby przed tym samochodem. Był politykiem, niejednemu zaszedł za skórę
- Ewa nie daje za wygraną. I opowiada, że w internecie mnóstwo teorii na temat tego, co tak naprawdę wydarzyło się na drodze między Sosnowcem a Dąbrową Górniczą i nawet Doda napisała, że w żadne wypadki nie wierzy.

- Aniby komu poseł Litewka zaszedł za skórę? Był powszechnie lubiany - dopytuję Ewę.

- Choćby właścicielem schronisk, bo walczył o zwierzęta, albo jakimś politykiem. Zresztą, to ty powinnaś wiedzieć! - szybko odpowiada.

Chyba zdołałam ją przekonać, że żadnego zamachu na posła nie było. Takie tragedie się przecież zdarzają; kierowca, który wjechał w Łukasza Litewkę, pewnie zasnął, zasnął, a może rozmawiał przez telefon. Nie wiadomo, trzeba czekać, co ustali policja.

- Może masz rację - przytaknęła. - Ale jak czegoś się dowiesz, dasz znać? - zapytała na koniec.

- Dam, dam! - zapewniłam. Godzinę później zadzwoniła znajoma z pytaniem, co ma mówić tym wszystkim koleżankom, które jej piszą, że posła Litewkę zamordowano.

Pod wieczór odezwała się mama.

- Straszne nieszczęście! Przecież wszyscy tego posła lubili. Bardzo miły człowiek i tyle dobrego robił - zaczęła. A potem było o tym, że była w urzędzie miasta, bo coś tam musiała załatwić, że ludzie w kolejce do okienka różne rzeczy o posle Litewce opowiadali. Ona w to wszystko oczywiście nie wierzy, ale mówili, że pewnie komuś w Warszawie musiał się narazić. I tak dla pewności zapyta, co ja o tym myślę.

- Mamo..... - wyszeptalam błagalnie.

Po skończeniu rozmowy, tak z ciekawości, usiadłam do komputera. I zamarłam. Dawno takich bzdur nie czytałam.

Następnego dnia policja wydała komunikat.

„W związku z wypadkiem drogowym, do którego doszło 23 kwietnia br. w Dąbrowie Górniczej, w którym śmierć poniósł poseł, w przestrzeni publicznej - w szczególności w mediach społecznościowych - pojawiają się liczne komentarze oraz spekulacje dotyczące okoliczności

Zwolenników teorii spiskowych można znaleźć wśród osób w każdym wieku, o różnej płci, narodowości, zamożności, przekonaniach politycznych, stopniu wykształcenia i statusie zawodowym. Krótko mówiąc: wiek, płeć, wykształcenie, stan posiadania nie mają znaczenia: liczy się umiejętność sprawdzania informacji i oceny źródeł

Dorota Kowalska



Ani wiek, ani płeć, ani poziom wykształcenia, ani nawet czytanie „wszystkiego” nie są ochroną przed dezinformacją

„PARADOKS SPISKOWY”, CZYLI KTO WIERZY W TAJNE GRUPY STERUJĄCE ŚWIATEM

tego zdarzenia. Apelujemy o zachowanie spokoju i rozważni. Na chwilę obecna nie ma żadnych potwierdzonych ustaleń wskazujących, aby zdarzenie miało charakter celowy. Trwają intensywne czynności mające na celu dokładne wyjaśnienie wszystkich okoliczności wypadku” - napisali ślascy policjanci. I zwrócili się ze specjalnym apelem. „Prosimy o powstrzymanie się od publikowania i rozpowszechniania niezwyfikowanych informacji, które mogą wprowadzać w błąd

oraz niepotrzebnie potęgować emocje. Jednocześnie zwracamy się z apelem do wszystkich osób, które były świadkami zdarzenia lub posiadają jakiegokolwiek informacje mogące pomóc w jego wyjaśnieniu, o kontakt z policją lub prokuraturą. Apel kierujemy również do kierowców, którzy przejeżdżali w tym czasie przez miejsce zdarzenia i mogą posiadać nagrania z kamer samochodowych”.

Przeczytałam i przypomniałam sobie słowa niezwykłego już prof. Zbigniewa Mikołajki, który

pewnego dnia powiedział mi tak: „Wie pani, jeśli ludzie nie umieją czegoś zrozumieć, jeśli jakieś zdarzenie jest tak straszne, tak bolesne, tak okrutne, że przerasta ich wyobrażenie, że nie potrafią go ogarnąć umysłem, to próbują je sobie na swój sposób wytłumaczyć, jakoś to wszystko zrationalizować. Dopiero potem mogą iść dalej”.

Wbrew stereotypom
NASK (Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa) opu-

blikował właśnie raport „Paradoks spiskowy. O lęku przed innymi, potrzebie silnego państwa i podatności na narracje dezinformacyjne”, który rzuca nowe światło na stare przekonania i przeczy stereotypom, bo do tej pory wydawało nam się, że człowiek wykształcony, młody, z dużego miasta jest odporny na spiskowe teorie dziejów. Nic bardziej mylnego. Dokument pokazuje, co tak naprawdę ma wpływ na wiarę w spiski, a co w zasadzie nie ma znaczenia.

Przebadano prawie 4 tysiące dorosłych Polaków - pytano o ich poglądy, wykształcenie, o to, jak korzystają z mediów.

- Raport obala wiele mitów na temat podatności na teorie spiskowe. Ani wiek, ani płeć, ani poziom wykształcenia, ani nawet czytanie „wszystkiego” nie są wystarczającą ochroną przed dezinformacją. Najważniejsze jest to, jak podchodzimy do informacji i czy umiemy je weryfikować - mówi Agnieszka Ładna, kierownik Zespołu Badań nad Cyberprzestrzenią i Cyberbezpieczeństwem w NASK, jedna z autorek raportu.

Tak więc, wniosek pierwszy: płeć i miejsce zamieszkania nie decydują o podatności na teorie spiskowe. Mniej więcej tyle samo kobiet co mężczyzn w nie wierzy i nieważne, czy mieszkają w wielkich miastach, czy mniejszych miejscowościach.

Nie jest też tak, że najłatwiej w dezinformację wierzą seniorzy. Badania pokazują, że jest wręcz przeciwnie - to osoby starsze wykazują największą odporność na narracje spiskowe. Mniej odporni są młodzi dorośli w przedziałach wiekowych 30-39 lat i 18-29 lat.

Kluczową rolę odgrywa też światopogląd. Raport wskazuje na tzw. paradoks spiskowy - oznacza to, że największą podatność na wiarę w spiski wykazują osoby łączące konserwatywne podejście kulturowe z oczekiwaniem silnej i opiekuńczej roli państwa w gospodarce.

I wykształcenie nie ma tu kompletnie znaczenia. Liczy się nie dyplom uczelni wyższej, ale umiejętność sprawdzania informacji i oceny źródeł. I tu Polacy czują się pewnie. Co trzeci badany wysoko ocenia swoje umiejętności rozpoznawania fałszywych treści.

Kolejna sprawa: teorie spiskowe funkcjonują na zasadzie naczyń połączonych. Rzadko zdarza się, by ktoś wierzył tylko w jedną narrację. Wierzy w kilka teorii spiskowych i tak buduje sobie spójny obraz świata, w którym przypadek nie istnieje, a za wydarzeniami stoją „tajne grupy sterujące światem”.

Skrajne poglądy wpływają na podatność na narracje dezinformacyjne. Najbardziej odporne są na nie osoby o umiarkowanych poglądach, które patrzą na życie z różnych perspektyw i unikają patrzenia na świat wyłącznie w czarno-białych barwach. Z kolei ksenofobia to najsilniejszy czynnik wpływający na wiarę w teorie spiskowe.

- Algorytmy mediów wizualnych promują emocjonalne i uproszczone treści. Chaos informacyjny utrudnia oddzielenie faktów od opinii, a utknięcie w „bańce informacyjnej” sprzyja wybiórczemu sięganiu po treści bez kontekstu. Z badań wynika, że w tej sytuacji to właśnie śledzenie mediów głów-

nego nurtu, opartych na weryfikacji informacji i standardach redakcyjnych, zmniejsza podatność na wiary w spiski - wyjątkiem Filip Konopczyński, dyrektor Biura Analiz i Badań.

Z badań wynika też, że czytanie wielu źródeł - od rzetelnych mediów po treści skrajne czy plotkarskie - wcale nie buduje odporności. Osoby narażone na wiele, często sprzecznych, informacji są bardziej zdezorientowane, a to sprzyja przyjmowaniu spiskowych teorii wyjaśniających rzeczywistość.

To, co czytamy, gdzie szukamy wiedzy o świecie, ma kluczowe znaczenie. Wyższa podatność na teorie spiskowe częściej występuje u użytkowników serwisów opartych na krótkich filmikach, które podają algorytmy, zaś niższa wśród osób korzystających z platform tekstowych i relacyjnych.

- Badania nad zjawiskiem dezinformacji są dla nas kluczowe, choć niezwykle trudne - podkreśla Magdalena Wilczyńska, szefowa Pionu Ochrony Informacyjnej Cyberprzestrzeni NASK. - Pozwalają nam zrozumieć głębsze społeczne i poznawcze mechanizmy, które czynią je skutecznymi. Bez rzetelnej diagnozy ryzykujemy, że nasze reagowanie będzie intuicyjne i doraźne. Ten raport powstał z przekonania, że odporność informacyjna zaczyna się od zrozumienia ludzi: ich lęków, oczekiwań, sposobów korzystania z informacji i relacji z instytucjami - podsumowuje.

Jakie teorie spiskowe królują dzisiaj w Polsce? Te o celowych wysiedleniach ludności, szczyptach jako narzędziu depopulacji, klimatycznych spiskach zmierzających do zniewolenia obywateli czy manipulacji pogodą. Na tej liście wciąż wysoko plasują się narracje o nadużyciach rządów i globalnych konspiracyjnych układach.

Wątki te, jak podkreślają autorzy raportu, rzadko funkcjonują osobno - zazębiają się, wzmacniają nawzajem i ostatecznie tworzą alternatywny obraz rzeczywistości.

Dowody? W 2020 roku aż 47 procent badanych Polaków wierzyło w narrację, według której losami świata steruje jedna, tajna grupa. Z kolei z raportu „Dezinformacja oczami Polaków” z 2024 roku wynika, że nawet 30 procent z nas wierzyło, że zaplanowano już kolejne pandemie.

Pandemiczny zapalnik

Właśnie, bo pandemia COVID-19 to był ten czas, kiedy teorie spiskowe mnożyły się na potęgę. Ludzie wierzą w nie od czasów kamienia łupanego, ale w historii bywają okresy, kiedy takie narracje świetnie się „sprzedają”.

W 2020 roku ludzie nie potrafili sobie wytłumaczyć, co się właściwie dzieje, jak to moż-

liwe, że w XXI wieku „zaraza” opanowała ich w miarę przewidywalny świat?

I tak, właściwie od dnia, w którym dowiedzieliśmy się o tajemniczym wirusie szalejącym w Chinach, w sieci pojawiły się informacje o laboratorium w okolicy miasta Wuhan, a więc w epicentrum zarazy. „The Washington Times” opublikował nawet artykuł, którego autorzy twierdzili, że wybuch epidemii jest związany z badaniami prowadzonymi przez Instytut Wirusologii w tym mieście. Powoływał się przy tym na opinię byłego członka izraelskich służb specjalnych. „The Washington Post” skonfrontował słowa Izraelczyka z licznymi ekspertami, którzy stwierdzili, że genom wirusa nie wskazuje, że jest on tworem sztucznym. Profesor MIT Vipin Narang stwierdził nawet w tweecie, że jeśli koronawirus miałby być bronią biologiczną, to bardzo źle skonstruowaną - wirus ma stosunkowo niską śmiertelność i zbyt łatwo się rozprzestrzenia, aby mógł być skuteczny.

Ale jak to z teoriami spiskowymi bywa, niektórzy, mimo zapewnień ekspertów, że nie są prawdziwe, wierzyli i wierzą w nie bezgranicznie. Informacja o „wypuszczeniu” wirusa z chińskiego laboratorium była swoim własnym życiem. Miała też kilka wersji. Jedna zakładała, że wirus został z niego wypuszczony celowo, aby sprawdzić jego siłę rażenia, inna, że zwierzęta z laboratorium trafiły na targowisko w Wuhan, a stamtąd wprost na talerz „pacjenta zero”.

Druga strona nie pozostała dłużna. Chińscy internauci i eksperci apelowali o więcej szczegółów na temat tego, czy laboratorium w Fort Detrick koło Waszyngtonu zamknięto z powodu koronawirusa. Zamknięcie amerykańskiej placówki miało, według ich wiedzy, zbiec się w czasie z wybuchem epidemii. Oficjalna agencja informacyjna Xinhua zasugerowała delikatnie, że epidemia wprawdzie rozpoczęła się w Chinach, ale to nie oznacza, że COVID-19 pochodzi właśnie stąd, a rzecznik chińskiego MSZ Zhao Lijian napisał nawet na Twitterze, że „może to armia USA” sprowadziła koronawirusa do Wuhan.

Już mniej oficjalnie, w sieci, krążyła teoria, że to Amerykanie mieli użyć broni biologicznej, aby osłabić chińską gospo-

darę. Chiny są przecież mocarstwem, największym konkurentem Stanów Zjednoczonych, a Donald Trump od miesięcy walczył z chińskimi markami, które zdobywały światowe rynki. Pasuje? Pasuje!

Z gatunku teorii, w których za pandemią stoją politycy, była jeszcze jedna, według której rząd wykorzystał epidemię koronawirusa do tego, aby zwiększyć możliwość inwigilacji ludności.

Amerykańscy miłośnicy teorii spiskowych uważali, że epidemia koronawirusa nieprzypadkowo zbiegła się z procesem impeachmentowym Donalda Trumpa. Jordan Sather, znany w kregach „informacji alternatywnej”, twierdził, że rozprzestrzenienie choroby było zaplanowane i celowe. Co więcej, związek z epidemią miała mieć Fundacja Billa i Melindy Gatesów, która rzekomo dofinansowała badania nad koronawirusem. Instytut Pirbrigh, który faktycznie otrzymuje dotacje z tej fundacji, wystosował sprostowanie, że naukowcy, owszem, zajmują się badaniami, ale nad wirusowym zapaleniem oskrzeli. Tłumaczenia tłumaczeniami, ale pewnie spora część mieszkańców Ziemi w tę teorię wierzy.

Potem cała masa teorii spiskowych była związana ze szczepionkami na COVID-19. W ich myśl pandemię wymyślono, żeby firmy farmaceutyczne mogły zarabiać na naspieniadze. Na profilach antyszczepionkowców pojawiły się informacje, że koronawirus można wyleczyć olejkami eterycznymi, witaminą C, słońcą, a nawet rozcieńczonym wybielaczem.

I na nic zdały się tłumaczenia lekarzy, że witamina C wirusa nie pokona - niektórzy brali ją garściami.

Oczywiście, naukowcy od lat próbują zrozumieć, kto jest skłonny wierzyć w teorie spiskowe. Zresztą, polscy badacze z NASK potwierdzili to, o czym już w 2014 roku pisali Joseph E. Uscinski i Joseph M. Parent. W swojej książce „American Conspiracy Theories” wskazywali, że zwolenników teorii spiskowych można znaleźć wśród osób w każdym w wieku, o różnej płci, narodowości, zamożności, przekonaniach politycznych, stopniu wykształcenia i statusie zawodowym. Skłonne do przyjmowania teorii spiskowych są, zdaniem autorów książki, zarówno osoby o poglą-

MUSIMY MIEĆ TEŻ ŚWIADOMOŚĆ, ŻE DEZINFORMACJA CZĘSTO JEST CELOWA. KTOŚ BARDZO CHCE, ABYŚMY UWIERZYLI W MIĘDZYNARODOWY SPISEK

dach lewicowych, jak i prawicowych. Osoby o poglądach lewicowych wierzą bardziej w to, że media i partie polityczne są sterowane przez bogatych kapitalistów i korporacje, zaś konserwatyści, że wspomniane podmioty są kontrolowane przez naukowców i lewicę.

Badania z 2022 roku, o których można przeczytać na portalu ScienceDirect, wskazują, że ryzyko przyjmowania narracji spiskowych wynika z wiary w pseudonaukę i z nieco bardziej złożonych przyczyn psychologicznych, w tym z myśli paranoidalnych, z narcyzmu, ze schizotypii czy z niskich zdolności poznawczych.

Z kolei z badań opublikowanych w 2019 roku na łamach „Frontiers” dowiadujemy się, że na konspiracyjny styl myślenia są narażone osoby, które czują się wyobcowane spośród reszty społeczeństwa, są nieszczęśliwe lub niezadowolone ze swojej sytuacji życiowej oraz nie czują kontroli nad swoim życiem.

Badacze myślenia spiskowego zgodni są co do jednego: teorie spiskowe pozwalają na łatwe wyjaśnienie nieprzyjemnych zdarzeń, takich jak kryzysy, wojny, epidemie właśnie i na swój sposób zapewniają nam poczucie bezpieczeństwa.

Celowa dezinformacja

Skoro przy kryzysach zbrojnych jesteśmy, wybuch wojny w Ukrainie też był swojego rodzaju przełomem, bo część osób, która wierzyła w pandemię koronawirusa, teraz zaczęła mieć wątpliwości. Przecież nagle o COVID-19 ucichło. To jak to tak? Była pandemia i nagle jej nie ma?

Atak Rosji na Ukrainę, a tak naprawdę już wcześniej pandemia, uświadomiły nam jednak bardzo istotny szczegół: szerzenie teorii spiskowych, dezinformacja mogą być celowe. To bardzo skuteczna broń, w której lubują się choćby Rosjanie.

Już w czasie pandemii rosyjskie, prokremłowskie media prowadziły kampanię dezinformacyjną, która miała na celu ostrzeżenie kryzysu w krajach UE. Propaganda skierowana była głównie do krajów europejskich, takich jak Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania przez oddziały mediów rosyjskich nadające w tych językach. Chodziło o zasianie strachu przed epidemią, niewiary w możliwość skutecznego jej zwalczania przez służbę zdro-

wia, a w dłuższej perspektywie o wywołanie i utrzymanie niepokojów społecznych, a nawet paniki w krajach Unii. Zdaniem dyplomatycznej służby UE była to próba destabilizacji krajów unijnych od wewnątrz.

Jak pisał „Financial Times”, UE odnotowała prawie 80 przypadków dotyczących dezinformacji związanej z COVID-19. I wszystko wskazywało, że jej rozsiewaniem w mediach społecznościowych zajmowali się zawodowcy. Rosyjskie fałszywe konta indywidualnych osób oraz konta podmiotów rosyjskich, które wcześniej publikowały fałszywe informacje na temat protestów w Syrii czy protestów „żółtych kamizelek” we Francji, zmieniły się w „narzędzia do rozsyłania dezinformacji na temat koronawirusa w języku angielskim, hiszpańskim, włoskim, niemieckim i francuskim”.

Jakie główne narracje pojawiają się w rosyjskiej propagandzie? Według raportu, cytowanego przez „Financial Times”, były to pogłoski, jakoby wirus COVID-19 został wytworzony w laboratoriach przez człowieka jako rodzaj broni biologicznej. Inna narracja - skierowana do Włochów - mówiła o tym, że ani włoskie, ani międzynarodowe władze nie będą sobie w stanie poradzić z pandemią. Pojawiła się również narracja, jakoby kapitalistyczny Zachód miał próbować zarabiać na wirusie.

Także sama wojna w Ukrainie stała się paliwem dla teorii spiskowych, które są często elementem zorganizowanej dezinformacji. Jedną z najbardziej absurdalnych teorii głosi, że konflikt u naszych wschodnich sąsiadów jest mistyfikacją stworzoną przez globalne elity. Według tej narracji ofiary i rannych udają oplaceni „aktorzy kryzysowi”, nagrania zniszczeń to w rzeczywistości sceny z filmów, gier komputerowych lub stare materiały z innych konfliktów, a celem „wymagowanej wojny” ma być zastraszenie społeczeństwa i wprowadzenie nad nim totalitarnej kontroli.

Kolejna, promowana przez oficjalne rosyjskie źródła, teoria spiskowa zakłada, że USA finansują w Ukrainie tajne laboratoria pracujące nad bronią biologiczną wymierzoną w Słowian. Wirusy mają być roznoszone przez migrujące ptaki lub nietoperze.

Część „spiskowców” łączy wojnę z planami globalnych elit. Według nich wojna ma być narzędziem do wywołania kryzysu żywnościowego i energetycznego, co pozwoli na wprowadzenie wielkiego resetu gospodarki. Konflikt służy odwróceniu uwagi od rzekomych skutków szczepień przeciw COVID-19.

W Polsce i innych krajach europejskich popularne są teorie mówiące o rzekomych „przywilejach”, które czynią Ukrainców uciekających przed wojną obywatelami pierwszej kategorii kosztem lokalnych mieszkańców. W mediach społecznościowych popularna jest też teoria „ukrainizacji” Polski, sugerująca planowe przesiedlenie mające na celu zmianę struktury narodowościowej kraju.

Ale umówmy się - teorie spiskowe są świetnym narzędziem w rękach obcych wywiadów.

- W czasach kryzysu wywiad działa na zwiększonych obrotach. A w czasach tak wielkiego kryzysu i takich wydarzeń, jakich jesteśmy właśnie świadkami, działa na najwyższych obrotach. To jest czas, kiedy służby wywiadowcze, ośrodki analityczne współpracujące z wywiadami są rozgrzane do czerwoności. Można pokusić się o taką opinię, że nawet jeśli czasami nie pracują na wysokich obrotach, to po to właśnie są utrzymywane przez państwo, bo kiedyś może nadejść taka właśnie sytuacja, z jaką teraz mamy do czynienia - mówi nam Vincent V. Severi, były oficer wywiadu, pisarz.

Czytać ze zrozumieniem

Żyjemy w bardzo trudnych czasach i trochę nieprzewidywalnej rzeczywistości: pandemia, potem wojna, która wciąż trwa, zmiany geopolityczne, które dzieją się na naszych oczach. Do tego rozwój sztucznej inteligencji, bo on też ma znacznie. Każdego dnia jesteśmy bombardowani setkami informacji płynącymi do nas z internetu, telewizji, z ulicy. Ciężko się w tym wszystkim odnaleźć, poczuć bezpiecznie. A musimy mieć też świadomość, że dezinformacja często jest celowa. Ktoś bardzo chce, abyśmy uwierzyli w międzynarodowy spisek elit, w to, że pandemii nie było tak jak teraz nie ma wojny w Ukrainie.

Jak się w tym wszystkim odnaleźć? Jak nie poddawać się manipulacji? Nie być pionkiem w czyjejś wyrachowanej grze? Czytać ze zrozumieniem, korzystać ze sprawdzonych źródeł informacji, potwierdzać je, myśleć racjonalnie, analizować i łączyć fakty, nie dawać się ponieść emocjom, nawet wtedy, kiedy tragiczna śmierć młodego polityka, a przy tym dobrego człowieka, wydaje nam się okrutną i pozbawioną sensu. Taka jest.

AMERYKAŃSCY MIŁOŚNICY TEORII SPISKOWYCH UWAŻALI, ŻE EPIDEMIA KORONAWIRUSA NIEPRZYPADKOWO ZBIEGŁA SIĘ Z PROCESEM IMPEACHMENTOWYM TRUMPA

KOŃ SAM WYMIERZYŁ SPRAWIEDLIWOŚĆ. LUDZIE TYLKO PATRZYLI

Cała Polska mówi o weekendowym „incydencie”, do którego doszło na targach końskich w Pajęcznie w województwie łódzkim. Pijany mężczyzna krzywdził najpierw jednego, potem kolejnego konia i w końcu dostał od zwierzęcia potężnego kopniaka w głowę. Padł nieprzytomny. Burmistrz Pajęczna odciął się od zdarzenia i po dwóch dniach zawiadomił policję. Zaangażował się nawet wiceminister rolnictwa. Tak zwany incydent przykrył całą resztę. A na tej imprezie zwierzęta są krzywdzone od lat.

Marcin Stadnicki

Pierwszy artykuł o losie koni z targów w Pajęcznie pisałem już dekadę temu i dotąd nic się nie zmieniło. Targi i to, co się tam dzieje, nikogo jednak zbytnio nie interesowały.

Pajęczno to niewielkie powiatowe miasto na południowych rubieżach województwa łódzkiego, liczące niespełna 7 tysięcy mieszkańców.

Co innego targi końskie w Pajęcznie. To wielka impreza, która ma promować miasto i na którą zjeżdżają tysiące ludzi. I trudno się dziwić – jest dobrze reklamowana, a kóz by nie chciał pokazać dzieciom pięknych koników?

Pajęczańskie targi są obok tych organizowanych w Skaryszewie pod Radomiem jednymi z największych w Polsce. To miejsce, gdzie przyjeżdżają hodowcy z całej Polski, a także z zagranicy. Tu można handlować końmi zarówno roboczymi, jak i hodowlanymi. Część zwierząt, jak alarmują od lat organizacje prozwierzęce, trafia także do rzeźni.

Burmistrz stawia na konie

Pajęczno to miasteczko, które z targów słynie. To część pajęczańskiej tradycji, a w ostatnich latach spiritus movens targów był burmistrz Pajęczna Dariusz Tokarski, który sam także jest hodowcą. Jeszcze do niedawna imprezę organizował Urząd Miejski w Pajęcznie. Sytuacja zmieniła się w 2019 roku, po tym, jak wybory burmistrza wygrał Piotr Mielczarek. Ówczesny wódtarz przyznawał, że „konie to nie jego bajka”, ale jednocześnie podkreślał, że nie jest przeciwnikiem samej imprezy. Od tego czasu organizacją targów zajmowała się prywatna firma, a Dariusz Tokarski wspierał organizację wydarzenia.



FOT. FUNDACJA TARA



FOT. KADR Z NAGRANIA INERNETOWEGO/PIOTR BORS



FOT. FUNDACJA TARA

Końskie targi w Pajęcznie. Na zdjęciu z prawej strony u góry na ziemi leży kuc przywiązany do ciężarówki. W tej sprawie interwencję podjął Piotr Bors, wiceprzewodniczący Sejmiku Województwa Łódzkiego

Handel końmi i dodatkowe towarzyszące targom atrakcje to jednak tylko jedna strona medalu. Organizacje prozwierzęce od lat interweniuje w Pajęcznie, ujawniając przykłady krzywdzenia zwierząt, a nawet domagając się zakazu handlu końmi na targowiskach. Na takich imprezach, niestety, części zwierząt dzieje się krzywda.

Są bite, nawet okładane batem, czasem ktoś zapomni dać im pić. Są przywiązane do metalowych konstrukcji tak, że mają ograniczone ruchy. A czasem zdarzy się i ktoś, kto takiego konia kopnie, uderzy czy szarpnie za ogon.

Przykład mieliśmy w miniony weekend i dzięki temu, że wybryki pijanego dorozkarcza zostały zarejestrowane na filmie, o Pajęcznie zrobiło się głośno w całej Polsce.

O ciemnej stronie targów pierwszy raz pisałem już 10 lat temu i dotąd nic albo niewiele się zmieniło. Trzeba było nagrania, na którym pijanemu mężczyźnie koń sam wymierza sprawiedliwość, żeby znów głośno wybrzmiał temat traktowania zwierząt na takich imprezach.

Najniższy wymiar kary od napastowanego zwierzęcia

Co się właściwie stało w sobotę 9 maja, podczas targów końskich w Pajęcznie? Uczestnik imprezy zarejestrował sytuację, do jakiej nigdy nie powinno tam dojść. Pijany mężczyzna szarpał konia za ogon, bił zwierzę i owijał się jego ogonem. Koń okazał się mądrzejszy i bardziej opanowany od człowieka. Cierpliwie znosił ataki pijanego, więc ten znalazł sobie kolejną ofiarę – kolejnego konia. Podszedł do zwierzęcia, kopnął je, a potem szarpał za ogon. Drugi koń zareagował już inaczej i zakończył udział pijanego agresora w imprezie kopniakiem go w głowę, a ten bez przytomności padł na ziemię.

Poczytajcie komentarze w internecie - nikt mu nie współczuje, choć był krok od śmierci. Przeżył, opuścił szpital, do którego trafił po zdarzeniu. Sprawę nagłośnił radny Rady Gminy w pobliskich Siemkowicach Piotr Dura, publikując nagranie w mediach społecznościowych.

Wszyscy mądrzy po fakcie

I tak oto o targach zrobiło się głośno. Głos zabrał burmistrz Dariusz Tokarski.

- Zarówno my, jako samorząd, jak i organizator, jak i wszyscy normalni hodowcy odcinamy się od bestialskiego, nieodpowiedzialnego, głupiego zachowania, które miało wczoraj miejsce. Ale ten incydent nie może świadczyć o wszystkich - mówił dzień po zdarzeniu Tokarski i zapowiedział, że podejmie stosowne kroki.

Od kąd pamiętam, burmistrz Tokarski wszelkie kontrowersje wokół targów próbuje obró-

cić w „incydenty”. Przecież nad wszystkimi nie da się zapanować, zawsze trafią się czarne owce. I w zasadzie niby to logiczne, tyle że tych „incydentów” jest wiele.

Targi końskie to nie jest do końca radosna impreza, gdzie ludzie oglądają koniki. Tam są zwierzęta, które trafiają do rzeźni. Tam ludzie batożą konie, a te starsze czy schorowane wprost nazywają „trupami”. To nie są miłośnicy koni (i mam tu na myśli tych, którzy zwierzęta krzywdzą, nie ogół). Skąd to wiem? Sam uważam się za miłośnika zwierząt, ale głównie psów. I gdybym miał starego, schorowanego psa, to bym go leczył, zapewniał mu jak najlepsze warunki, a nie brał na targi, pakował do kontenerów i wysyłał do przerobienia na kielbaski, bo - jak usłyszałem przed laty - „a co innego zrobić z takim trupem?”.

Sam byłem świadkiem niewłaściwego traktowania zwierząt na końskich targach i dlatego omijam tę imprezę szero-

kim łukiem. Nie chcę tego oglądać, wystarczy, że robią to fundacje.

Po tym, jak nagranie z pijanym mężczyzną, który jak się okazało miał w organizmie 3 promile alkoholu, obiegło cały kraj, Dariusz Tokarski pochwalił się, że zgłosił sprawę na policję. Tak też się stało i funkcjonariusze prowadzą w czynności.

Sprawy w swoje ręce wzięł też wiceminister rolnictwa Adam Nowak. Poinformował, że powiatowy lekarz weterynarii w Wieluniu Grzegorz Łuczak zgłosił zawiadomienie do prokuratury. Inna sprawa, że Nowak w lokalnych mediach chwali organizację końskich imprez w Pajęcznie. Zupełnie inaczej widzą to jednak fundacje, które monitorują to, co dzieje się na tej imprezie.

W tym roku była to fundacja TARA, której przedstawicielki były na miejscu od samego rana. Incydent z pijanym mężczyzną szarpającym i bijącym konie nie był jedynym, jaki zarejestrowały. Prezeska fundacji

Scarlett Szyłogalis opowiada między innymi o zaniedbanej oślicy, braku odpowiedniego nadzoru ze strony służb czy bicciu koni. Problemem jest też, jak podkreśla, nadużywanie alkoholu w trakcie imprezy.

Nagrał, ale nie zgłosił. Burmistrz krytykuje autora filmu

Swoje zawiadomienia złożyli równo burmistrz, jak i powiatowy lekarz weterynarii. Dyskusja w internecie jednak nie ucichła. Burmistrz Tokarski zamieścił w mediach społecznościowych treść zawiadomienia, jakie złożył w związku z zachowaniem pijanego mężczyzny widocznego na nagraniu. W komentarzach jednak krytykował autora nagrania, od którego wszystko się zaczęło. Tokarski kilkakrotnie podkreślał, że autor jedynie nagrywał. A zapomniał zgłosić sprawę odpowiednim służbom. Tyle że właśnie to nagranie spowodowało, że o sprawie naprawdę zrobiło się głośno.

Zawiadomienia, jakie złożyli burmistrz i lekarz weterynarii nie są jedynymi. Kolejne złożył wiceprzewodniczący Sejmiku Województwa Łódzkiego Piotr Bors.

- Niestety, to nie wszystkie akty zwyrodnialstwa wobec zwierząt, do jakich doszło podczas targów w Pajęcznie - mówi Piotr Bors. - Dostałem jeszcze jeden film, na którym widać przywiązanego do samochodu krótką linką kuca, którzy leży na ziemi skrajnie wycieńczony. Widać numer rejestracyjny, o sprawie została poinformowana policja, niestety właściciel samochodu powiedział policjantom, że to nie jego kuc i na tym mundurowi zakończyli śledztwo. Tymczasem, jak ustaliłem, kuc był wcześniej bity, skatowany upadł na ziemię i tam leżał dogorywając - relacjonuje.

Wiceprzewodniczący sejmiku i znany obrońca zwierząt podkreśla, że ma zastrzeżenia zarówno do organizatorów targów, jak i do powiatowego le-

karza weterynarii, który powinien zarówno nadzorować imprezę, jak i dbać o dobrostan zwierząt.

- Tymczasem konie nie miały dostępu do wody, były maltretowane, nikt nie reagował. Gdyby nie filmy nagrane przez uczestników targów i umieszczone w internecie, sprawa prawdopodobnie nie ujrzałaby światła dziennego. Dlatego skierowałem zawiadomienie do Prokuratury Regionalnej w Łodzi w sprawie osób, które znęcały się nad zwierzętami, organizatorzy targów oraz właśnie powiatowego lekarza weterynarii w Pajęcznie - poinformował Piotr Bors.

Teraz wszystko w rękach organów ścigania. Pozostaje mieć nadzieję, że winni znęcania się nad zwierzętami zostaną ukarani, a na przyszłość organizatorzy targów, jeśli już muszą się one odbywać, dołożą wszelkich starań, by takich przypadków było jak najmniej.

Współpraca Jacek Zemła

CZAS ZAKOŃCZYĆ TĄ HANIEBNĄ TRADYCJĘ KOŃSKICH TARGÓW

Rozmowa ze Scarlett Szyłogalis, prezeską Fundacji Tara

Marcin Stadnicki

O targach końskich w Pajęcznie zrobiło się głośno ze względu na incydent z pijanym dorożkarzem bijącym i ciągnącym konie za ogon. Jako incydent właśnie przedstawiają tę sytuację organizatorzy targów. Pani, jako osoba, która na takich targach bywa od lat, uważa, że to rzeczywiście incydent, czy norma na takich imprezach?

To jest norma. Na każdym targu już od początku, w nocy handlarze, hodowcy, nawet odwiedzający ten targ, wszyscy piją alkohol. Niejednokrotnie na tego typu targach rejestrowałam, że wszędzie walają się puste butelki po wódce i po innych alkoholach. To jest nagminne i jest to wina organizatorów targów. Przede wszystkim policja powinna tam być i wystawiać mandaty. Przy płochliwych, dużych zwierzętach płaczą się ludzie, których po prostu aż zawiewa na lewo i prawo, ledwo chodzą, albo prowadzeni są przez dwóch kumpłi, co często pokazywałam. Pokazywałam też, jak leżą już pod koniec targu na trapie, po którym wprowadza się do jakiegoś wozu konia.

Wiceminister rolnictwa Adam Nowak w mediach lokalnych wypowiadał się na temat organizacji targów, którą ocenił pozytywnie. Jak twierdzi służby weterynaryjne i inne spisują

się coraz lepiej. Czy pani ma podobne odczucia?

Jeśli chodzi o Pajęczno, to zapraszamy pana ministra incognito i niech zobaczy. Wiem, że we wrześniu, kiedy będzie kolejny targ w Pajęcznie, organizatorzy postarają się stanąć na baczność. Co z tego, że na ostatnich targach byli lekarze z powiatowej inspekcji weterynarii, jak siedzieli sobie w kantorku, który bezpośrednio był połączony z toaletami. Siedzieli tam, aż jasno się zrobiło. Na zewnątrz wyszli o godzinie 6.30. Policjanci ponoć też byli. Ja ich nie widziałam. Mundurowi mają być widoczni, nie chować się po krzakach. Na taką imprezę przyjeżdżają nie tylko handlujący i hodowcy. Przyjeżdżają też złodzieje, którzy wiedzą, że tam są osoby z dużymi pieniędzmi potrzebnymi na przykład na zakup koni.

Odniosłem wrażenie, że afera z krakowskim dorożkarzem, który na szczęście już został pozbawiony tej funkcji, troszeczkę przykrywa to, co dzieje się rzeczywiście na targach. Czy zarejestrowała Pani na ostatniej edycji targów inne nieprawidłowości, czy przypadki znęcania się nad zwierzętami?

Znęcanie się jest cały czas. Wyjdźmy od tego, że wiele osób chodzi pijanych lub podpiitych. Teraz też chodziło wielu mężczyzn z batami, czy kijami. I to jest norma. Często ci podpici ludzie chcą pokazać



Scarlett Szyłogalis od lat monitoruje targi końskie w różnych regionach Polski

jacy są tu ważni i wielcy. Konie są często związane, przywiązane jeden obok drugiego, boją się, gryzą się nawet wzajemnie, czy kopią. Dochodzi do sytuacji, że stoi ogier obok kobyły ze źrebakiem, a ona będzie młodego bronić. Są też ogierki jeden przy drugim. One nie wiedzą, co się dzieje, a tu idzie sobie facet z batem czy kijem i tak od niechcenia tego walnie w zad, a tamtego w głowę. Właściciele tych koni często nie reagują. A powinni chociaż podejść i powiedzieć: „Co robisz, dumniu, to jest zwierzę czujące, moje zwierzę”. Nie ma czegoś takiego.

Kolejna rzecz, to wymogi unijne, które nakazują dotrzymać odpowiednich warunków targowiska. Targowisko musi być oświetlone, w tym przypadku było w połowie. Kolejna sprawa - przeciągnęli jakieś ta-

śmy budowlane, cieniutkie, które nie są żadnym ogrodzeniem dla koni, żeby tylko jak najwięcej wjechało tych wozów z końmi.

Tam już teren był nieoświetlony. Po ciemku trwały wyładunki zwierząt, w nocy, na terenie ogrodzonym tasiemką, więc tu mamy nieprawidłowości. Teren tam nie wszędzie był utwardzony, cały teren nie ma ani jednej wiaty. Dla koni wiaty są wymagane, chronią przed warunkami atmosferycznymi. Lekarze weterynarii muszą być już przy pierwszym wyładunku koni, bo przy pierwszym wyładunku może zdarzyć się tragedia.

Niejednokrotnie te konie wyskakują, łamią coś, wyrrywają się, mogą pobiec w tłum, może się coś zdarzyć. Kolejna rzecz - zaświadczenie od lekarza weterynarii jest wymagane, że te konie będą przemieszczane i że są

wolne od chorób zakaźnych. Tego nie było.

Czy Pajęczno jest jakimś wyjątkiem w skali kraju, czy po prostu tak jest na tego typu targach?

Jest XXI wiek, a my, Polacy, trzymamy się kurczowo pewnych tradycji. Tradycją na targach jest na przykład przybijanie. Jak sprzedadzą jakiegoś konia, przypluwają na rękę i przyklepują te ręce. W tym momencie wódeczka leci. I znowu przypluwanie i przybijanie. Wszyscy to widzą, to jest tradycja.

Sam burmistrz Tokarski podkreślał, że to jest tradycja. Jest hodowcą koni. Pytanie natomiast czy to, że jakieś wydarzenia były organizowane przed laty znaczy, że mają być organizowane również obecnie?

We Wrocławiu na rynku dalej stoi przęgierz. Używajmy go. Tradycja to tradycja, prawda?

Czy pani zdaniem da się w ogóle zapanować nad taką imprezą?

Da się i powiem to na przykładzie Skaryszewa, gdzie latami walczyłam, bo tam było jeszcze gorzej niż w Pajęcznie. Wyszłam właśnie od strony nakazów unijnych. Wysyłałam pisma również do ministra rolnictwa, do wszystkich. W końcu gmina musiała wyasygnować potężne pieniądze, żeby postawić wiaty, ogrodzić i oświetlić teren.

To jest impreza masowa i powinna tam być straż pożarna. W każdej chwili może coś się wydarzyć. Po to są tam służby. Nie po to, żeby się płatać. W Pajęcznie chodzili panowie na czarno odziani, którzy zakazywali nagrywania i rejestrowania tego, co się dzieje. Oni powinni mieć zgromadzonych trochę pojemników na wodę, powiedzieć „proszę napić konie”. Zadbajmy o dobrostan tych zwierząt na targowiskach. Powinien być zakaz picia alkoholu. Tam przecież są całe rodziny, z małymi dziećmi, te dzieci po ciemku chodziły same. A koń jest zwierzęciem płochliwym. Konie zaufały dumnemu człowiekowi już tyśiące lat temu. Szkoda, że nie mają w sobie trochę wilczej natury.

Państwa obecność na targach to nie tylko rejestrowanie tego, co się tam dzieje, to także ratowanie zwierząt. Poruszające były między innymi wpisy i zdjęcia o oślicy, którą przywieźliście z targów w Pajęcznie.

Ponoć jest to czteroletnia oślica, ale jest w takim stanie jak trzydziestoletni osioł. Zrobiłam zdjęcia i wysyłałam szybko do Ewy Zgrabczyńskiej, że jest takie biedne zwierzę. Ona powiedziała: „Oczywiście, kupię”. Wcale nie za małe pieniądze, bo za 2800 zł. Małeństwo, chude, ledwo żywe, do leczenia. Takich przykładów jest więcej. Czas zakończyć tę haniebną tradycję końskich targów.

NA TURNUSIE LECZĄ KRĘGOSŁUP, KOLANA, STAWY I... SAMOTNOŚĆ

W sanatorium żony pilnują mężów bardziej niż własnej diety. Czasami panowie wędrują jednak samotnie, gdy w telewizji leci turecka „Panna młoda”. Rano borowina, basen i inhalacje, a wieczorem dansing i podryw. Oto moja relacja z turnusu w Kołobrzegu

Agnieszka Domka-Rybka

Każdy turnus zaczyna się podobnie, czyli trzeba swoje odstać w długiej kolejce do recepcji, gdzie rejestrują kuracjuszy i przydzielają im pokoje. Oczywiście mój również miał taki rozruch. I w tej kolejce nawiązałam pierwsze znajomości, choć początki raczej nie zapowiadały fajerwerków. „A pani taka młoda, ciekawe, na co choruje” - zaczął mnie pan Franciszek, lat 70 plus. Od razu odpaliłam kontę: „A co, człowiek musi od razu chodzić o kulach lub jeździć na wózku inwalidzkim, żeby go lekarz skierował do sanatorium?”. I tą ripostą zainaugurowałam 21-dniowy turnus w obiekcie sanatoryjnym przy promenadzie w Kołobrzegu.

Sanatorium jest ogromne: to 12-piętrowy wieżowiec, na turnusie jest około 450 kuracjuszy. Bardzo blisko morza.

1. Pokoje.

Dostać jednoosobowy pokój graniczy z cudem, a dwuosobowe są przeważnie tylko dla małżeństw. Pozostali pensjonariusze są meldowani w trójkach. Nam (byłam z mamą) trafia się jednak pokój na ósmym piętrze z dwoma łózkami i widokiem na morze - słychać tutaj jego szum. Balsam dla uszu.

To basen do ćwiczeń, a nie z drinkami!

- Ale mają panie szczęście! Od majówki przez cały sezon to piętro będzie wyłączane dla kuracjuszy na NFZ, a te pokoje będą dostępne tylko dla gości komercyjnych - mówi kobieta, która co drugi dzień przychodziła nam posprzątać.

Pielęgniarka dzwoni do pokoju codziennie około godz. 21. Sanatoryjna akcja specjalna, czyli kontrola kuracjuszy.

2. Lekarz.

U mnie była tylko jedna wizyta, na początku.

- Jakie dolegliwości pani doskwierają? - pyta lekarz.

Przymierzam się do dłuższej gawędy, otwieram już buzię, ale lekarz mi przerywa.

- Proszę podać tylko najważniejsze.

No tak, gdyby każdy pacjent opowiadał medykowi szczegółową historię swoich chorób, to



Kołobrzeg to raj dla kuracjuszy. Nazywany jest „perłą Bałtyku”. To najbardziej popularne uzdrowisko w kraju. Znajduje się tutaj kilkanaście sanatoriów i szpitali uzdrowiskowych

by biedak musiał chyba spać w tym gabinecie. A za mną w kolejce czekało jeszcze co najmniej 20 osób.

3. Zabiegi.

54 różne przez 21 dni. Borowina, łóżko do masażu membranowego, wirówki, laser, ultradźwięki, ćwiczenia w basenie solankowym. Wszystkie na konkretnie wyznaczone godziny. Jednak niektórzy, weterani sanatoryjni, próbują po cichu wcisnąć się do kolejek, żeby jak najszybciej skończyć dzienny limit zabiegów i mieć czas tylko dla siebie. Nic z tego.

- Co turnus ten sam obrazek! Proszę państwa, przecież wszędzie wiszą informacje, że przychodzimy pięć minut przed zabiegiem. W waszych kartach są podane dokładne godziny. Nie wpuszczę nikogo przed osobami, które mają na wcześniejsze - stwierdza stanowczo rehabilitant od borowiny.

Taki zabieg trwa 20 minut. Po kilku dniach część osób zaczyna się nudzić, leżąc „pod” gorącą borowiną. Między łózkami słychać donośne dyskusje, historie życia...

- Proszę się tutaj relaksować, a na rozmowy zapraszamy do kawiarni na 12. piętrze - fizykoterapeuci muszą mieć stalo-łowe nerwy.

4. Basen solankowy.

Gimnastyka trwa 20 minut i jeśli ktoś myśli, że będzie tylko

udawał, że ćwiczy w wodzie, ten numer na pewno nie przejdzie.

- Do roboty! Przyszedł pan posiedzieć w solance, może jeszcze drinka podać!? - krzyczy ratownik.

Swoją drogą, nie potrafię zrozumieć, że po ćwiczeniach, gdy zostaje jeszcze 10-15 minut na samodzielne pływanie, prawie wszyscy wychodzą zaraz po gimnastyce. Przynajmniej mam cały basen dla siebie. Okazja kąpieli w basenie solankowym nie zdarza się zbyt często!

5. Stołówka.

Też wchodzimy na konkretne godziny i - znów! - niektórzy przychodzą wcześniej. Tylko po co? Chyba żeby sobie postać w kolejce, bo i tak otworzą drzwi o konkretnym czasie. Stoliki, choć mają nogi, przecież nie uciekną.

Jedzenie jak to w sanatorium, szalu nie ma. Dla mnie za mało warzyw. Po tygodniu człowiek ma dość pomidora krojonego codziennie na cztery ćwiartki, tyle ile osób przy stoliku. Przez bite 21 dni nawet bez cebulki! Skandal...

Oczywiście, komercja je lepiej. Stołówka podzielona jest na lepszy (goście prywatni) i gorszy sort - my z NFZ.

Jednak nie będę się czepiać, wszak podają wszystko pod nos. Siadasz, jesz, wstajesz, idziesz w długą. Nic cię więcej nie ob-

chodzi, żadna armia brudnych talerzy.

6. Windy.

To osobny rozdział. Są trzy na cały obiekt, w tym jedna towarowa, dla obsługi.

Kłótnie przy windach to codzienność. Nikt nie ma cierpliwości, aż winda pojedzie na 12. piętro i wróci. Tyle czekania! Ludzie się więc pchają, choć wyświetla się lampka pokazująca, że winda jest już przeciążona i ktoś musi wysiąść.

- Jest napisane, że 14 osób może jechać, a nas jest 12 - „rzuca się” kobiecina, która wsiadła ostatnia przed zapaleniem lampki i powinna, kulturalnie, opuścić wagon. Ale nie...

Faktycznie, jest napisane, jak mówi kuracjuszka. Jednak producent podał też wagę, ile jednorazowo kilogramów winda udźwignie. Przeliczyłam i gdyby każdy ważył 70 kg - może jechać 14 osób. Widzę jednak, że o tych 70 kg to większość osób może tylko pomarzyć...

I to wciskanie na siłę wszystkich przycisków sterujących windą, do góry czy w dół, jakby to miało wpływ, że szybciej pojedzie. A ona i tak będzie „złośliwie” zatrzymywać się na każdym z 12 pięter.

- Niby stare ludzie, a bawią się tymi guzikami jak małe dzieci - komentuje pan z obsługi, tzw. złota rączka. - Raz na tydzień muszę wymieniać przyciski, którymi



Tańce na dansingu lepsze niż rehabilitacja? Stawy i kręgosłup odpuszczają, a ciśnienie wariuje

zamyka się windę wewnątrz. Przecież ona się zamknie sama bez wciskania. Oszaleć można z tymi ludźmi. Nic do nich nie dociera!

„Polowanie na chłopa” to sanatoryjny standard? 7. Małżeństwa w sanatorium.

To temat na osobny artykuł. Żał żon, które tak pilnują swoich mężów, często bardziej niż diety. Najlepiej przywiązałyby ich do torebki. Z czasem jednak zaczynam je rozumieć. Na turnusie jest zdecydowanie więcej pań, dużo samotnych, wdów (mężczyźni szybciej umierają). Panów przyjechało mniej. I niektóre babki naprawdę „polują na chłopa”, tak że lepiej nie spuszczać mężów z oczu.

Czasami i ci mężowie spacerują samotnie nad morzem - tyle ich spokoju od czujnych małżonek. Było to zwykle po 17.00. Odkryłam, dlaczego - w tym czasie w drugim programie TVP leciała turecka telenowela „Panna młoda”. Normalny facet by tego nie wytrzymał...

Samotni panowie w sanatorium mają wzięcie, że hej. Jeden przysiadł się do mnie w holu. - Pięć lat temu zmarła mi żona, na raka. Jedyny nasz syn zginął w wypadku. Zostałem sam jak palec. Od śmierci Ani jestem już trzeci raz w sanatorium i nie mogę znaleźć nowej żony. Nic na siłę, żadna mi się nie podoba.

Moja Ania była piękną kobietą, a tu za mną latają same szkarady. Wygląda na to, że znów wyjadę z sanatorium jako samotny wdowiec.

8. Dansing.

W kawiarni na 12. piętrze można książkę napisać. Tutaj kręgosłup, stawy i kolana nagle przestają boleć, a ciśnienie jest lepsze niż rehabilitacja. Szybko tworzą się pary, i nie tylko na parkiecie. Grajek śpiewa znane przeboje, m.in. miłosne, i można się poprzytulać. Nie każda polująca ma szczęście, więc mówi: „Tydzień mija, ja niczyją”. Gołym okiem widać, że niektórzy są bardzo doświadczeni w sanatoryjnych podrywach. Widać, że „z wielu pieców jadło się chleb”.

Na pewno trzeba bardzo uważać, by nie wrócić z sanatorium ze złamanym sercem. Po moim turnusie niejedno pękło...

W zeszłym roku z lecznictwa uzdrowiskowego na terenie całego kraju skorzystało 27 322 mieszkańców Kujawsko-Pomorskiego. - Natomiast w naszych uzdrowiskach, Ciechocinku, Inowrocławiu i Więncu-Zdroju, przebywało 90 113 kuracjuszy z całej Polski - informuje Barbara Nawrocka, rzecznik prasowy Kujawsko-Pomorskiego Oddziału Wojewódzkiego NFZ.

©©

PROF. KNIEĆ: NIE CHCIAŁBYM BYĆ NA MIEJSCU ROLNIKÓW

– Nie róbcie z nas wariatów! – mówili rolnicy, gdy naukowcy dostrzegli, że i ta grupa zawodowa zmagą się z problemami psychicznymi, emocjonalnymi. O tym rozmawiamy z dr. hab. Wojciechem Knieciem, prof. UMK w Toruniu

Lucyna Talaśka-Klich

Chciałby Pan być rolnikiem? Bo wielu osobom wydaje się, że to taka spokojna, bezstresowa robota. Na łonie natury, gospodarz sam sobie szefem...
Nie wiem, czy chciałbym być rolnikiem, ale na pewno nie chciałbym być na miejscu gospodarzy. Bo rolnictwo to gigantyczne źródło stresu. Teraz gospodarze doświadczają problemów związanych z przymrozami czy suszą. Niektórzy zastanawiają się, czy np. zaorać rzepek, bo i tak z niego nie będzie godziwego plonu. A za chwilę mogą pojawić się ulewne deszcze, gradobicia. Jednak zmiany klimatu to niejedynie ich problemy – są jeszcze te związane m.in. z polityką rolną czy unijną.



FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

Rolnicy twierdzą, że najbardziej brakuje im stabilizacji. Brakuje im stabilizacji politycznej, ekonomicznej, klimatycznej i społecznej. Najrzadziej się mówi o stabilizacji społecznej, a moim zdaniem to rzecz najważniejsza. Wiąże się ona z rodziną, z przyszłością, z tym, jak mnie postrzega świat (w tym moje otoczenie), czy moja praca ma sens.

Gospodarze wielokrotnie przeżywali trudne czasy. Żeby przetrwać kryzys, potrafili zaciśnąć zęby, ale dziś mówią, że nie mają pewności, czy te lepsze czasy w ogóle nadejdą. Tym razem rzeczywiście tych dobrych perspektyw raczej nie ma. Przypomnę tzw. przełom Balcerowiczowski w Polsce. Wtedy naprawdę było bardzo źle. Bo nie było wiadomo, co będzie z Polską, z systemem wsparcia dla rolnictwa, czy wejdziemy do Unii Europejskiej. W tych trudnych czasach spryt i zaradność ratowały rolnikom skórę. Potrafili zaciśnąć zęby, by przetrwać. Natomiast dzisiaj obserwujemy kolejny przełom, który jest związany m.in. z sytuacją wokół Mercosuru (chodzi o umowę między Wspólnym Rynkiem Południa a Unią Europejską - przyp. red.), z sytuacją polityczną wokół rolnictwa. Zmienia się Wspólna Polityka Rolna i nie wiemy, co bę-

Prof. Wojciech Knieć jest socjologiem wsi, kierownikiem Katedry Ekologii Społecznej w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

dzie dalej. Rolnicy sami sobie to pytanie zadają. No i klimat zwariował.

I z tych powodów gospodarze mówią, że brakuje im poczucia sprawczości. Mogą się natyrać, mogą się starać, a i tak nie wiadomo, czy na sprzedaży produktów rolnych zarobią. A może stracą? No i czy w ogóle ktoś ich towar kupi? Słowa „globalizacja” wręcz nienawidzą.
W wielu dziedzinach gospodarci nie jesteśmy pewni koniunktury. Ona jest zmienna, rynek jest kapryśny, konsument jest kapryśny, ale tutaj mamy do czynienia jeszcze z czymś innym. Przecież warsztat pracy rolnika też jest kapryśny, bo uzależniony od pogody. I na to wszystko rzeczywiście nakłada się niepewność związana ze sprzedażą. Pojawiają się pytania: Czy zwrócą mi się chociaż koszty produkcji?, Czy będę miał na spłatę kredytu? A wielu gospodarzy „jedzie” na kredytach, pożyczkach, żeby produkować w sposób nowoczesny, zgodny z wymogami ochrony środowiska.

Kiedyś gospodarstwo przejmował najczęściej ten syn, który nie chciał się dalej kształcić. Dziś ktoś taki raczej by sobie nie poradził.

Kiedyś dochodziło do negatywnej selekcji, gospodarstwami często kierowali ci najmniej wykształceni w rodzinie. A dziś zawód rolnika jest jednym z najbardziej wymagających. Gospodarz musi być człowiekiem wszechstronnym – także m.in. mechanikiem, elektrykiem, magazynierem, marketingowcem czy meteorologiem. To też jest dodatkowym źródłem stresu, bo rolnik musi się przez całe życie kształcić i podążać za wiedzą.

Ten gigantyczny stres zapewne odbija się na stanie zdrowia rolników, na ich psychice. Czy ktoś to sprawdzi?
Jeśli chodzi o rozpoznanie dobrostanu psychicznego rolników, to Polska ma wiele do nadrobienia.

„Dobrostan” to ostatnio modne słowo. Rolnicy znają je od dawna, bo spełniając unijne wymogi, dbają o dobrostan zwierząt w gospodarstwach. I wielokrotnie narzekali, że ich dobrostanem nikt się nie przejmuje.

To się zmienia. Bardzo się cieszę, że Kasa Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego zajęła się dobrostanem rolników. Chce to zrobić profesjonalnie, pytając nas, socjologów, o zda-

nie. Chcemy, jako naukowcy, dowiedzieć się przede wszystkim, jaka jest skala zjawiska, co się dzieje z rolnikami (w sensie społecznym) i co nam grozi. Jednak gdy mówimy o zdrowiu psychicznym, to niektórzy rolnicy protestują: „Nie róbcie z nas wariatów!”. Nie mamy takiego zamiaru. Chcemy rolnikom pomóc. Niebawem będziemy prowadzić badania pilotażowe w dwóch województwach (prawdopodobnie w Małopolsce i w Kujawsko-Pomorskiem), a potem tzw. duże badania w pięciu kolejnych województwach.

Jaka może być skala problemu?
Obawiam się, że bardzo duża. W Polsce z powodu samobójstw odchodzi więcej osób niż ginie w wypadkach komunikacyjnych. Połowa z samobójstw dotyczy mieszkańców wsi.

Ilu wśród nich jest rolników?
Tego dokładnie nie wiemy, ponieważ statystyki policyjne są niedoskonałe. Oficjalnie 250-300 rolników rocznie. Jednak w statystykach policyjnych jest luka, bo w połowie przypadków zgonów samobójczych na wsi w rubryce „zawód” nie ma żadnego wpisu.

Zatem wśród rolników może to być nawet 500 zgonów samobójczych rocznie. W 90% to są mężczyźni, 10% stanowią kobiety. Co istotne, liczba samobójstw rolników jest mniej więcej stała, ale liczba gospodarzy w Polsce spada, więc relatywnie poziom obciążenia populacji rolników zgonami samobójczymi rośnie.

Dlaczego tak się dzieje?

Wzrost liczby samobójstw wiąże się z poczuciem bezradności i niepewności. Tego, co będzie dalej. W Polsce rekordową liczbę samobójstw odnotowano w latach 1991-1997. W czasie przełomu ustrojowego w Polsce to było rocznie nawet 900 samobójstw w grupie rolników. Dziś mamy do czynienia z takim postępującym, cichym przełomem, który jest związany z Mercosurem, ze Wspólną Polityką Rolną, zmianami klimatycznymi i z katastrofą demograficzną na polskiej wsi. Poza tym bardzo niepokoi fakt, że rośnie liczba prób samobójczych Polaków, w tym także rolników.

Próby samobójcze to takie wołanie o pomoc.

To prawda. I, co ciekawe, wśród starszych rolników nieudanych prób samobójczych praktycznie nie ma. W grupie gospodarzy powyżej 60. roku życia każda próba samobójcza kończy się, niestety, zgonem. Natomiast najwięcej prób samobójczych dotyczy osób w wieku do 25. roku życia. I to rzeczywiście jest wołanie o pomoc.

Oby ta pomoc nadeszła w porę. Co można zrobić?

Przekonać rolników, by korzystali z pomocy specjalistów. W naszym społeczeństwie coraz więcej mówi się o zdrowiu psychicznym, o problemach. Natomiast na wsi, a szczególnie wśród rolników, wciąż jest to temat wstydlivy. Ciągłe dominuje taki stereotyp, że chłop powinien być twardy i nie może się rozklejać.

Chłopaki nie płaczą?

Można powiedzieć: chłopcy nie płaczą! Presja jest taka, że nie mogą się załamać, muszą zaciśnąć zęby i dalej prowadzić gospodarstwo. Kulturowo przyjęta norma nie pozwala im porozmawiać o problemach psychicznych w swoim otoczeniu, nawet z własnymi dziećmi czy miejscowym lekarzem. To musi się zmienić!

Pewien rolnik przyznał, że kiedyś gospodarze częściej się spotykali, rozmawiali. Dziś pozamykali się w domach, a po pracy - szczególnie młodzi - siedzą przed komputerami, smartfonami.
Po pierwsze, na wsi ludzi jest coraz mniej. Po drugie, coraz rzadziej się odwiedzają ze względu na stan zdrowia i ob-

ciążenie pracą. Jest też pewien paradoks: mamy coraz więcej samochodów, coraz piękniejsze świetlice na wsi, a ludzie są coraz bardziej samotni. Zanikają normy współpracy, życia sąsiedzkiego. Kiedyś okazją do rozmów były np. żniwa czy wykopki. Rolnicy nawzajem sobie pomagali, ale mogli się też nagadać. Takie rozmowy były swego rodzaju terapią. Kiedyś fundamentem życia wioskowego były duże rodziny, w których życie społeczne kwitło. One rozpadły się na takie, które nazywamy rodzinami nuklearnymi - jest tylko tata, mama i dzieci. Dziadkowie często żyją osobno.

Wspomniał Pan o samotności. Dotyka ona także rolników, którzy nie mogą znaleźć „drugiej połówki”. Czy to duży problem?

Coraz większy. Statystyki pokazują, że, po pierwsze, kobiet na wsi jest mniej w stosunku do mężczyzn (na dziesięciu mężczyzn jest sześć kobiet w wieku rozrodczym). Poza tym ze wsi migrują głównie młode kobiety. Ten trend trochę się zatrzymał po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Jednak dziś młode kobiety znów szukają godnego życia przede wszystkim w miastach. Z kolei kobiety z miast rzadko decydują się na związek z rolnikami. Jednak w czasie kryzysu gospodarczego sytuacja może się zmienić: nagle wieś może znowu okazać się atrakcyjnym miejscem do życia. Tak było w Grecji, w Hiszpanii czy we Włoszech w latach 2008-2010.

Jednak dziś młodzi ludzie próbują żyć inaczej, nie chcą być „uwiązani” obowiązkami. I dlatego w wielu gospodarstwach brakuje następców.

A jeśli nie będzie następcy, to trzeba będzie pozbyć się gospodarstwa, dorobku często wielu rolniczych pokoleń. To kolejny powód do stresu. No ile rolnik może wytrzymać? „Zbroja”, którą gospodarz na siebie nakłada, dziś coraz częściej już nie wystarcza. Dlatego rolnik powinien szukać pomocy gdzie indziej, u specjalistów. Nie ma się czego wstydzić!

©E

TU SZUKAJ POMOCY

Nr tel.: 800 70 22 22
– Centrum Wsparcia dla Osób w Stanie Kryzysu Psychicznego (całodobowo); nr tel.: 22 484 88 01
– antydepresyjny telefon zaufania (od poniedziałku do piątku w godz. 15- 20.)
Dyżury psychologów – poniedziałek, wtorek, dyżury psychiatrów – czwartek, piątek; e-mail: porady@stopdepresji.pl

EDYTA KRZEŚNIAK: SPRAWA ANDRZEJA SAMSONA NICZEGO NAS NIE NAUCZYŁA

– Nie może być tak, że staje się po stronie kata, a zostawia się ofiary. Że wszyscy udają, że nic się nie stało. Że się o tym nie rozmawia – mówi dziennikarka Edyta Krześniak, autorka książki „Psycholog”, która po ponad 20 latach wróciła do sprawy Andrzeja Samsona

Anita Czupryn

Napisałaś książkę „Psycholog”, o głośnej sprawie Andrzeja Samsona. Dlaczego? Z reporterskiej potrzeby, osobistej niezgody, poczucia, że ta historia tak naprawdę nigdy nie została domknięta?

To była sprawa, która jak echo wracała do mnie przez wszystkie te lata. W różnych momentach, przy okazji innych tematów, innych rozmów. Zdarzało się, że ktoś wspominał sprawę Andrzeja Samsona i mówił: „No tak, ale przecież on leczył dzieci chore na autyzm”, „On był niewinny”, „Proces się toczył, ale nie było wyroku, bo umarł”. Takie zdania słyszałam wielokrotnie. Wracała też tamta konferencja prasowa, na której wiele osób ze środowiska psychologicznego stanęło w obronie Samsona. Dla części ludzi sam fakt, że autorytety się za nim ujęły, był dowodem, że musiał on być niewinny.

Znane osoby ze środowiska psychologicznego protestowały, że media piętnują Samsona i przesądzą o winie przed wyrokiem sądu. Dziś część uczestników tamtego apelu podkreśla, że nie bronili pedofilii, tylko zasad państwa prawa.

Tak. Tylko że przez lata funkcjonowało to także inaczej: skoro takie autorytety się za Samsonem ujęły, to znaczy, że na pewno był niewinny. Przecież nie został skazany. I to we mnie cały czas buzoowało. Nie atakowałam ludzi, którzy tak mówili. Starałam się tłumaczyć, że to nie jest takie proste, że proces był, że sprawa wyglądała inaczej, niż zapamiętano. Ale tych rozmów przez lata było naprawdę dużo. Była też druga rzecz, która nie dawała mi spokoju. Przez dwadzieścia lat w zasadzie nie powstała skuteczna ustawa regulująca zawód psychologa. A przecież po tej sprawie wszyscy mówili, że taka ustawa będzie lada dzień. Że bezpieczeństwo dzieci jest

kluczowe. Że pojawią się zabezpieczenia, lustra weneckie, procedury, że dziecko nie będzie zostawiane samo z psychologiem, a rodzic będzie mógł zobaczyć, co dzieje się podczas terapii.

Ponieważ do gabinetu Andrzeja Samsona rodzice przyjeżdżali sami z dziećmi i zostawiali je sam na sam z terapeutą.

Tak. I to był jego wymóg. Ale zobacz: dzisiaj, po ponad dwudziestu latach, jeżeli pójdziesz do psychologa czy psychoterapeuty, zamykają się drzwi i nadal dziecko zostaje w gabinecie samo, a o paragonie możesz pomarzyć. W tym sensie niewiele się zmieniło. Zaczęłam więc coraz częściej myśleć o tym, że minęło dwadzieścia lat i nic się nie zmieniło. A jednocześnie przez cały ten czas miałam kontakt z ludźmi, którzy uczestniczyli w procesie, z rodzinami ofiar. Któregoś dnia zapytałam jedną z matek, jak sobie dziś radzą. Było mi niezręcznie, ale uznałam, że muszę zapytać. I wtedy usłyszałam, że jest dużo gorzej niż przed 20 laty. Że zostało ogromne poczucie niesprawiedliwości. Że oni w zasadzie sobie z tą historią nie poradzi. Że rodzina jest w rozsypce, że są leki psychotropowe, stany depresyjne.

Mówisz o skrzywdzonych dzieciach, które dziś są już dorosłymi ludźmi?

Mówię o rodzicach. Oni sobie z tym nie poradzi, żyją w poczuciu winy „że to oni własne dziecko tam sami prowadzili”. A kiedy pytałam o dzieci, to też słyszałam, że jest bardzo źle. Że dziecko, już dorosłe, jest zamknięte, wycofane, nie chce rozmawiać. Zapytałam wtedy, czy oni rozmawiają o tym w rodzinie. I okazało się, że najpierw w tajemnicę żyły dzieci, a teraz ich rodzice. Że przez te lata np. jestem jedyną osobą, z którą w ogóle rozmawiali na ten temat. Proces się

skończył, a tajemnica została. Ukrywają, milczą i wszyscy cierpią w samotności. Próbowali sobie jakoś życie poukładać, ale rana każdego z nich jest bardzo głęboka. Nie do wyobrażenia. I wtedy uświadomiłam sobie coś bardzo ważnego. Skoro ja, osoba z zewnątrz, przez dwadzieścia lat przeżywałam tę historię, skoro ona wraca do mnie za każdym razem, kiedy słyszę o pedofilii, o krzywdzie dzieci, o niewłaściwym zachowaniu dorosłych wobec dziecka, to co muszą czuć ludzie, których ta sprawa dotyczy bezpośrednio?

Czyli impulsem do napisania książki było poczucie, że ofiary zostały same?

Z propozycją napisania książki przyszło do mnie wydawnictwo, ale miała to być książka na zupełnie inny temat. Odpowiedziałam, że jedyny temat, który mogę teraz podjąć, to właśnie ten. Temat, który miałam na półce. Który odłożyłam, bo przecież w Polsce „o zmarłych nie mówi się źle”. Ale oczy otworzyły mi te wszystkie rozmowy i sytuacje po drodze. Zrozumiałam, że nie można milczeć ze względu na kata, że nie można ofiar zostawiać samych i udawać, że nic się nie stało. Że się o tym nie rozmawia. Weszłam nawet w ciekawość na Wikipedię. Przeczytałam biogram Andrzeja Samsona i miałam wrażenie, że właściwie nic się nie wydarzyło. Że był jakiś epizod, ale on umarł niewinny, bo nie było prawomocnego wyroku. A kiedy podczas pracy nad książką rozmawiałam z mecenasem oskarżyciela posiłkowego i usłyszałam, że formalnie prawomocnego wyroku nie było, bo Samson zmarł, więc nie można powiedzieć, że był winny, to naprawdę mną wstrząsnęło. Pomyślałam: dość. Czas skończyć z obłudą i z powtarzaniem kłamstw, które przez cały proces były wrzucane

do obiegu. Po latach zobaczyłam tę sprawę jeszcze ostrzej. Byłam przy niej na bieżąco, ale wtedy nie widziałam wszystkiego tak wyraźnie jak dziś.

Jesteś chyba jedyną z dziennikarzy, która po prostu wróciła do źródeł, czyli wystąpiła o zgodę na przeczytanie akt sądowych.

Tak, chociaż byłam przy tej sprawie właściwie od początku. Rozmawiałam z Samsonem w areszcie. Rozmawiałam z rodzicami skrzywdzonych dzieci. A jednak nie potrafię dziś odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak długo zwlekałam z napisaniem do sądu wniosku o wgląd do akt.

Może wcześniej sąd i tak by tych akt nie udostępnił. Proces toczył się za zamkniętymi drzwiami.

Może. Nie wiem. Ten tydzień, w którym czytałam akta sądowe, był czasem wyjętym z mojego życia. Po jednej z wizyt w sądzie, nie wiem kiedy pokonałam ponad 20 km pieszo i znalazłam się w domu. Byłam w strasznym stanie emocjonalnym. Uderzyło mnie coś jeszcze - wspomnienia. Zaczęłam sobie przypominać zadawane przeze mnie pytania sprzed lat: „Co było na zdjęciach?”. Pomyślałam: Boże, jakie to było infantylne. Jak mogłam o to dopytywać?

Wtedy nie wiedzieliśmy, co było na tych zdjęciach. Ja też, czytając twoją książkę, miałam poczucie ciężaru. Opisy zdjęć są trudne do udźwignięcia. W ogóle ta szczegółowość materiału dowodowego, jaką zawarłaś w książce, jest wstrząsająca.

Wiesz, dlaczego ja to zrobiłam? Żeby nie zostawić żadnej przestrzeni na niedopowiedzenie. To i tak jest zminimalizowane. W książce znalazł się tylko wyćwieczony, co zobaczyłam w aktach. Dużo wycięłam, bo nie chciałam tym epatować.

Ale miałam świadomość, że czytelnik musi poczuć wagę dowodów, które były w tej sprawie. Nie mogę się pogodzić z jednym: że ten proces trwał tak długo w sytuacji, kiedy materiał dowodowy był tak mocny. Dla mnie to było czarno na białym.

Na zdjęciach krzywdzonych dzieci nie było twarzy Samsona, ale, jak piszesz o tym w książce, były elementy pozwalające zidentyfikować, że to on wykonywał te zdjęcia, uczestniczył w tych sytuacjach: jego ręka, obrączka, znamię.

Tak. Ręka, znamię. Biegli to wszystko stwierdzali. Ale wyobraź sobie, czytam akta i widzę, że mam do czynienia z hardcorową pornografią dziecięcą, a jednocześnie sąd zleca biegłym ocenę, czy można to kwalifikować jako pornografię, czy może jako coś innego. Jako co, na Boga? Jako sztukę?!

W książce pokazujesz to, jak wiele czasu zajmowały kwestie pozornie techniczne: definicje, opinie, kolejne wnioski. I to, że obrońca Samsona przesuwał ciężar rozmowy z krzywdy dzieci na spory o to, czym jest pornografia, czym jest materiał dowodowy, jak go zakwalifikować. Wygląda na to, że to była skuteczna strategia?

Tak, tylko że najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że on wcale nie wykazał się jakąś wyjątkową wirtuozerią. To nie była genialna linia obrony. On składał wnioski, podważał, pytał, domagał się kolejnych opinii. A sąd te wszystkie rzeczy sprawdzał.

Po lekturze książki miałam wrażenie, że ta sprawa ma dwie części. Pierwsza jest porażająca jasna: jest materiał dowodowy, są skrzywdzone dzieci, Samson się przyznał. A potem zaczyna się druga część: kłuczenie, rozmywanie sensu,

szukanie alternatywnych wyjaśnień. Pojawia się opowieść, że psycholog prowadził badania nad dziećmi autystycznymi, że gromadził materiały do książki. Kiedy zna się materiał z pierwszej części książki, to ta druga brzmi tak niewiarygodnie, a jednocześnie jest przerażająca.

No właśnie. Najbardziej uderzające jest to, że sąd w to wchodzi.

Dlaczego? Jak dziś na to patrzysz?

W moim odczuciu po to, żeby ta sprawa się ciągnęła. Samson wyszedł na wolność po odbyciu połowy kary. Materiał był jednoznaczny i jedyne, co można było zrobić, to przeciągać proces i tu to zostało zrobione.

Ostatecznie opuścił więzienie ze względów zdrowotnych.

Tak. Natomiast są jeszcze wątki internetowe, które właściwie w drodze procesu zniknęły. Ja myślę, że ta sprawa trwała tak długo również dlatego, że pewne rzeczy trzeba było poucinać. Są tam sytuacje, które mnie bardzo zastanawiają. Na przykład prokurator prowadzący sprawę, który został od niej odsunięty. Potem gdzieś ginie wątek maili, przesyłania zdjęć. Pojawia się tylko śladowo.

Z książki wynika, że Samson nie tylko krzywdził swoich małych pacjentów, i robił im zdjęcia, ale je też wysyłał. Pojawia się wątek obrotu tymi materiałami. Czy wiadomo, dokąd te zdjęcia trafiały? Czy wiadomo, czy i za ile były sprzedawane?

Tego wątku w aktach sądowych właściwie nie ma. Ja o nim wiedziałam już dwadzieścia lat temu, bo docierały do mnie informacje z zamkniętych drzwi procesu. Wiedziałam na przykład, ile maili miało zostać wysłanych. Nie mogłam wtedy jednak dotrzeć do biegłego informatyka.



Edyta Krześniak: W książce znalazł się tylko wycinek tego, co zobaczyłam w aktach. Dużo wycięłam, bo nie chciałam tym epatować

A chcę powiedzieć jedną rzecz: w tej sprawie przesłuchiwało najróżniejszych biegłych: seksuologów, psychologów, kolejnych specjalistów. Każdego oprócz biegłego informatyka. A to on miał największą wiedzę o tym, co znajdowało się na zabezpieczonych nośnikach. To on przez miesiące przeglądał dyski, łamał hasła, odyskiwał materiały. To on znalazł tam najcięższe treści, twardą pornografię dziecięcą, sceny gwałtu na dzieciach, o których podczas procesu właściwie się nie mówiło. Spotkanie z tym biegłym po latach było dla mnie wstrząsem. Kiedy mnie zobaczył, kiedy powiedziała, w jakiej sprawie przyszedłam, jakby piorun w niego strzelił. Mówił bardzo ostro. O tym, kim był Samson. O tym, co, jego zdaniem, zrobiono z tą sprawą. Używał najmocniejszych słów. Mówił o mafii, że sprawie ukrecono łeb. Dla mnie był bardzo wiarygodny. Po dwudziestu latach opowiadał ze szczegółami o zdjęciach, które widział.

To paradoks: o linczu, o naruszenie dobrego imienia Samsona oskarżano media. A prawdziwa przemoc wydarzyła się w jego gabinecie. Dorosły, autorytet, krzywdził bezbronnych dzieci. Twoja książka oddaje głos tym, o których wtedy właściwie nie mówiono?

Nie mówiono o nich także dlatego, że rodziny miały poza-

mykane usta. Ludzie uczestniczący w procesie opowiadają, że nie wolno im było mówić. Każda rozprawa zaczynała się od przypomnienia: sprawa toczy się za zamkniętymi drzwiami, obowiązuje państwa tajemnica, milczenie, grożą kary i konsekwencje. Tylko że to milczenie obowiązywało przede wszystkim rodzinie ofiar. Knebel był dla nich. Nie dla oskarżonego. Bo głos oskarżonego jednak wyrzmił rok po zatrzymaniu w wywiadzie w „Gazecie Wyborczej”. Dla mnie to był zaskakujący wywiad. Nie było tam refleksji. Była raczej jego linia obrony. To mnie wtedy bardzo zastanowiło.

Rodzice zaufali autorytetowi, zostali oszukani, zmanipulowani, złamani. Ale jednocześnie, jak pokazujesz w książce, po latach część z nich mówi: „Nie rozdrapujmy ran”. Jak to rozumiesz?

Najpierw tajemnicę miały dzieci. Zanim sprawa ujrzała światło dzienne, zanim dzieci zaczęły być przesłuchiwane, zanim w ogóle mogły opowiedzieć o tym, co się wydarzyło, to one nosiły tę tajemnicę same. A potem przejęli ją dorośli. Rodzice. Oni bardzo często strzegli tego, co spotkało ich dziecko, także przed własną rodziną. Były matki, które nigdy nie zgodziły się na przesłuchanie dziecka. Bały się konfrontacji. Uważały, że tak będzie lepiej. Są matki, z którymi mam

kontakt, które do dziś mówią: „Mojemu dziecku w zasadzie nic nie zrobił”. A ja widziałam zdjęcia i wiem, że było inaczej. Mam też świadomość, że rodzice nie widzieli wszystkiego. Czasem po to, żeby ich oszczędzić. Łatwiej jest żyć, kiedy człowiek może sobie powiedzieć: „Właściwie nic się nie stało”. Pamiętam rozmowę z jedną z matek. Na początku była na mnie wściekła. Pytała, jakim prawem wracam do tej sprawy, jak śmiem. A potem zeszło z niej powietrze. Obie płakałyśmy przez telefon. Rozmawialiśmy jeszcze kilka razy. W końcu mi podziękowała. Ale prosiła też, żeby nie rozdrapywać ran. W tym sensie, żeby nie ruszać dzieci. Bo one jakoś się już z tą historią ułożyły. Nie powiem, że są zdrowe. Nie powiem, że się z tym pogodziły. Bo znam historie, które pokazują coś innego. Znam przypadki osoby, przy której rodzina przez te wszystkie lata musiała czuć, że boją się spać z nożem pod poduszką. Bliscy wyciągali te noże, wyobrażasz sobie ten ich nieustanny lęk, bo trauma wracała. Są sytuacje, kiedy co jakiś czas trzeba było kogoś umieszczać w szpitalu psychiatrycznym, bo przychodziły ataki, załamania, napady. To są rzeczy, których ta książka nie zmieni i to są efekty terapii znanego psychologa Andrzeja Samsona.

Co dla ciebie po tych wszystkich latach jest w sprawie

Samsona najbardziej wstrząsające?

Najbardziej wstrząsająca jest dla mnie cała otoczka tej sprawy. To, że do tego doszło, jest osobną historią, okrutną, straszną. Ale równie przerażające jest to, co wydarzyło się później. Że rodziny przez kolejne lata, zamiast móc domknąć ten koszmar, byli utrzymywani w stanie ciągłego napięcia, podejrzeń, upokorzenia. Matkom potrafiło zarzucać, że są pazerne, że chodzi im o pieniądze, o majątek Samsona, a nie o krzywdę dziecka. Dla mnie jedną z najgorszych rzeczy jest właśnie to, że tej sprawy przez tak długi czas nie zamknięto. Samson umarł. Ale to był moment, w którym, moim zdaniem, należało powiedzieć publicznie, jasno, nie za zamkniętymi drzwiami, że ta sprawa się kończy w taki sposób, że ten człowiek miał na koncie takie i takie czyny. Uważam też, że w imię elementarnej sprawiedliwości społecznej powinien on zostać wpisany do rejestru sprawców przestępstw seksualnych wobec dzieci.

Dla mnie ta sprawa pokazuje też, jak niebezpieczna może być legenda autorytetu. Ktoś występuje w telewizji, jest rozpoznawalny, mówi jako ekspert, więc zaczynamy wierzyć, że naprawdę nim jest. Tymczasem piszesz, że Samson potrafił pojawiać się

w mediach pod wpływem alkoholu, często bredził.

Przebrnęłam przez archiwa, oglądałam jego wystąpienia. I kiedy zobaczyłam, co on opowiadała o autyzmie, byłam zdumiona. Pamiętam materiał w TVP, w którym mówił o autyzmie w sposób prześmiewczy, z takim tonem: „Ojej, dzieci są krzywdzone, o matko świnta”. Dziennikarz próbował go ripostować, a on próbował się wyłgać, brnąć coraz dalej, to był ten autorytet, człowiek będący pod wpływem alkoholu, mówiący w telewizji o autyzmie. A potem jego koledzy czynili z niego guru od autyzmu, specjalistę, który miał rzekomo sukcesy terapeutyczne. To mi się nie klei. Jeśli ktoś rzeczywiście jest wybitnym specjalistą od autyzmu, to publikuje, występuje na konferencjach, prowadzi badania, zostawia po sobie jakiś dorobek. A tutaj mamy człowieka, który w telewizji opowiadał o wszystkim. Był takim specjalistą od wszystkiego. I nagle środowisko robi z niego wielkiego eksperta. Stawiam też taką tezę: Samson być może nie broniłby się w ten sposób, gdyby nie atmosfera, która powstała wokół niego. Było mu potem głupio stanąć w opozycji do kolegów, którzy go bronili. Skoro oni tworzyli narrację o wybitnym specjalistcie, to on w nią wszedł.

Czy po ponad dwudziestu latach można w ogóle mówić o jakimkolwiek zadośćuczynieniu ofiarom? Czy twoja książka zamyka sprawę Samsona?

Nie. Moja książka nie zamyka sprawy Samsona. Tej sprawy nie da się zamknąć. Największą cenę zapłaciły rodziny. I właściwie tylko one. To one przyplącały tę historię rozpędami związków, lekami psychotropowymi, szpitalami psychiatrycznymi, latami milczenia. O tym się nie mówi.

Jaka jest najważniejsza lekcja z tej sprawy? Czego nauczyli się dziennikarze, rodzice, psychologowie, państwo? Czy w ogóle wyciągnęliśmy wnioski?

Chciałabym powiedzieć coś optymistycznego, ale nie mogę. Nie nauczyliśmy się niczego. Owszem, świadomość przemocy seksualnej wobec dzieci jest dziś większa. Ale zobacz, proszę, co się dzieje dzisiaj. W sieci słowo „pedofilia” stało się słowem zakazanym. Je się wypikowuje, omija. Zastępuje skrótami. Czy jeśli wypikamy słowo „pedofilia”, to znaczy, że pedofilia nie ma? Nie mogę się z tym pogodzić. Niedawno zostałam zaproszona do podcastu i poproszono mnie, żebym nie używała słów „pedofil”, „pedofilia”, bo będą cięte zasięgi. To naprawdę burzy we mnie krew. Tuż po sprawie Samsona była akcja „Zły

dotyk”, była edukacja, były wypowiedzi ustawy. Minęło ponad dwadzieścia lat. Na szczęście sprawa ustawy wreszcie drgnęła, ale nie ma dziś takiej kampanii, jaka powinna być. Za to w internecie pikamy słowo „pedofil”. Dlaczego? Chciałabym, żeby ktoś mi odpowiedział na to pytanie, dlaczego to słowo jest pikane? Dlaczego cięte są zasięgi? Nasze pokolenie wie, kim był Andrzej Samson. Ale spytaj o niego młodych ludzi. Nie będą wiedzieli. Jeśli wejdą do internetu, to nawet tam nie znajdą słowa „pedofil”, bo zastępuje się je jakimiś skrótami, na przykład „PDF”. Zastanawiam się, co właściwie robimy? O co chodzi w tym świecie?

Kto w tej sprawie najbardziej zawiódł twoim zdaniem: człowiek, który krzywdził dzieci, czy system zbudowany na ślepych zaufaniu do pseudoautorytetów?

I człowiek, i system. Bo jeśli wszyscy dookoła wiedzieli, że Samson pije, i nikt nic z tym nie robił, to znaczy, że problem był systemowy. Jeśli istnieje Polskie Towarzystwo Psychologiczne, które może zainteresować tylko wobec osoby, która należy do towarzystwa, a wobec kogoś spoza niego nie ma żadnych skutecznych narzędzi, to co to pokazuje? Że to jest atrapa kontroli, atrapa odpowiedzialności. Chwilami mam poczucie, że to jest atrapa państwa i atrapa relacji społecznych. Nie możemy udawać, że nie ma pedofili, bo przestaniemy używać słowa „pedofilia”. To tak nie działa. Niedawno mieliśmy sprawę polskiego psychiatry. Wybuchała, po czym bardzo szybko przygasała. Usunięto go ze stanowiska i zaczęto udawać, że nic się nie wydarzyło. Poczekamy, aż przyschnie, pan wróci na swoje miejsce i będzie się o sprawie. Tak nie powinno być.

Były momenty, kiedy chciałaś przerwać pisanie tej książki, bo czułaś, że nie dajesz rady?

Takich momentów było kilka. Ale mam w sobie coś, nie wiem nawet, jak to nazwać, że kiedy chodzi o krzywdę dzieci, nikt nie jest w stanie mnie zatrzymać.

KSIAŻKA



Edyta Krześniak, „Psycholog”, Wydawnictwo Otwarte, 2026

Realizowane z rozmachem w Łodzi zdjęcia do hollywoodzkiej superprodukcji z gatunku fantasy „Nieśmiertelny” doskonale wpisują się w filmową tradycję miasta. I przypominają, że przy Piotrkowskiej gościły już międzynarodowe ekipy odpowiedzialne za cenione tytuły

Dariusz Pawłowski

LYNCH, WILLIAMS, MADSEN, CAVILL: ŁÓDŹ „NIEŚMIERTELNIE” FILMOWA

Filmowy świat rodem z amerykańskiej Fabryki Snów zaczął się w Łodzi od Davida Lyncha. Bo przecież trudno jeszcze za zainteresowanie Hollywoodu naszym miastem uznać wizytę aktora Kirka Douglasa w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej w Łodzi w roku 1966. Różnych spotkań, odwiedzin i planów związanych z amerykańską kinematografią było w HollyŁodzi wiele, ale to praca Davida Lyncha miała już wymiar prawdziwej, międzynarodowej produkcji.

Davida Lyncha, amerykańskiego reżysera, aktora, producenta i scenarzystę filmowego, muzyka, malarza sprowadził do Łodzi Marek Żydowicz na odbywający się wówczas w naszym mieście Międzynarodowy Festiwal Sztuki Autorów Zdjęć Filmowych Camerimage. Twórca po raz pierwszy do Łodzi przyjechał w roku 2000. Czegoż to on potem miał tutaj nie dokonać! Aż w 2003 roku nakręcił w Łodzi materiał do swojego projektu „The Green Room in Lodz”, który trzy lata później rozwinął się w pełnometrażowy, eksperymentalny, szalony film zatytułowany „Inland Empire” - surrealistyczną opowieść o aktorce, która przejęła osobowość swojej postaci kreowanej w filmie. Zdjęcia realizowano na ulicach Piotrkowskiej, Moniuszki, Targowej, Przędzalnianej, w ówczesnym Grand Hotelu (m.in. w pokoju 47, czyli Apartamencie Rubinsteina), przy pałacu Karola Scheiblera (w którym mieści się Muzeum Kinematografii), w świeżo wtedy otwartej Manufakturze, Pałacu Herbsta. Artysta fotografował także modelki w imperium Karola Scheiblera, w PRL przemianowanym na Łódzkie Zakłady Przemysłu Bawełnianego Uniontex, gdzie obecnie mieści się Fuzja, na ekranie można też zobaczyć charakterystyczne klatki schodowe starych łódzkich kamienic.

Na planie filmowej produkcji pojawiły się hollywoodzkie gwiazdy, jak Laura Dern, Jeremy Irons, Naomi Watts, Mary Steenburgen, Justin Theroux, Harry Dean Stanton, Julia Ormond, Nastassja Kinski, Wil-



„Pierwsze spojrzenie na Highlandera! To dla mnie niezła podróż, o której opowiem wam, kiedy nadejdzie odpowiedni czas, ale to wyjątkowy moment móc się tym podzielić. Mam nadzieję, że wam się spodoba” – napisał Henry Cavill, umieszczając w sieci ten kadr

liam H. Macy, a pośród polskiej obsady znaleźli się Karolina Gruszka, Peter J. Lucas, Krzysztof Majchrzak, Jan Hencz, Józef Zbiróg, Leon Niemczyk. Film powstawał także w Warszawie oraz w Los Angeles i Malibu.

- Dla mnie osobiście często inspiracją bywają sny - mówił wówczas do dziennikarzy na konferencji prasowej David Lynch. - Siłą kina jest fakt, że można za śladów i tropów zobaczyć świat będący zarówno odbiciem rzeczywistości, a jedno-

cznie używając skojarzeń i siły wyobraźni kreować świat całkiem odrealniony.

Senno-magiczny klimat Łodzi świetnie odnalazł się w obrazie stworzonym przez autora „Miasteczka Twin Peaks”. David Lynch napisał w tamtym czasie nawet wiersz o Łodzi, rozpoczynający się od słów: „Zapada noc w wielkim tajemniczym mieście Łodzi, W ciemności, na niebie gwiazdy z wolna tańczą z półksiężycem, a na ulicy, w głębi cienia oczekuje kobieta...”.

Robin Williams mieszkał w łódzkim Grand Hotelu, przez dwa tygodnie przyjeżdżał na plan filmowy w Piotrkowie czarnym mercedesem, ubrany w szarą bluzę i czarną koszulę. Na konferencji prasowej z dużą wprawą chwycił w rękawicę piłkę do gry w baseball rzuconą przez dziennikarza. Do zdjęć przygotowywał się w dużej przyczepie campingowej i w miasteczku namiotowym, gdzie były garderoba i bufet. Chętnie spacerował po mieście, był zachwycony piotrkwowską starówką, jak i Piotrkowską w Łodzi.

Znaczącym hollywoodzkim nazwiskiem związanym z filmem realizowanym w Łodzi był - zmarły, niestety, przed rokiem - aktor Michael Madsen. Wcielił się on w jedną z ról surrealistycznego połączenia horroru i thrillera - produkcji „Dom” („House”). Film reżyserował Robby Henson, zdjęcia powstawały w roku 2006. Na planie pojawili się również m.in. Leslie Easterbrook (pamiętna sierżant Callahan z „Akademii Policynnej”), Reynaldo Rosales, Weronika Rosati i Paweł Deląg. Łódź udawała Stany Zjednoczone - akcja filmu toczy się „gdzieś w Alabamie”. Bohaterowie prześladowani przez maniaka-mordercę zostają zwiabieni do domu na odludziu. Muszą zrobić wszystko, by ująć z życia... Zdjęcia do „The House” realizowane były między innymi w Rudzie Pabianickiej, pofabrycznych przestrzeniach dawnego Unionteksu, a także Muzeum Książki Artystycznej. Tytułowy dom - wybrany przez autora książki, na podstawie której powstał film, Teda Dekkera, podczas pobytu w Łodzi - znajdował się przy ulicy Scalemowej 18 na Rudzie Pabianickiej. Później został on rozebrany, a następnie odbudowany w Skansenie Łódzkiej Architektury Drewnianej przy Centralnym Muzeum Włókiennictwa.

- Polska bardzo mi się podoba, macie dużo pięknych kobiet - mówił wtedy w Łodzi Michael Madsen, podczas konferencji prasowej. Zapowiadał za razem, że chętnie powróci do Łodzi ze swoimi synami, kolejne realizacje w Łodzi zapo-

wiadał również Joe Goodman, amerykański producent „Domu”. - Wspaniale się tu pracuje, dlatego po powrocie do Stanów będę wszystkim kolegom po fachu polecać kręcenie filmów w Polsce. Kto wie, może zrobimy tu kolejną część „Akademii Policynnej”? - dodawała Leslie Easterbrook.

„House” był drugą produkcją Robby’ego Hensona, która powstała w Łodzi. Wcześniej, w 2005 roku, na potrzeby thrilleru „Thr3e” twórca wysadził autobus na placu Reymonta. Wiele zdjęć do filmu powstało w pofabrycznych halach. W obsadzie produkcji znajdowali się Marc Blucas, Justine Waddell, Laura Jordan oraz amerykański aktor irlandzkiego pochodzenia Max Ryan. Gwiazdor kina akcji tak się wówczas Łodzią zachwyił, że dwa lata później kupił zabytkową willę Rudolfa Kellera przy ul. Gdańskiej 49 - rezydencję w stylu neorenesansowym zbudowaną w roku 1890, którą zamierzał odnowić i utworzyć w niej pensjonat. Plany pokrzyżował pożar budynku, który wybuchł w roku 2010. Okazało się, że podpalacz wylał olej i drzewi wejściowe, następnie dostał się na najwyższe piętro, gdzie podłożył ogień. Spłonęła drewniana narożna wieżyczka. Po pożarze willa została zabezpieczona i objęta ochroną. Dwa lata później, Max Ryan, ciągle zmartwiony pożarem, postanowił willę sprzedać (choć z niektórych informacji wynikało, że w księdze wieczystej miało znajdować się inne nazwisko). Trwało to i trwało, aż pałacyk zaczął popadać w ruinę...

Dobre opinie o Łodzi musiały jednak krążyć po świecie, bo w naszym mieście zaczęły pojawiać się kolejne filmowcy. Ciekawym przedsięwzięciem był film „Past Life”, izraelskiego reżysera Avi Neshera, realizowany w roku 2015. Akcja rozgrywa się w 1977 roku i opowiada historię dwóch sióstr (w tych rolach Nelly Tagar i Joy River) szukających prawdy o tym, jakich ojciec przeżył II wojnę światową. Na ekranie możemy zobaczyć takie charakterystyczne miejsca Łodzi, jak Teatr Wielki, Akademia Muzyczna, Pałac Izraela Poznań-

FOT. HENRY CAVILL/FACEBOOK



FOT. GRZEGORZ GALASINSKI

David Lynch, amerykański reżyser i aktor, podczas wizyty w Łodzi

skiego, Hotel Grand, Hotel Savoy, Park Poniatowskiego i ulica Włókiennicza.

W 2015 roku w Łodzi realizowane były zdjęcia do amerykańskiej produkcji „Znajdę cię”, w reżyserii Marthy Coolidge. Akcja tej opowieści o miłości między śpiewakiem operowym, katolikiem Robertem (w tej roli Leo Suter) a żydowską skrzypaczką (Adelaide Clemens) rozgrywa się w okresie II wojny światowej. W obsadzie znaleźli się też: Stellan Skarsgård, Connie Nielsen, Stephen Dorff oraz Małgorzata Kożuchowska, Mirosław Zbrojewicz, Weronika Rosati i Jacek Braciak. Ekipę filmową można było spotkać na Księżym Młynie oraz w lokacjach przy ulicach Piotrkowskiej, 1 Maja, Młynarskiej, Wojska Polskiego, a także w okolicach Manufaktury, w Pałacu Poznańskiego i parku Reymonta.

Łódź wybrała również amerykańska reżyserka Claire Carré realizując w 2015 roku film science fiction „Embers”. Łódź wystąpiła w roli bezimiennego miasta w postapokaliptycznej przyszłości. „Zależało mi na tym, aby kręcić w prawdziwych lokacjach. Rozkład, jaki natura wprowadza do opuszczonych przestrzeni, niesie ze sobą ciężar realnego czasu. To rodzaj autentyczności, którego nie da się odtworzyć. Wchodząc do tych przestrzeni, wznosisz kurz na podłozie, której żaden człowiek nie dotknął od lat” – pisała o wyborze Łodzi Claire Carré.

Z nowszych przedsięwzięć warto wymienić niemiecki komediodramat „Treasure”, w reżyserii Julii von Heinz, z 2024 roku. W rolach głównych wystąpili: Lena Dunham, Stephen Fry i Zbigniew Zamachowski. Akcja filmu rozgrywała się w roku 1990, tuż po upadku muru berlińskiego. Ceniony brytyjski aktor Stephen Fry zagrał pochodzącego z Łodzi Edka, którego córka zabiera na podróż do dawnej ojczyzny, pragnąc poznać swoje żydowskie korzenie.

Także niemieckim jest film „Dziewczyna z Kolonii” (reż. Ido Fluk) z 2025 roku. Obraz przedstawia kulisy koncertu Keitha Jarretta w Kolonii. W Łodzi nakręcono kilka kluczowych scen w budynku Teatru Wielkiego i jego okolicach.

Dużo emocji wśród widzów (niektórzy, obrzydzeni tym, co dzieło się na ekranie, opuścili seanse) wzbudzał horror z roku 2025 „Brzydka siostra” w reżyserii Emilie Blichfeldt. To brutalna i przewrotna adaptacja klasycznego „Kopciuszka”. Elwira, żyjąca w cieniu swojej bajecznie pięknej przyrodniej siostry, postanawia za wszelką cenę poślubić księcia. Lecz największą przeszkodą, aby podbić serce wymarzonego mężczyzny i rozpocząć nowe lepsze życie, jest Kopciuszek. „Brzydka siostra” kręcona była przede wszystkim w Muzeum Kineematografii w Łodzi.

W 2024 roku Oscara w kategorii najlepszy film międzynarodowy zdobył głośny obraz „Strefa interesów” Jonathana Glazera, w którym główne role zagraли Christian Friedel i Sandra Hüller. Historia komendanta obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau Rudolfa Hössa i jego żony Hedwigi, którzy próbowali ułożyć sobie rodzinne życie w domu z ogrodem tuż obok obozu, została niemal w całości nakręcona w Oświęcimiu. Jednak ekipa odwiedziła również Łódź. Kilka scen nakręcono w budynku Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego, wykorzystano zaabitytkowe korytarze, które na ekranie należą do siedziby niemieckich oficerów. W jednej z klas zaś zbudowano filmowy gabinet Rudolfa Hössa.

Inny nominowany do Oscara film, jako reprezentant Danii – „Dziewczyna z igłą” z 2024 roku był niemalże w całości kręcony w Łodzi. Polskie miasto „wcieliło” się w rolę Kopenhagi z lat 20. ubiegłego wieku. Większość najważniejszych scen krę-

cono na Księżym Młynie i w okolicach Pałacu Herbsta. Tam powstały filmowe wersje fabryk i magazynów. Zdjęcia plenerowe realizowano na Retkini, a wiele sekwencji we wnętrzach kręcono w halach Szkoły Filmowej w Łodzi. Uczelnią, której absolwentem i obecnie wykładawcą jest reżyser filmu Magnus von Horn.

Stolica Danii to zresztą jedno z wielu miast, które Łódź „zagrała” na filmowym ekranie. Stan naszego miasta jest taki, że najczęściej przyszło mu „grać” wojenną czy powojenną Warszawę, ale dobrze Łódź wypadła również jako stolica przedwojenna (np. w serialu „Bodo”) czy Berlin – „W ciemności” Agnieszki Holland, oscarowa „Ida” Pawła Pawlikowskiego. Łódź była Paryżem też w innej międzynarodowej, nominowanej do Oscara produkcji Pawła Pawlikowskiego „Zimna wojna”. Ulica Traugutta była ulicą w Paryżu, w Grand Hotelu nakręcono ujęcia z klubu l’Eclipse i Cafe Select, zdjęcia powstawały także w willi Leona Alarta przy ul. Wróblewskiego 38. W paryskie plenery na potrzeby produkcji „Chopin, Chopin” zamienił się natomiast ogród Pałacu Rodziny Poznańskich.

Teraz zainstalował się w Łodzi plan hollywoodzkiej superprodukcji z najwyższej finansowej półki, z gwiazdami amerykańskiego kina. W przestrzeniach dworca Łódź Fabryczna i w Bazylice Archikatedralnej powstają zdjęcia do nowej odsłony „Nieśmiertelnego” – legendarnego tytułu świata fantasy. W roli głównej – SupermanoWiedźmin Henry Cavill, który przyjechał do Łodzi i biegał po peronach dworca (zamienionego na potrzeby filmu w London Central Station) z mieczem. W obsadzie są też Russell Crowe (ma przyjechać do Polski), Dave Bautista, Djimon Hounsou, Jeremy Irons. To już Łódź filmowa pełną, multicolorową „gębą”. Gramy dalej!



FOT. JANUSZ KUBIK/POLSKA PRESS

Robin Williams na planie filmu „Jakub kłamca” w Piotrkowie Trybunalskim



FOT. ARCHIWUM NASZE MIASTO

W Łodzi w horrorze „Dom” występował amerykański gwiazdor Michael Madsen



FOT. ARCHIWUM POLSKA PRESS

Plan amerykańskiej produkcji „Znajdę cię” na jednej z łódzkich ulic w centrum miasta

Mamy nowy album Voo Voo – „Dźwięczność”. Która to płyta w dorobku pana zespołu?

Nie mam zielonego pojęcia. Ale któryś z naszych fanów skrupulatnie obliczył, że nazwa Voo Voo pojawiła się na 51 płytach. Poza albumami z premierowym materiałem wchodzi w ten skład również koncertówki i kompilacje typu „Greatest Hits”. Jest więc tych wydawnictw naprawdę dużo. Nie wiadomo, od której strony zaczynać.

Najczęściej z biegiem lat zespoły coraz rzadziej wydają płyty. Voo Voo jest wyjątkiem.

Chyba każdy zespół rockowy utrzymuje napięcie u publiczności przez jakieś pierwsze dwadzieścia lat swej działalności. A potem wszyscy chcą, żeby grał to, co przyniosło mu największą popularność. Niektórzy nie robią więc potem już nic nowego. Są jednak tacy, którzy ciągle tworzą po to, by sobie urozmaicić repertuar.

A skąd ta wasza kreatywność?

Dwa lata temu miałem zamiar nie nagrywać już nowych płyt z Voo Voo. Mając taki dorobek, jaki mamy, moglibyśmy dawać koncerty przez kolejne dwadzieścia lat, nie wydając niczego premierowego. Ale w czerwcu ubiegłego roku zmarła nagle moja żona. Napisałem na jej pożegnanie piosenkę „Dźwięczność”, którą jeszcze zdążyła usłyszeć przed śmiercią. Nazbierało się wtedy we mnie tyle emocji i przemyśleń, że pomyślałem, iż warto utrwalić jeszcze to, co żywe w tych moich wspomnieniach, a dotyczące jej osoby. Weszliśmy więc do studia na jesieni zeszłego roku i w kilka dni nagraliśmy całą nową płytę. Powstał bardzo przemyślany materiał, daleki od typowego dla nas rozimprowizowania. Zagraliśmy już sześć koncertów wyłącznie z tymi piosenkami i okazuje się, że są fantastycznie przyjmowane.

Sądząc po okolicznościach, można by się spodziewać, że „Dźwięczność” będzie smutna i mroczna. Tymczasem płyta jest spokojna, ciepła i czuła.

Początkowo te piosenki były bardzo mroczne, ale w miarę jak nad nimi pracowałem, powoli stawały się jaśniejsze. To był proces: od pierwszej załamki, przez próbę odnalezienia się w tym wszystkim i skoncentrowanie się na dobrych wspomnieniach. Bardzo mi zależało, aby było w tych nagraniach choć trochę ciepła i spokoju.

Kiedyś powiedział pan o sobie: „Jest dla mnie wielkim

wsparciem”. Ciężko żyć bez tego wsparcia?
Bardzo.

W tym pogodzeniu się z losem pana teksty są z jednej strony bliskie poezji ks. Twardowskiego, a z drugiej – buddyzmowi. Do jakiej duchowości jest panu dzisiaj bliżej?

Kiedyś zrobiliśmy z Voo Voo płytę i spektakl „Muzyka ze słowami”, gdzie tekstami były wiersze ludzi chorych na porażenie mózgowie. I ich wyobraźnia kompletnie mnie zaskoczyła. Trochę kojarzyła mi się ta twórczość z dziełami Borisa Viana, ale była zdecydowanie ciekawsza. Potem pracowałem nad płytą z wierszami ks. Twardowskiego dla dzieci. I wszystkie te trzy byty połączyły mi się w głowie. Wiersze ludzi z porażeniem mózgowym, Boris Vian i ks. Twardowski. Pisanie tekstów jest bowiem w moim przypadku podobne do tworzenia muzyki: wybiera się z tego wszystkiego, co się w życiu poznało i polubiło, to, co stanowi tego sedno. Tekst piosenki to jednak nie jest wiersz, musi być bardziej lapidarny i zawierać pewne powtórzenia. Z biegiem lat kształtuje się to w nieco głębszą i bardziej filozoficzną formę.

Sporo tu odniesień do przyrody. Z czego to wynika?

Do niedawna mieliśmy z żoną dom na wsi. Teraz już należymy do naszych dzieci. Zawsze lubiłem tam podglądać przyrodę. Stąd dużo w tych piosenkach ptaków – języków czy szpaków.

W „Na moment” śpiewa pan: „Bądźmy dzisiaj życzliwi dla siebie/ Unikajmy omamów, zwidów”. To pana credo na czasy podziałów i nienawiści?

Tak. Bardzo to wszyscy przeżywamy. Ta nienawiść nabrała już bowiem rozmiarów wręcz kuriozalnych. Mam za to głównie pretensje do mediów. Bo politycy jacy są, tacy są, wszyscy wiemy – oni wykorzystują te podziały w sposób absolutnie cyniczny. Robią to, bo wiedzą, że im to wszystko podlegsze, to wzbudza większe zainteresowanie mediów. Dużo jeżdżę po Polsce i jeszcze nigdy nie spotkałem się z żadną agresją. A w internecie jest jej mnóstwo. To już nie jest zwykły hejt, tylko wylewająca się wsząd nienawiść. Bo ktoś jest inny, bo mu się powiodło, bo jest innej nacji. Niby internet jest pożyteczny, ale z drugiej strony jest szambem, w którym ta cała złość wybija. Są tacy, którzy walczą z hejtem i kiedy czasem odkrywają kto stoi za tymi nienawistnymi wpisami, to okazuje się, że to pogubieni i zakompleksieni

ludzie, którym internet daje poczucie anonimowości i bezkarności. I to jest słabe.

Jak pan się przed tym chroni? Odłączyłem się. Przynajmniej na jakiś czas. Moja żona była bardzo mocno wkręcona w te rozgrywki polityczne. Załamał ją wybór prezydenta i bardzo bała się o przyszłość wnuków. Trochę więc siłą rzeczy też w tym siedziałem. Ale po jej śmierci kompletnie odciąłem się od obserwowania polskiego życia politycznego. Nie potrzebuję takich podniet, do niczego nie jest mi to potrzebne. I wszystkim to polecam.

Po nagraniu „Dźwięczności” poczuł pan pociechę i pomogło to panu przejść przez ten trudny czas żałoby?

Ta żałoba jeszcze trwa, bo to nawet jeszcze rok nie upłynął. Przede wszystkim bardzo pomaga mi praca. Bo nagraniu płyty sprowokowało od razu dawanie koncertów. Ale też fantastyczna postawa moich przyjaciół, szczególnie tych z zespołu. Bo wszyscy oni mieli ochotę nagrać taką płytę. Może nie wszyscy byli przekonani, że dam radę, ale z przekory, wiedząc, że różnie może się to skończyć, wszyscy się na niej bardzo koncentrowaliśmy. I to bardzo mi pomogło. Kiedy żona zmarła, syn zaprowadził mnie od razu do jakiegoś terapeuty. On wiedział czym się zajmuję i poradził mi, że bym... w ogóle przestał pracować. Natychmiast porzuciłem jego sugestię, bo wiedziałem od dawna, że na rozpaczę najlepiej pomaga ciężka praca.

Nagranie „Dźwięczności” zmieniło pana zdanie i możecie się spodziewać po Voo Voo kolejnych płyt?

Potencjał jest. Jesteśmy bowiem zadowoleni z nagrania tej płyty i z koncertów. Wykonujemy ją w całości w zwykłym lub poszerzonym składzie. To duża radość, kiedy po tylu latach działalności kapeli, pojawia się taki bodziec. Jest więc w nas chęć do dalszego nagrywania. Oczywiście musi się znaleźć ktoś, kto będzie chciał to wydać. W przypadku „Dźwięczności” trafiliśmy na wspaniałego wydawcę w postaci e-Muzyki, który bardzo fajnie się nami zajął. I ta płyta jest dobrze przyjmowana, zewsząd dostają wyrazy szacunku i entuzjazmu. Nie mówię więc nigdy.

To dobre nastawienie.

My jesteśmy zespołem dosyć mocno podzielonym wiekowo. Od bardzo młodego Michała, przez Karima i Mateo, po mnie na końcu tej piramidki. Dlatego nasze doświadczenia dnia codziennego są zupełnie inne. Każdy z nas robi swoje solowe projekty, co bardzo nas wspomaga, bo potem spotykamy się i dzielimy tymi wrażeniami. Wszystko tak naprawdę zależy od tego, czy ludzie będą przychodzili na nasze koncerty. Jeśli tak – to pewnie nas to zdopinguje, by jeszcze pójść dalej. Będziemy więc działać, oczywiście o ile zdrowie – przede wszystkim moje – pozwoli. Na razie, odpukać, wszystko jest OK.

Znamy go przede wszystkim jako lidera rockowego zespołu Voo Voo, który w tym roku obchodzi czterdziestolecie działalności. Zamiast tradycyjnej składanki z największymi przebojami, dostaliśmy właśnie jego nową płytę – „Dźwięczność”. Nam Wojciech Waglewski opowiada, jak dzięki muzyce radzi sobie z żałobą po nagłej śmierci żony

Parwot Gzyl

WOJCIECH WAGLEWSKI: NA ROZPACZ NAJLEPIEJ POMAGA CIEŻKA PRACA

nego są zupełnie inne. Każdy z nas robi swoje solowe projekty, co bardzo nas wspomaga, bo potem spotykamy się i dzielimy tymi wrażeniami. Wszystko tak naprawdę zależy od tego, czy ludzie będą przychodzili na nasze koncerty. Jeśli tak – to pewnie nas to zdopinguje, by jeszcze pójść dalej. Będziemy więc działać, oczywiście o ile zdrowie – przede wszystkim moje – pozwoli. Na razie, odpukać, wszystko jest OK.

Voo Voo obchodzi w tym roku 40-lecie działalności. Nie celebrujecie tego w jakiś wyjątkowy sposób. Nie lubi pan oglądać się wstecz?

Nie lubię celebrowania takich rocznic. Bo co z tego, że gramy czterdziście lat? To nie ma większego znaczenia. Ja nie słucham swoich płyt. Traktuję je jak wpisy w pamiętniku. Nawet „Dźwięczności” nie posłuchałem w całości, sięgałem tylko po poszczególne utwory, aby się przygotować do koncertów. Bo dla mnie muzyka jest zapisem chwili i najlepiej wypada na żywo. Kiedy nagraliśmy płytę „Najlepsi śpiewają Voo Voo”, początkowo nie mogłem tego słuchać, tak mnie wszystko denerwowało. Po latach sięgnąłem jednak po nią ponownie – i wtedy mi się spodobała. Wszystko było jak trzeba.

Trudno więc tak jednoznacznie raz na zawsze ocenić to, co zadziało się w przeszłości.

Nie będzie więc żadnej okolicznościowej płyty?

Polskie Radio ma przepastne archiwalia i czasem wydaje nagrania, które kiedyś zostały dokonane, a nigdy się nie ukazały. Tak też prawdopodobnie będzie i z Voo Voo. Jest szansa na wydanie naszych nagrań z 1986 roku, jeszcze w składzie z Andrzejem Ryszką i Jankiem Pospieszalskim. Nawet nie pamiętam okoliczności, w których zostały one dokonane. Prawdopodobnie zarejestrowaliśmy je dla Tomasza Szachowskiego z Dwójki i były to głównie utwory instrumentalne. Posłuchałem tego materiału z wielką radością, bo to super granie. Szykujemy się teraz z koncertową premierą tej płyty – być może ściągniemy nawet z Kanady Andrzeja Ryszkę. Czasami więc oglądam się w przeszłość i nawet fajnie się to sprawdza.

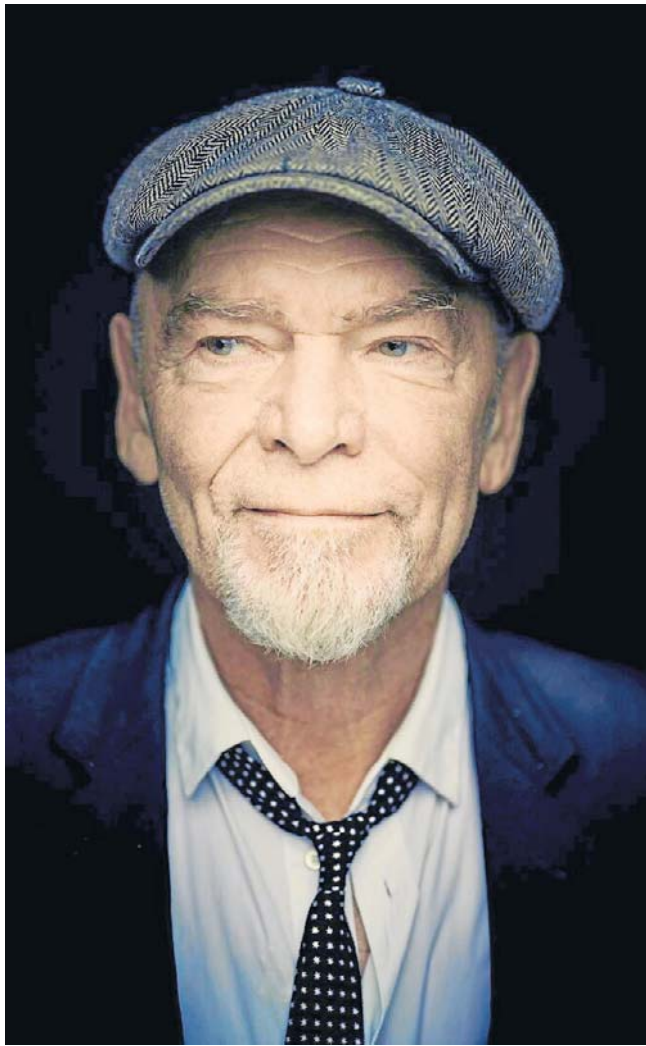
Zaczął pan grać na gitarze w 1969 roku, a Voo Voo skrzyknął dopiero w 1986 roku. Dlaczego tak długo zwlekał pan z założeniem własnego zespołu?

Miałem wcześniej dwa zespoły – Nirwana i Zen, ale nie dokonaliśmy żadnych nagrań. Początkowo pracowa-

łem jako muzyk studyjny. Ktoś wyliczył, że wziąłem udział w nagraniu prawie 500 płyt w kraju i za granicą. I z tego jakieś 400 powstało zanim założyłem Voo Voo. A stało się to tak późno z kilku przyczyn. Najpierw studiowałem, nie miałem więc czasu na własny zespół. Potem poszedłem na rok do wojska, bo tak wtedy było. Kiedy zdjąłem mundur, dołączyłem do Osjana, z którym grałem intensywnie kilka lat. Dopiero w połowie lat 80. spotkałem Zbyszka Hołdysa i Wojtkę Morawskiego, którzy powiedzieli, że musimy coś razem nagrać. Najpierw stworzyliśmy wspólnie podstawy płyty „I Ching”, a potem zdecydowaliśmy się założyć zespół Morawski Waglewski Nowicki Hołdys.

To był ewenement na ówczesnej scenie rockowej.

Nagraliśmy tylko jedną płytę – „Swinie”. A kiedy nagrywa się tak zatytułowaną płytę w 1985 roku w czasach mrocznego komunizmu, to wiadomo, że nie może się to dobrze skończyć. Dwa utwory zabrała nam cenzura, innych nawet Trójka nie chciała grać, w związku z czym Hołdys zabronił dziennikarzom wstępu na nasz koncert w Stodole. Wydanie płyty, której nikt nie chciał grać i pójście na wojnę



FOT. MATIPRAS.

Wojciech Waglewski: Nie lubię celebrowania rocznic. Bo co z tego, że gramy czterdzieści lat? To nie ma większego znaczenia

z mediami sprawiło, że daliśmy tylko siedem koncertów. Były też tarcia między nami. Wtedy Wojtek Morawski powiedział mi, że ja się nie nadaję do grania w zespole, tylko muszę założyć i prowadzić własny, bo mam w sobie za dużo z lidera. Namówiony przez Hołdysa, wymyśliłem więc Voo Voo z nazwą od moich inicjałów.

Podaję, że największym wyzwaniem było dla pana otwarcie się na śpiewanie.

To prawda. Po raz pierwszy w życiu zaśpiewałem na wspomnianej płycie „I Ching”. Przyniosłem piosenkę „Ja płonę”, którą miał wykonać Marek Piekarczyk. Ale kiedy ją usłyszał, powiedział, że sam to muszę zaśpiewać. Przełamane się więc, ale do dziś uważam, że, delikatnie mówiąc, nie jestem wybitnym wokalistą. Świat oczywiście zna wiele takich przypadków, od Boba Dylana począwszy. Umiejętnie śpiewać, ale nie mam głosu. Jako muzyk nie potrafię jednak pracować z wokalistami. Naakompaniowałem się w życiu wielu wybitnym śpiewaczkom i śpiewakom i ta rola średnio mi się podobała. Pomyślałem więc, że spróbuję sam wydobyć z siebie jakiś głos i dodam do tej warstwy instrumentalnej jakiś komunikat. I tak jest

do dzisiaj. Osobiście wolę, kiedy ktoś nie umie śpiewać o czymś niż gdy ktoś umie śpiewać o niczym. I tego się trzymam. Generalnie jestem jednak przede wszystkim gitarzystą, a Voo Voo to zespół, w którym wszyscy jego muzycy tworzą na równi wspólną jakość i nie ma tu funkcji akompaniatora. Dzielimy się tą rolą i to jest nasza zaleta.

W skład Voo Voo wchodzi silne indywidualności muzyczne. Nigdy nie było między wami konfliktów?

Nie było. Pierwszy skład był eksperymentalny i szybko się posypał. Andrzej Nowicki kompletnie nie chciał grać takiej muzyki, a Wojtek Morawski zrezygnował, aby zarabiać na życie na statku. Dlatego wiedziałem, że muszę szybko znaleźć nowych ludzi. I miałem szczęście do muzyków. Rozstałem się z kilkoma osobami, ale stało się to z powodów losowych. Piotr „Stopa” Żyżelewicz zmarł, Andrzej Ryszka wyjechał do Kanady, a Janek Pospieszalski, jak wiadomo, zajął się czymś zupełnie innym. Te zmiany powodowały oczywiście pewną modyfikację brzmienia, gdyż każdy nowy muzyk wnosił coś swojego. Kiedy zmarł „Stopa”, myśleliśmy, żeby zakończyć działalność, bo nie wyobrażaliśmy sobie, że uda nam się nadal tworzyć bez

niego. Stanowiliśmy bowiem z nim muzyczny monolit. Mogło nas uratować tylko zaangażowanie kogoś, kto będzie grał zupełnie inaczej niż on i otworzy nas na nieco inne funkcjonowanie sekcji rytmicznej. Zaprosiliśmy wtedy Michała Bryndala, który nie wiedział za dużo o tym, jak i co gramy. I polubił się od pierwszej próby. Początkowo Michał walczył z jazgotem gitary na scenie, bo trafił akurat na taki nasz czas, że graliśmy głośno, ale teraz sam bywa na koncertach najgłośniejszy. (śmiej) Najważniejsza jest atmosfera w naszym zespole: pracuję z kolegami z pełną pokorą, przyjmuję ich propozycje, a oni akceptują to, co ja proponuję.

Mimo bogatej dyskografii, centrum działalności Voo Voo są od zawsze koncerty. To ze względu na możliwość improwizowania?

Koncert to wyjątkowa sytuacja: w trakcie jego trwania powstaje muzyka, która może zaistnieć tylko tu i teraz. To nie tylko zasługa interakcji między muzykami, ale też konkretnego miejsca i konkretnej publiczności, tego jak reaguje, co krzyczy i jak pachnie. Żadna płyta koncertowa nie odda tego ducha. Każdy z nas ma podobne nastawienie. Zwłaszcza koncerty w klubach do 500 osób to jest bajka. Teraz mamy menedżera Piotra Bronkę, fajnego kolegę, który to wszystko kuma i dzięki niemu gramy najczęściej w takich miejscach i dla takiej publiczności, jaką lubimy.

Uwielbia pan improwizację, ale z drugiej strony pozostaje wierny formule piosenki. Nie ma w tym sprzeczności?

Wychowałem się na muzyce z lat 60. i 70., kiedy rock też był muzyką improwizowaną. Jimi Hendrix czy Cream grali piosenki, które zamieniały się na koncertach w dwudziestominutowe formy. U nas mieszają się różne sposoby myślenia o muzyce. Wynika to z naszych przeróżnych doświadczeń. Ja jestem bardziej zorientowany na przekaz i rockowy hałas, a koledzy na swingowanie. Ale już pracując przez lata jako muzyk sesyjny, grywałem z jazzmanami, ponieważ byli oni najbardziej kompetentni i stanowili trzon orkiestr Trzaskowskiego czy Trzcińskiego. Dlatego w tamtych czasach środowiska rockowe i jazzowe – choć nie przepadały za sobą – były skazane na siebie. A efektem tego były wspólnie płyty Czesława Niemena, Dżambli czy Breakoutów...

Voo Voo ma kilka dużych przebojów: „Łobi jabi”,

„Flota zjednoczonych sił”, „Nim stanie się tak”, „Nabroiło się” czy „Gdybym”. Lubi je pan?

Lubię. Wyjątkowo cenię „Gdybym”. W wersji oryginalnej piosenka ta trwa chyba osiem minut, które na potrzeby radia skróciliśmy do czterech minut, dzięki czemu pojawiła się na pierwszym miejscu listy przebojów Trojki. Najbardziej rozposzechnił się chyba utwór „Nim stanie się tak”, chętnie wykorzystywany na potrzeby różnych projektów – choćby „Męskiego grania” czy reklam. Dlatego z nim mam różnicę – czasem nie chce mi się go grać. Stąd, jeśli już po niego sięgam, to za każdym razem wykonujemy go trochę inaczej. To jakiś sposób. Do „Łobi jabi” mam sentyment, bo połączył nas z Mateuszem Pospieszalskim, który go skomponował. Pamiętam jak z okazji wstąpienia Polski do Unii Europejskiej zagraliśmy na koncercie pod Bramą Brandeburską w Berlinie. I kilka tysięcy Niemców śpiewało z nami ten refren – to było coś niezapomnianego. Takie śpiewy pozornie prostych piosenek w wymyślonym języku usłyszeliśmy wcześniej na koncertach naszego idola Dona Cherego i wydały nam się wspaniałą inicjatywą jednoczącą muzyków z odbiorcami. Są też utwory, które bardzo lubię, a które nigdy nie były przebojami. Na przykład „Bezruch”, który nagraliśmy z Hanią Rani. To jedna z lepszych rzeczy, które napisałem. Albo utwór „Beztrosko”, który zrobiliśmy w czasie pandemii, a który nie zaistniał w ogóle w radiu, tylko w sieci.

Jak układa pan program koncertu Voo Voo, mając tyle piosenek do dyspozycji?

Jako lider staram się zawsze stworzyć odpowiednią dramaturgię koncertu. Często jest bowiem tak, że muzykom gra się wspaniale, a publiczność się nudzi. Wybieram więc nie tylko przeboje, ale utwory, które układają się w spójną opowieść.

Dla wielu fanów i krytyków najważniejszą płytą Voo Voo jest „Sno-powiązka”. Dla pana też?

To była nasza druga płyta z 1988 roku. Stanowiła ona antytezę debiutu Voo Voo – zimnego, mechanicznego, post-punkowego. W związku z tym „Sno-powiązka” była nagrana bez elektronicznych efektów i opierała się na żywym grananiu. To koncepcyjny album, który trzeba grać w całości. Wykonaliśmy go raz w tej postaci na OFF Festiwalu w Katowicach, ale Artur Rojek ustawił nas na godzinę 17 i wyszło zupełnie bez sensu. Dla mnie wielkie zna-

czenie miała nasza debiutancka płyta, ale też „Oov Oov”, bo była pierwszą płytą nagraną bez spinki oraz „Dobry wieczór”, choćby z powodu udziału azerskiego muzyka Alima Qasimova. Bardzo cenię też „Dźwięczność”, ponieważ jest naładowana spokojem i zrobiliśmy na niej dużo takich rzeczy, których do tej pory nie robiliśmy.

Funkcjonowała też kiedyś dziecięca wersja zespołu – Małe Wu Wu. Pierwsza płyta to fenomen na polskim rynku – to rok 1988, a jest tam rap i afro-beat. Jak pan wspomina pracę z dziećmi?

To było ryzykowne przedsięwzięcie, żeby niszowy zespół z muzykami w ramoneskach i z włosami postawionymi na cukier miał nagrać płytę dla dzieci. Wymyślił to Tom Logan – ówczesny mąż Majki Jeżowskiej, a jednocześnie świetny amerykański gitarzysta studyjny. Kiedyś zrobiliśmy na potrzeby programu telewizyjnego kilka piosenek dla dzieci i tak mu się spodobały, że poszedł do Polskich Nagrań i wymógł na nich, żeby wydali taką płytę. Kiedy byłem młodym człowiekiem, nie byłem miłośnikiem twórczości dla dzieci. Podczas studiów miałem koleżankę, która po zajęciach zakładała krótką spódniczkę i biegła na próby Gawędy. Wydawało mi się, że to coś nie do końca spełnia wymogi szczerości przekazu. (śmiej) Ja jako dziecko słuchałem Stonesów i Hendrixa – postanowiłem więc zrobić coś rockowego. Kolegowałem się wtedy z malarzem Gruppy – Markiem Sobczykiem. Kiedy zwierzyłem mu się, że bardzo się pogubiłem szukając sposobu muzycznego dojścia do dzieci, powiedział mi: „Gdy zaczniesz zastanawiać się nad tym, co zrobić, aby się to komuś spodobało, to musisz to od razu odrzucić”. Weszliśmy więc do studia i nagraliśmy te piosenki tak, żeby nam się podobały. I była to najcięższa praca w moim życiu, bo dzieciaki potrafiły w kilkanaście minut zdemontować całe studio. (śmiej)

Pana synowie Bartek i Piotrek wzięli niewielki udział w nagraniach Małego Wu Wu. Może to dzięki temu stali się muzykami, których znamy dziś jako Fiszę i Emade?

Bartek namalował okładkę do pierwszej płyty, ale ostatecznie postanowiono, że zrobi to ktoś dorosły. Pani, która się tym zajęła, oparła się jednak na jego rysunku i odwołała się do jego kolorystyki. Jego projekt jest w górnym rogu okładki, w takim małym kółeczku. Piotra z kolei namówiłem, aby zaśpiewał na drugiej płycie Małego Wu

Wu, ale generalnie zrobił to bez entuzjazmu. Od tamtej pory nie przeszkadzamy sobie w uprawianiu muzyki.

Dlaczego?

Muzyka, którą ja się zajmuję i zajmują się moi synowie, musi powstawać w opozycji do siebie, ponieważ jest pewną formą manifestu pokoleniowego. Posługujemy się odmiennym językiem, momentami inaczej postrzegamy świat. Kiedy synowie stworzyli własny język muzyczny, zaprosili mnie raz do zagrania krótkiego sampla na gitarze i było to bardzo miłe. Po latach założyliśmy w końcu wspólny zespół, w którym bardzo wyraźnie uwidaczniają się różnice i podobieństwa w postrzeganiu świata. Ale nastąpiło to po wielu latach, kiedy to ja byłem postrzegany jako ojciec Fiszę, a nie jako syn Wojciecha Waglewskiego z Voo Voo. (śmiej)

Twórczość zespołu pana synów Kim Nowak miała chyba jednak spory wpływ na niedawne dokonania Voo Voo, kiedy to zwróciliście się w stronę garażowego rocka.

Wtedy taki był trend na świecie. „Wszyscy muzycy to wojownicy” jest chyba naszą najbardziej garażową płytą. Wówczas Fiszę i Emade zaczęli słuchać muzyków, których ja słuchałem będąc w ich wieku, a ja – tego, co ich fascynowało. Teraz, kiedy prowadzę z Fiszem audycję, to czasem ja prezentuję nowości, a on starocie, czym się często zaskakujemy. To było jednak nieuniknione: oni nasiąknęli w domu rodzinnym moją muzyką, kładli się przy niej spać i wstawali. Dzisiaj mamy więc wspólne inspiracje, ale bardzo pilnujemy swojej wolności artystycznej. Aczkolwiek to ja częściej korzystam z rad synów niż oni z moich. Ja nigdy im nic nie doradzałem, czasami tylko dostawałem ich nową płytę i wyrażałem swoje zdanie. Rock i hip-hop to muzyka buntu, więc lepiej, żeby staruchy się do tego nie wtrącały. (śmiej)

Jest pan już dziadkiem i ma aż pięćdziesiąt wnuczków. Wyraźnie kolejne pokolenie Waglewskich?

Najstarsza wnuczka ma ogromny talent malarski – pewnie po ojcu, bo Fiszę też świetnie maluje. Na razie studiuje i co będzie dalej, to się dopiero okaże. Z kolei wnuczek Mikołaj ma jakieś muzyczne inklinacje i Fiszę mówił, że nawet już coś sobie po cichutku nagrywa. Na razie tyle. O reszcie nie wiem. Im mniej jednak starsi wiedzą i się wtrącają, to tym lepiej. Prawdziwa twórczość musi się budować w kontrze do zastanego świata.

FRANKOWSKA: NA WSI Z WIEKSZYM SZACUNKIEM TRAKTOWANO ZIEMIĘ NIŻ ŻONĘ CZY CÓRKĘ

– Dziewczyna płakała na własnym ślubie? Ojciec i matka kwitowali to krótko: przywyknie. Tak jak przywykły jej siostry, babki i prababki. Bo jakie miały wyjście? O tym, jak wyglądała miłość w chłopskim świecie i co z dawnej seksualności przetrwało do dziś – mówi Katarzyna Frankowska, autorka książki „Życie seksualne chłopów”

Amita Czupryn

Tytuł Pani książki „Życie seksualne chłopów” aż kusi sensacją. Ale po przeczytaniu widzę, że to opowieść o czymś poważniejszym. Z czym chciała się pani zmierzyć, podejmując ten temat?

Może zacznę od tego, że tę książkę napisałam siedem lat temu i dokończyłam dopiero pod koniec 2025, dzięki wydawnictwu RM. Pierwotnie miała inny tytuł niż ten, na który ostatecznie zdecydowaliśmy się wraz z wydawcą. Oryginalny brzmiał „Kobieta, ziarno, zakłęcie. Ciało jako pole bitwy”. Brzmiał jednak zbyt poważnie i naukowo, i nie sprzedawałby się tak dobrze jak ten od razu trafiający do wyobraźni. Bo „Życie seksualne chłopów” rzeczywiście może się kojarzyć z tym, że w środku będą momenty: kto, z kim, gdzie i jak to robił. A zupełnie nie o tym jest ta książka.

A o czym?

Pierwszym założeniem było po prostu opisanie obrzędów matrymonialnych, jednak zagłębiając się w temat, czytając pamiętniki, akta sądowe, zapisy etnografów, koncepcja musiała się zmienić. Punktem wyjścia stała się kobieta, realia jej życia na wsi, dalekie od osiemnastowiecznej poezji. Właśnie dlatego, że ten temat przez lata był romantyzowany, trzeba na każdym kroku zacząć go odkłamywać. Dopiero niedawno zaczęło się to zmieniać, między innymi za sprawą „Chłopek” czy „Przepraszam za brzydkie piśmo”. Nagle zaczęto mówić głośno, że dawna wieś nie była wyłącznie „spokojna i wesoła” (czy w ogóle taka

była?). Brud, przemoc, strach i ludzkie tragedie zdecydowanie nie pasują do tego obrazka. Chciałam pokazać, jak naprawdę wyglądało życie kobiety w takim świecie. Nie zakładałam, że napiszę wyłącznie o nich, nie chciałam pokazać jednej prostej prawdy: że kobiety cierpiały, a mężczyźni nie. Jednak przy badaniu źródła, przy czytaniu ten wniosek właściwie sam się narzucił. Ilość materiału dotyczącego kobiet była nieporównywalnie większa niż ta dotycząca mężczyzn. Jeśli chciałam napisać prawdę, musiałam w dużej mierze skupić się wokół kobiet. O mężczyznach źródła mówią bardzo oszczędnie. Może dlatego, że o męskiej słabości nie śmiano wspominać. Rzadko o cokolwiek mężczyźni obwiniano, a oni, podobnie zresztą jak dzisiaj, nie chcieli się chwalić na przykład impotencją czy tym, że doświadczają przemocy. Nikt przecież nie opowiadał po sąsiadach albo etnografowi, który przyjechał z miasta, że ma takie problemy.

Skoro zaczęłyśmy od kobiet: czy ciało kobiece na dawnej wsi kiedykolwiek należało wyłącznie do kobiety?

Nigdy nie należało wyłącznie do kobiety – najpierw kuratela i decyzyjność była w rękach rodziców. Zresztą to zaczynało się już od urodzenia, w ogóle ciało człowieka, ciało dziecka również było traktowane przedmiotowo, to jest temat na inną rozmowę; los małych dzieci na wsiach. Nie jest prawdą to, co często lubią powtarzać starsi ludzie, choć wielu z nich powinno przecież

pamiętać, jak było naprawdę – że kiedyś rodziny były bardziej scalone, bardziej tradycyjne i że było lepiej niż dziś. Pod jakim względem lepiej? Kiedy wrzuciłam w media społecznościowych informację o tej książce i o tym, że zostanie wydana, zaczęły pisać do mnie kobiety dziś sześćdziesięcioletnie. Trzeba więc sobie uświadomić, że to, o czym piszę, nie działo się tak dawno. Opowiadały historie z własnego dzieciństwa, z rodzin, że w wsi, w których pewne zachowania były tolerowane i akceptowane. Jedna z kobiet napisała mi, że kiedy miała pięć lat, a jej młodsza siostra trzy, ona jako pięciolatka wypełniała już całą listę domowych obowiązków, musiała pilnować młodszego rodzeństwa. Matka miała pretensje do trzyletniej dziewczynki, że jeszcze nie potrafi przygotować posiłku dla rodziny. Inna kobieta opowiedziała historię swojej ciotki, która do dziś ma traumę po kołtunie. Wierzono wtedy, że kołtun musi dojrzeć i dopiero wtedy można go obciąć. Jeśli zrobiło się to wcześniej, kołtun zabierał siły życiowe osobie, która go nosiła, a nawet mógł doprowadzić do jej śmierci. „Dojrzałego” odcinano, najczęściej palono. Tylko że tej kobiecie podpalono go na głowie. Do dziś ma ślady poparzenia. Na podstawie takich opowieści można sobie wyobrazić, co wyprawiano z dziećmi.

A z kobietami?

Z dorastającymi dziewczynkami wcale nie było lepiej. One nie miały decyzyjności w sprawie tego, co się z nimi stanie. Właściwie we wszyst-

kim zależały od woli rodziny; najczęściej ojca i braci. Matki i siostry zwykle nie miały wiele do powiedzenia, zwłaszcza przy najważniejszej decyzji: za kogo dziewczyna zostanie wydana. Jest mnóstwo takich historii, naprawdę tragicznych. Czasem opowiadały je same dziewczyny, częściej ktoś z rodziny albo uczestnicy wesela, które były świadkami takich sytuacji. Pamiętam historię o młodej dziewczynie. Strasznie rozpaczała, uciekała z wozu, który miała jechać do ślubu, chowała się w domu, błagała ojca, żeby jej nie wydatował za obcego i starego człowieka, którego dla niej wybrał. Wiadziała go raz w życiu. W ogóle go nie znała. Można się domyślić, że na nic się zdały jej łzy.

Znam takie historie także z własnej rodziny.

W relacji zapisano, że w końcu któryś z družbów przyniósł różgę. Ojciec zabrał dziewczynę do komory i tak ją tą różgą obił, że wyszła zapłakana i kulejąca. Więcej nie uciekała. Nie miała wyboru. Poszła do ślubu. Po nim przechodziła pod kuratelę męża. Znowu więc nie miała nic do powiedzenia. Kolejny mężczyzna przejmował nad nią kontrolę. Jedyne, co kobiety mogły próbować sobie wywalczyć, jedyny sposób, by choć trochę zdecydować o swoim losie i swoim ciele, to były metody nazywane magicznymi.

Ważne jest to, co matki mówiły córkom, sąsiadki sąsiadkom, akuszerki innym kobietom. Czego ta wiedza dotyczyła?

Przede wszystkim spraw kobiecych, o których nie mówiło się głośno, bo to było tabu. Jednak nie szukałabym w tym empatii i troski, raczej brutalnej nauki o rzeczywistości.

Czyli o fizjologii, menstruacji?

Menstruacji, ale też kontroli płodności, jeśli w ogóle można mówić o jakiegokolwiek w tamtych warunkach. Kobiety nie miały dostępu do bezpiecznych sposobów, żeby decydować o tym, czy zająć w ciąży, czy nie. Akuszerki pojawiły się dopiero później i było ich bardzo niewiele w porównaniu z zapotrzebowaniem. Dopiero XIX wiek to okres, w którym zawodowo stał się w pełni usankcjonowany prawnie, a od kobiet wymagano formalnego wykształcenia i podręczników. Wcześniej porody odbierały po prostu wiejskie babki. I tu też trzeba uważać, żeby nie idealizować ich sposobów działania i wiedzy. Nie wszystkie były tak zwanymi „mądrymi”, które dawały dobre rady i potrafiły zaradzić na wiele dolegliwości. Niektóre sposoby, które stosowały, nawet według naszej dzisiejszej logiki nie mogły być ani zdrowe, ani bezpieczne. Na przykład smarowanie rąk masłem albo śmietaną przed wyciągnięciem dziecka, albo nakazywanie rodzącej, przy trudnym porodzie, żeby skakała z ławy czy ze stołu, żeby dziecko wypadło. O higienę nikt tam nie dbał. Nie było na to żadnego nacisku.

Jaką rolę odgrywała menstruacja?

Stosunek do menstruacji był bardzo ambiwalentny. Z jednej strony kobieta w czasie miesiączki była uznawana za słabą, a właściwie za słabszą i nieczystą. Nie mogła wykonywać wielu prac, które zwykle wykonywała w domu: czerpać wody ze studni, żeby jej nie zatruć, gotować, przygotowywać przetworów. To była forma izolacji. Z drugiej strony takiej kobiety się obawiano. Kobieta co miesiąc krwawiła, a jednak żyła. To budziło lęk, na współczesny im stan wiedzy. Było na granicy przekonań, że jest trochę człowiekiem, a trochę kimś innym, że musi być w tym coś magicznego. Krew menstruacyjna w ogóle była bardzo silnym nośnikiem magicznym. Używano jej do rzucania uroków, do magii miłosnej. Mężczyźni mieli z tym ogromny problem. Z jednej strony kobieta miesiączkująca była dla nich nieczysta, z drugiej, była niebezpieczna, demony miały mieć do niej wtedy lepszy przystęp. Bo jak to możliwe, że można co miesiąc krwawić, nic się nie dzieje i nadal żyjesz? W ich wyobraźni musiały brać w tym

udział jakieś nieczyste siły. Wiedza przekazywana przez kobiety kobietom nie dotyczyła tylko menstruacji, również środków, które miały zapobiegać ciąży, i sposobów, jak się ciąży pozbyć. Z naszej perspektywy były to metody bardzo dyskusyjne, a przede wszystkim skrajnie niebezpieczne. Aborcje przeprowadzano po grzebaczem albo długimi nożycami, w fatalnych warunkach sanitarnych, z zagrożeniem życia. Do tego dochodziło picie trujących ziół, takich mieszanek, od których naprawdę można było umrzeć. W jakiej desperacji musiały być kobiety, które się na to decydowały. Chodziło głównie o ciążę przedmażeńską lub pozamażeńską. To było tak potężnie piętnowane, że kobiety bardziej bały się społecznego wykluczenia niż śmierci. Baba z bastrukiem, czyli nieślubnym dzieckiem, nie miała już szans na zamążpójście. Rodzina często się jej wyrzekła, bo była plamą na honorze. Życie i jej i narodzonego dziecka, gdyby się na to zdecydowała, byłoby skreślone.

Można powiedzieć, że dawna wieś znała kobiece cierpienie, tylko o tym po prostu się nie mówiło?

Nie wiem, czy to w ogóle uznawano za cierpienie. Mam wrażenie, że dawna wieś podchodziła do tego raczej na zasadzie: tak po prostu musi być. Prababka to przeżyła, babka to przeżyła, matka to przeżyła, więc co ty tutaj jęczysz? Wszyscy tak mieli, w czym jesteś wyjątkowa, żeby oczekiwać taryfy ulgowej? Skoro tak było od zawsze, to dlaczego coś miało się zmienić? Też przeżyjesz. To było trochę na zasadzie: ja cierpiałam, więc ty też cierp.

A przecież miłość, jaką znamy, istniała. Czy na dawnej wsi była luksusem? Ludzie się zakochiwali, tylko miłość przegrywała z wiejską rzeczywistością?

Oczywiście, że się zakochiwali. I to zakochanie często stawało się powodem wielkiej rozpaczki albo tragedii, bo rzadko zdarzało się, żeby rodzina zgadzała się na ślub młodych ludzi. Wiadomo, że dziewczęta, które wydawano za mąż w wieku piętnastu czy szesnastu lat, nie wzdychały do starszych gospodarzów z morganami, tylko do swoich rówieśników, którzy nie mieli majątku, i mimo większej wolności, o ożenku też nie decydowali sami. A żeby doszło do ślubu, musiała się zgodzić także druga rodzina. Jeśli dziewczyna nie miała dobrego posagu, najczęściej nie było na to szans. Małżeństwo na dawnej wsi było transakcją. I to nie transakcją między



FOT. MAT. PRS.

Katarzyna Frankowska: Myślę, że z kobiecej perspektywy jedyne, co naprawdę warto odzyskać i kultywować, to kobiece wspieranie siebie nawzajem

młodymi, tylko między rodzicami jednej i drugiej strony.

Obrzędy związane ze ślubem: swaty, rękowiny, przenosiny, czy przebabiny, o których dowiedziałam się po raz pierwszy. Dziś brzmią niemal egzotycznie.

Czytając o tych obrzędach, miałam pewien dysonans poznawczy. Trudno mi było umieścić je w tej wsi, której obraz wyłaniał się z relacji: straszliwej biedy, głodu, brudu, braku higieny, walki o przeżycie. Ludzie mieli podjeżdżać: po co się myć? W przypadku jednej wsi trafiłam nawet na historię, że proboszcz z ambony mówił, iż kobiety, które za często się myją, czyli na przykład raz na dwa tygodnie albo raz na miesiąc, to kuszą do grzechu i powinny przestać to robić. Do tego dochodziły fatalne warunki życia. Zwierzęta mieszkają w tej samej izbie co ludzie. Do obrządku nikt nie zakładał butów,

przyjmując optymistycznie, że je w ogóle posiadał. Bieda aż piszcząca, głód był ogromny, chaty wyglądały jak stare stodoły, które czasem możemy jeszcze spotkać w krajobrazie. Kiedy więc próbowałam sobie wyobrazić te wszystkie obrzędy, stroje, przygotowania, przyjazdy z wódką, swaty, dziewczosłuby, całą tę oprawę, w takiej biedzie i takich codziennych warunkach, zaczęłam zadawać sobie pytanie: na ile to było powszechne? A może raczej: gdzie i u kogo naprawdę kultywowano te rytuały? Skłaniam się ku temu, że nie było tak, iż każde narzeczeństwo i każdy ślub wyglądały według tego rozbudowanego scenariusza. Myślę, że dotyczyło to mniejszości, przede wszystkim rodzin zamożnych, takich, które w ten sposób mogły się pokazać przed wsią. Zastaw się, a postaw się - tu akurat od tamtych czasów niewiele się zmieniło. Natomiast więk-

szość ludzi na wsi żyła w warunkach skrajnie trudnych. Bogatych chłopów było niewiele, może kilka procent. Dlatego mam wrażenie, że wiele opisów tych obrzędów zachowało się właśnie dzięki relacjom ze ślubów bogatych gospodarzy, których po prostu było na to stać.

Chętnie dziś sięgamy po Noc Kupały: wianki, ogień, woda, zioła, obrzędy płodności, romantyczna słowiańskość. Co w tym obrazie jest prawdą, a co naszą współczesną fantazją?

Uważam, że Noc Kupały jest w dużej mierze naszą współczesną fantazją, co do samego Kupały też nie mamy żadnego potwierdzenia czy istniał, a co dopiero czemu patronował.

Chce Pani powiedzieć, że puszczanie wianków na wodę, matrymonialne wróżby, rytuały płodności, ogniska, to wszystko jest naszą projekcją, a nie wiernie

odtworzonym dawnym obrzędem?

Ogień, woda, zioła i noc rzeczywiście często pojawiały się w religiach pogańskich, także w obrzędach związanych z płodnością. Możemy to widzieć przez analogię do plemion germańskich czy Celtyków, którzy obchodzili podobne święta. Tyle że tam mamy dostęp do źródeł, jakieś dowody, choćby od rzymskich kronikarzy. Natomiast jeśli chodzi o wierzenia Słowian i o to, czy w ogóle istniał bóg nazywany Kupałą, tak naprawdę nie mamy zielonego pojęcia. Pierwsze informacje o Nocy Kupały pojawiają się chyba dopiero w XVII wieku, może w XVIII wieku. Przyszła romantyzm, który bardzo lubił odwołania do tak zwanej słowiańskości.

Jak patrzono na mężczyznę, który przekraczał normy: zdradzał żonę albo miał wiele kobiet?

Dla mężczyzny było jak dziś: winna kobieta. Do mężczyzny podchodzono tak, że przecież musi się wyszaleć, dopóki jest młody i nie ma żony. Mógł zaliczyć całą wioskę i to było tematem żartów: młody byczek, wiadomo, potrzebuje tego. Dopóki nie było z tego problemów, czyli ciąży, nie było ani kontroli, ani krytyki. Mógł to robić jawnie i społecznie było to akceptowane. Jeśli jednak pojawiała się ciąża, wtedy rodzina dziewczyny i rodzina chłopaka zwykle zmuszały ich do małżeństwa, żeby zachować twarz i żeby nie było plamy na honorze. Trzeba było brać ślub. A kobiety? Nawet jeśli dziewczyna niczego nie zrobiła, wystarczyło, że była bardzo ładna i inne kobiety jej nie akceptowały, zwykła zazdrość. Same plotki mogły odebrać jej szansę na dobre zamążpójście. Z drugiej strony trzeba też powiedzieć, że jeśli zgadzały się pieniądze i zgadzały się morgi, dziewictwo nie było najważniejsze. Jeśli małżeństwo było dobrą transakcją dla obu rodzin, nikt się specjalnie „czystością” nie interesował. Natomiast jeżeli w małżeństwie nie było dzieci, jeżeli z jakiegoś powodu kobieta nie zachodziła w ciążę, nigdy nie mówiono, że może dużo starszy mężczyzna ma problem z potencją albo z płodnością. Zawsze winna była ona. Mówiono, że widocznie źle się prowadziła przed ślubem, że „po wydeptanej ścieżce już nic nie chce pojechać”. Spadła więc na nią kara boska w postaci bezdzietności. Choćby przed ślubem była święta i niczego złego nie zrobiła, jeśli nie było dzieci, wiadomo było, że winna była żona.

Które źródła Panią najbardziej poruszyły, które były zaskakujące: akta sądowe, pieśni, relacje, pamiętniki?

Zdecydowanie pamiętniki i relacje etnograficzne. To były historie konkretnych ludzi. To nie jest czytanie tekstu naukowego o tym, jak było na wsi i jakie panowały zwyczaje. Tylko mamy opowieść o tragedii jednostki. I prawie zawsze jest to historia przemocy albo tragicznej miłości, nie ma happy endu. Młode dziewczyny oczywiście zakochiwały się w chłopakach, ale wydawano je za mąż za kogoś innego. Często za mężczyznę, którego nie znały albo którym się brzydziły. Jednocześnie kochały chłopaka, z którym już nigdy nie miały się spotkać. To uświadamia, że ludzie aż tak bardzo się nie zmienili, i nie minęło aż tak wiele czasu od momentu, kiedy to wszystko o czym rozmawiamy było normą. Nie byli przecież pozbawieni emocji. Czuli zazdrość, zakochiwali się, czuli pożądanie. Nie byli z innej gliny. Płynęła w nich taka sama krew jak w nas. Te wszystkie uczucia też ich dotyczyły, tylko nikogo one nie obchodziły. Jeśli dziewczyna płakała na swoim ślubie, była zrozpaczona, często uznawano to nawet za coś dobrego, na przykład, że żal jej stanu panińskiego, żal jej odchodzić od rodziców, to znaczy, że rodziców szanuje i że w rodzinnym domu było jej dobrze. A przecież najczęściej nie o to chodziło. Wszystko kwitowano jednym słowem: przywyknie. No i cóż miała zrobić? Musiała przywyknąć.

Co z tej dawnej seksualności przetrwało w nas do dzisiaj?

Przetrwały przesady. Tylko dzisiaj ludzie często już nie wiedzą, skąd one się wzięły. Na przykład przekonanie, że wianek był pierwotnie symbolem dziewictwa. To jest wymysł XVII-XVIII-wieczny. Prawdopodobnie przy swadźbie, czyli słowiańskim ślubie pogańskim, wianek pełnił funkcję podobną do dzisiejszych obrączek. Wianek miał i mężczyzna, i kobieta, i oni się tymi wiankami wymieniali. To, że „utrata wianka” oznacza utratę dziewictwa, jest dużo późniejsze. Podobnie z welonem ślubnym i dzisiejszym przekonaniem o tym, jaka była jego funkcja. Pamiętam stare ciotki, które nie mogły przetrzymać, kiedy moja kuzynka brała ślub już po urodzeniu dziecka. Miała upięte włosy i nieduży welon przypięty do koka. Ciotki mówiły: „Jak to? Dzieciata baba idzie w welonie do ślubu? Przecież welon to symbol czystości, symbol dziewictwa”. A to zwyczajna bzdura.

Czym był welon?

Welon u panny młodej pełnił funkcję ochronną. Uważano, że w dniu ślubu dziewczyna

jest narażona na zazdrosne spojrzenia, na tak zwane złe oko. Że wiemy są wtedy bardzo aktywne, że atakują ją demony. Dlatego welony były długie i zasłaniały twarz. Dziewczyna miała twarz zakrytą przez cały czas. Dopiero po obrzędach w kościele, kiedy była już mężatką, można było jej ten welon podnieść. Ale na przykład w drodze do domu, kiedy wracano ze ślubu, też była zasłonięta. Chodziło o to, żeby nie można było zobaczyć jej twarzy, spojrzeć jej w oczy. Welon miał tworzyć barierę między nią a tym, co mogło ją zaatakować. Podobnie było z hałasem. Do dziś na Śląsku praktykuje się zwyczaj tłumczenia naczyń przed domem panny młodej. Nie wiem, czy w innych częściach Polski też. U mojej znajomej, która mieszkała w bloku, pod drzwiami przyniesiono nawet muszlę klozetową i rozbito ją tak, że cały blok się trząsał. Dziś traktuje się to często jako żart, ale ten zwyczaj miał praktyczne zastosowanie. Hałas miał odpędzać nieczyste siły. W bogatszych kręgach praktykowano na przykład to, że bracia panny młodej i pana młodego albo bliiska rodzina jechali konno przy wozie czy brzytce i byli uzbrojeni w szable albo i broń palną. Strzelano, hałasowano kołatkami, rozbijano naczynia, kiedy panna młoda wychodziła z kościoła, wierzono bowiem, że zło boi się hałasu.

Co z dawnej kultury warto odzyskać, a co trzeba nazwać opresją, przemocą, także systemową?

Myślę, że z kobiecej perspektywy jedyne, co naprawdę warto odzyskać i kultywować, to kobiece wspieranie się. To, żeby kobieta była kobiecą kobietą, a nie wilkiem. Dziś modne są kobiece kręgi, kobiece spotkania. I moim zdaniem to jest dobre, idzie w dobrym kierunku. Taka przestrożka, w której kobiety mogą być razem i nie potrzebują do tego mężczyzn. Mężczyźni nie muszą o wszystkim wiedzieć. To akurat jest prawda, którą dawniej na wsiach dziewczynom wpajano, jeśli miały mądre matki. Znam takie powiedzenie od jednej z moich starszych ciotek: „Chłopu się nigdy całej dupy nie pokazuje”. Oczywiście to metafora.

Mamy prawo do własnych tajemnic.

Po pierwsze, mamy prawo do własnych tajemnic. Po drugie, mężczyźni do szczęścia nie potrzebują całej wiedzy o kobiecie. Nie musisz mu się ze wszystkiego spowiadać, bo może kiedyś wykorzystasz to przeciwko sobie. Po co mu wszystko mówić?

Małgorzata i Sławomir Adamek przez dwadzieścia pięć lat prowadzili drukarnię na poznańskim Grunwaldzie. Gdy doszli do ściany, postanowili zacząć od zera.

Maciej Szymkowiak

PORZUCILI 25-LETNI BIZNES DLA ESCAPE ROOMÓW. TERAZ SĄ NR 1

Uznali, że czas się przebrnąć i znaleźć branżę, w której zamiast wydruku dadzą ludziom niezapomniane wrażenia. I znaleźli. Po siedmiu latach są najlepsi w Poznaniu. A ich pokój pn. „Cień nietoperza” zajmuje pierwsze miejsce w ogólnopolskim rankingu na najlepsze escape roomy. Jak tego dokonali?

Od intrologatorni do uniwersum Batmana

Jeszcze kilka lat temu na Grunwaldzie stały maszyny drukarskie. Pomieszczenia wypełniała farba, papier, intrologatornia. Dla Adamków była to bez wątpienia intensywne prace; fizyczna i nastawiona na terminowość.

- Byliśmy już zmęczeni drukarnią, ogromem pracy i za-

trudnieniem ponad 20 osób. To był moment przełomowy. Pojawili się też wiele drukarni internetowych i postanowiliśmy coś zmienić w życiu - opowiadają.

Dzisiaj po drukarni pozostało niewiele śladów. Jest za to przygoda: od świata wikingów po poszukiwania złoczyńców z uniwersum Batmana. Historia Escape Areny w Poznaniu rozpoczyna się rewolucyjnie, ponieważ z braku zadowolenia.

- Jak wyszliśmy z pierwszego escape roomu w naszym życiu, to nam się nie podobało - wspomina Sławomir Adamek. - Nazwałem go kosmicznym nieporozumieniem.

Pokój znajdował się w piwnicy, był słabo oświetlony, niedopracowany. Tematyka kosmiczna nijak nie pasowała do tego, co gracze otrzymywali

w środku. I właśnie wtedy, paradoksalnie, coś zaiskrzyło. Nie był to zachwyty i nie była to inspiracja w klasycznym tego słowa znaczeniu. Raczej bunt, czy wręcz potrzeba zrobienia czegoś lepszego, a przy tym swojego.

Sławomir namówił żonę, Małgorzatę, by porzucili działalność poligraficzną i spróbowali czegoś zupełnie nowego. Branży, o której nie wiedzieli wówczas za wiele.

- Po pierwszym, bardzo kiepskim Escape Roomie byłam przekonana, że już nigdy więcej do czegoś takiego nie pójde. Gdy Sławek zaproponował otwarcie Escape Roomów, byłam do tego bardzo sceptycznie nastawiona, ale dałam się przekonać - przyznaje dziś Małgorzata. - Dzisiaj uważam, że mamy najlepszą firmę na świecie, bo przychodzą do nas lu-

dzie, którzy mają wyjść z uśmiechem na twarzy - zadowoleni i szczęśliwi. My im to dajemy i to sprawia nam ogromną satysfakcję. Zamieniliśmy klientów na gości.

Start od zera. A właściwie od minusa

Decyzja była z punktu widzenia wielu osób radykalna. Sprzedaż maszyn poligraficznych. Zamknięcie dobrze prosperującej drukarni, jednej z najlepszych w Poznaniu. Wejście w branżę, która w 2018 roku dopiero raczkowała i była pełna amatorów.

Pierwszy pokój, „Jaskinia Hazardu” powstał w miejscu dawnej intrologatorni. Od początku budowany był według jednej, niepodlegającej negocjacji zasady: pełne bezpieczeństwo. I właśnie ta decyzja, wtedy jeszcze niedoceniana,

miała wkrótce uratować im biznes.

- Zaczęliśmy od kompletnego zera. A właściwie od minusa. Dwa miesiące po otwarciu pierwszego naszego pokoju zagadkę zdarzyła się tragedia w Koszalinie, która bardzo mocno uwsteczniła rynek i spowodowała likwidację bardzo wielu escape roomów - mówi Sławomir.

Na początku 2019 roku w Koszalinie doszło do pożaru w escape roomie, w którym zginęło pięć nastolatków. Nie mogły się wydostać z pomieszczenia. Tamto wydarzenie zachwiało zaufaniem ludzi do tego typu miejsc. Tym samym mocno uderzyło w całą branżę.

Po wydarzeniu, w którym zginęły nastolatki, w całej Polsce przeprowadzono masowe kontrole escape roomów. W wielu z nich wykryto niepra-

widowości w kwestiach bezpieczeństwa. Z kolei ówczesny rząd zaostrzył przepisy przeciwpożarowe. Skutki odczuli wszyscy, także ci, którzy od początku dbali o bezpieczeństwo.

- Ze 106 escape roomów w Poznaniu zostało 36 - wylicza Małgorzata. - Nas nie zamknęli. Tak wtedy, jak i do tej pory, mamy wszystkie odbiory straży pożarnej, drogi ewakuacyjne i systemy bezpieczeństwa.

W tej chwili w Poznaniu jest ok. 60 escape roomów.

- Kiedy branża zaczęła się odradzać, mieliśmy więcej grup, bo escape roomów było bardzo mało - dodaje Małgorzata. - Uważam, że jesteśmy obecnie jedną z najbardziej bezpiecznych branż. Jesteśmy po wszystkich kontrolach, spełniamy wszystkie wymogi. Każdy pokój, który otwieramy,



Małgorzata i Sławomir Adamek zrezygnowali z drukarni, aby na całego poświęcić się rozrywce i pokojom zagadek. Małżeństwu udało się dojść na szczyt tej branży



Krwiożercza roślina to jeden z rekwizytów, który pełni ważną funkcję w pokoju „Cień Nietoperza”

Jeden Mistrz Gry na jeden pokój zapewnia bezpieczeństwo i też pełną kontrolę tego, co się dzieje w środku

ma regularny odbiór straży pożarnej.

Bezpieczna adrenalina

Do dziś bezpieczeństwo pozostaje najczęstszym pytaniem, które zadają goście. Wśród nich zwłaszcza rodzice. - Chcą, żeby ich dzieci czuły się bezpiecznie - mówi Sławomir. - Wszystko im objaśniamy i pokazujemy.

Każda grupa ma swojego mistrza gry. To ważne, ponieważ dzięki temu całą swoją uwagę może skupić na konkretnej grupie. Mistrzem gry jest osoba, która nie tylko podpowiada, ale też obserwuje, reaguje i chroni.

Mistrz gry to osoba, która pilnuje grupy bawiącej się w danym momencie. Dbą o to, żeby grupa przeszła pokój w odpowiednim czasie, pomaga w razie potrzeby i podpowiada w odpowiedni sposób - tłumaczy Sławomir. - Jest też poniekąd ochroniarzem, ponieważ zwraca szczególną uwagę na to, żeby grupa czegoś nie zepsuła i nie zachowywała się w sposób niekontrolowany. Zdarza się, że mamy bardzo aktywne dzieci, które potrafią robić rzeczy nieprzewidywalne, więc mistrz gry dba również o ich bezpieczeństwo.

Escape room kojarzy się z zamknięciem. Tego obawiają się osoby z klaustrofobią. Właściciele zapewniają jednak, że drzwi ewakuacyjne są zawsze otwarte. Przygotowane są też specjalne przyciski, które po naduszeniu, wzywają personel. Sławomir dodaje, że traktują bezpieczeństwo priorytetowo, dlatego przeprowadzane są co jakiś czas próbne ewaku-

acje. Mistrz gry musi umieć wprowadzić grupę z zawiązanymi oczami. - Zajmuje mu to około 30 sekund - dodaje właściciel.

Dotąd nie było sytuacji, aby komuś coś się stało. Wszystkie drzwi ewakuacyjne są zawsze otwarte. W każdej chwili wystarczy nacisnąć klamkę, żeby się wydostać. Czego dotyczy najczęstsze zgłoszenie w momencie już prowadzonej rozgrywki? - Zazwyczaj ktoś musi iść do łazienki. Z tym też nie ma żadnego problemu - dodaje Adamek.

Pokój zagadek ściągają maskę z człowieka

Dziś do EscapeAreny przychodzi wszyscy: dzieci (pod opieką dorosłych), nastolatki, grupy znajomych, rodziny, a nawet pracownicy z tej samej firmy. Wiadomo, że dzieci muszą być już w stanie rozwiązywać proste łamigłówki logiczne.

- Dzieci zupełnie inaczej patrzą na świat i rozwiązują problemy. W escape roomie trzeba ze sobą rozmawiać, komunikować się, co później przenosi się na codzienne życie. Rodziny, które tu przychodzą z dziećmi, zdecydowanie lepiej sobie potem radzą w relacjach - dodaje Małgorzata.

Nie ma górnej granicy wieku na tego typu rozrywkę. Do takich miejsc przychodzą też dziadkowie z wnukami. Z kolei firmy coraz częściej zamiast spotkania świąteczno-noworocznego w restauracji, wybierają właśnie wspólne wyjście do escape roomów. Wykorzystują też pokoje zagadek do... rekrutacji.

- Escape room ściągają maski. Trzeba się skupić na tym, co jest tu i teraz - mówi Sławomir. - Widać pracę zespołową, to, czy pojawia się lider, czy ktoś próbuje nim zostać, a także jak ludzie radzą sobie z rozwiązywaniem problemów. Niektórzy bardzo szybko się irytują, nie potrafią sobie poradzić z trudnościami i to widać od razu - przyznaje Sławomir. - Nie ukrywamy, że my sami również prowadzimy takie rekrutacje przez nasze pokoje, głównie dla mistrzów gry. Praktycznie po jednym, dwóch wejściach wiemy już, z kim mamy do czynienia i czy chcemy z tą osobą dalej prowadzić rozmowę.

Pytam właścicieli, jak odróżnić dobry escape room od złego. Tłumaczą, że przede wszystkim najlepiej, aby nie było dużo długich tekstów do czytania w półmroku i sterty klódek. Na to najczę-

ściej narzekają goście, którzy zwiedzają różne obiekty w całej Polsce. I faktycznie w „Cieniu nietoperza” tego typu łamigłówki ograniczono do minimum.

- Dużo tak zwanych „czytajek” w środku. Wiadomo, że w escape roomach często panuje półmrok, a nie mamy światła jak w Las Vegas. Tymczasem dostajemy kartkę A4, którą trzeba przeczytać od A do Z. Grupy bardzo się na tym męczą - mówi Małgorzata. - Nie bardzo lubimy też - i inni również - gdy jest dużo klódek. Im mniej, tym lepiej. Zdecydowanie lepsze są nowocześniejsze rozwiązania. To wszystko wpływa na to, czy pokój jest ciekawy.

Co zamiast tego? Czytniki, sensory, druk 3D, zaawansowane systemy sterowania. Elektronika musi być niezawodna. Gra nie może się zatrzymać. Jednak bez ludzi z pasją wokół mało, co z tego miałoby realny wpływ.

- Choćby w „Cieniu nietoperza” mistrz gry dokładnie widzi, jaką zagadkę grupa aktualnie rozwiązuje - tłumaczy Sławomir. - I czy robi to dobrze. Dlatego dobry escape room przede wszystkim powinien mieć świetną obsługę i wyjątkowy klimat. No i najważniejsze: miłość i pasję ludzi, którzy się tym zajmują. Bez tego żaden biznes nie działa dobrze.

Zajmują pierwsze miejsce w kraju

Dziś EscapeArena to lider rynku. Pierwsze miejsce w rankingu LockMe wśród firm w Polsce. Pokój „Cień nietope-



Jeden z pokoi zagadek to „Galaktyka Tajemnic”. Inspirowany m.in. światem Gwiezdných Wojen

rza” uznano za najlepszy escape room w kraju. Ma ponad 700 opinii w Google ze średnio 5,0.

- To nie jest zasługa jednego pokoju - podkreśla Małgorzata. - To praca całego szesnastoosobowego zespołu. Z kolei Sławomir na spokojnie dopowiada: - Ranking się zmieni, ale nawet jeśli spadniemy z tronu, zostaniemy w ścisłej czołówce.

Najgorsze za nimi. Poza pokłosem tragedii z 2019 roku przetrwali też okres lockdownu w czasie pandemii. Dwa zamknięcia po pół roku. Ten czas wykorzystali na remonty, ulepszenia, zwiększenie sterylności poprzez lampy UVC. - Po zniesieniu lockdownów przychodziły tłumy. Ludziom bardzo

brakowało wyjścia z domu - mówi Małgorzata.

Dziś Adamkowie pracują nad nowym pokojem. Jeszcze nie zdecydowali, co będzie motywem przewodnim, ale mają dwie koncepcje. Przygotowują też uruchomienie portalu, w którym będzie można sprawdzić, jakie są atrakcje w mieście. W ten sposób chcą pokazać Poznaniakom, że życie to coś więcej niż brak czasu i pieniędzy.

- Trzeba mieć czas dla siebie, żeby korzystać z życia - mówi Sławomir. - Zazwyczaj słyszę, jak ludzie mówią: „nie mamy czasu”, a zaraz potem „nie mamy pieniędzy”. To skoro nie macie czasu ani pieniędzy, to co macie? - pyta przewrotnie właściciel.

„CIEŃ NIETOPERZA” TO NAJNOWSZY POKÓJ ZAGADEK. OBECNIE JEST NUMEREM JEDEN W POLSCE. INSPIROWANY UNIWERSUM BATMANA I ZŁOCZYŃCAMI Z GOTHAM

KINO MORALNEGO SPOKOJU

- Odwiedzają nas najczęściej ludzie starsi, którzy potrzebują rozmowy. Po co oglądać film samemu, skoro można go obejrzeć w dobrym towarzystwie? – mówi ks. Wojciech Ratajewski, proboszcz parafii św. Marii Magdaleny w Nowym Miasteczku, który stworzył parafialne kino.

Mateusz Pojnar

O kinie parafialnym jako pierwszy napisał zielonogórsko-gorzowski „Gość Niedzielny”. - Przeprowadziliśmy remont sali w domu parafialnym przy kościele z taką myślą, żeby zrobić coś dla parafian - mówi „Gazecie Lubuskiej” ks. Wojciech Ratajewski, proboszcz parafii św. Marii Magdaleny w Nowym Miasteczku (powiat nowosolski). - Od jednego z kolegów księży usłyszałem o platformie MPLC, która pozwala wykupić licencję na możliwość wyświetlania filmów.

Bo jeżeli odtwarza się rzeczy audiowizualne w warunkach innych niż domowe - filmy, koncerty, seriale czy programy telewizyjne - zwykle, oprócz abonamentu potrzebna, jest specjalna licencja.

W parafii zrodził się pomysł: skoro mieszkańcy do najbliższych kin muszą jeździć do Głogowa, Nowej Soli czy Zielonej Góry, to warto zrobić im salę kinową tu, na miejscu. Dzięki temu będą mieli łatwiej.

- To sposób na integrację parafian. Forma zachęcania ich do tego, żeby wyszli z domów i się spotkali, byli razem i obejrzeli wspólnie coś ciekawego - tłumaczy nam ks. Ratajewski.

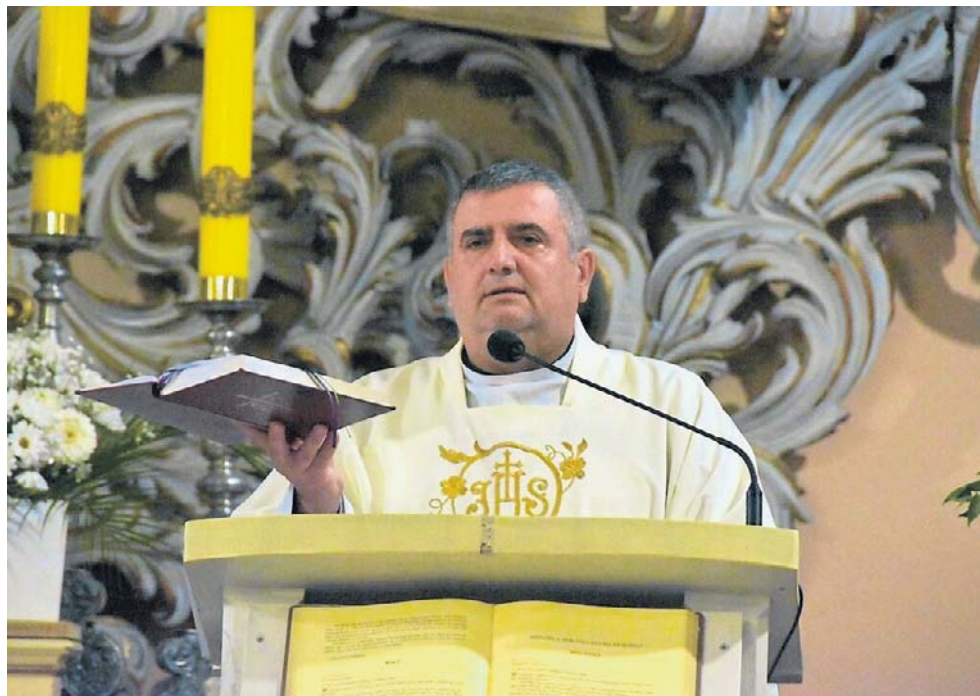
„Nie po to, by proboszcz poczuł się lepiej”

Od pomysłu do realizacji droga daleka i trochę to trwało: najpierw był oczywiście remont, została zrobiona klimatyzacja, później trzeba było kupić większy telewizor i sporo dodatkowych krzeseł.

Ale darmowe kino parafialne jest już gotowe. Zmieści się w nim do 50 osób i na tyle też pozwala wykupiona licencja.

- Być może w przyszłości stworzymy coś w rodzaju filmowego klubu dyskusyjnego? - uśmiecha się proboszcz. - Warto porozmawiać o tym, co się zobaczyło na ekranie. Gdy spojrzemy przez okno, niespełna 50 metrów dalej, było kiedyś tzw. kino ludowe.

Za nimi są już pierwsze seanse. Jeden z filmów dotyczył św. Marii Magdaleny, czyli pa-



Ks. Ratajewski: Odwiedzają nas najczęściej ludzie starsi, którzy potrzebują tego, by z kimś porozmawiać

tronki parafii, inny - wojny domowej w Hiszpanii i prześladowania Kościoła. Pierwszy obejrzało ponad 40 osób i wywołał sporo dyskusji, drugi zobaczyło troszkę mniej - był wyświetlany rano i wieczorem. Po nim z kolei większość raczej wychodziła z kina w ciszy, bo słyszemy, że towarzyszył mu mocny przekaz.

Informacje o repertuarze proboszcz publikuje na stronie internetowej parafii. Można je również znaleźć w ogłoszeniach duszpasterskich i w biuletynie parafialnym.

- Póki co testujemy, myślimy kiedy robić seanse - tłumaczy ks. Ratajewski. - Na razie robimy je w środy, ale ustalimy z parafianami, który termin byłby dla nich najbardziej odpowiedni, bo to kino nie jest po to, żeby proboszcz poczuł się lepiej, tylko powstało dla mieszkańców. Najtrudniejsza byłaby niedziela, ze względu na msze święte nie ma praktycznie takiej możliwości. Spróbujemy to uporządkować tak, jak będą chcieli.

Czas na komedię

Proboszcz parafii św. Marii Magdaleny zaznacza, że wy-



Kościół pw. św. Marii Magdaleny w Nowym Miasteczku

tworzyła się już filmowa ekipa - są stali widzowie, którym spodobał się pomysł kina parafialnego.

- Z dostępnej nam biblioteki będą mogli wybierać filmy, które zechcą zobaczyć - mówi „Lubuskiej”. - Nie tylko stricte religijne. Teraz myślimy o komedii, żeby się trochę pośmiać.

Gdy artykuł o pomysle z Nowego Miasteczka opublikowaliśmy na naszej stronie internetowej, pani Sylwia, mieszkanka tej miejscowości, skomentowała, że „trafił im się najlepszy proboszcz na świecie”.

- Świetny pomysł. Bardzo mi się podoba - dodała z kolei pani Mieczysława. - Niech lu-



Darmowe kino parafialne jest już gotowe. Zmieści się w nim do 50 osób

By ucichła samotność

Ks. Ratajewski podkreśla ważną kwestię: w obliczu świata, który pędzi coraz szybciej, na złamanie karku, jest coraz mniej możliwości spotkań. I to właśnie m.in. dlatego powstało kino.

- Już w ubiegłym roku zaczęliśmy inicjatywę dwugodzinnych spotkań w ogrodach plebanii - wspomina. - Organizujemy je w niedzielę po południu, od maja do września. Wspólnie siedzimy, pijemy kawę, rozmawiamy i żartujemy. Może przyjdź każdy, kto chce. Kolejna rzecz, która daje szansę na spotkanie, a w małych miasteczkach często jest tak, że nie ma zbyt wielu okazji do integrowania ludzi.

Zmorą naszych czasów jest także samotność. Żeby nieco ucichła, warto czasem obejrzeć z kimś film.

- Odwiedzają nas najczęściej ludzie starsi, którzy potrzebują tego, by z kimś porozmawiać. Po co oglądać film samemu, skoro można go obejrzeć w dobrym towarzystwie? Tak zawsze jest lepiej - zwraca uwagę ks. Ratajewski.

I trudno się z tym nie zgodzić.

MYŚLAŁA, ŻE UMRZE OD JEDNEGO PIEPRZYKA

Jeszcze kilka lat temu bagatelizowała badanie znamion, choć wiedziała, że należy do grupy ryzyka. Jasna karnacja, niebieskie oczy i liczne „pieprzyki” od dawna powinny skłonić ją do regularnych kontroli. Wszystko zmienił niewielki strupek na nodze, który okazał się czerniakiem złośliwym trzeciego stopnia. Dziś Emilia Rukścińska z Augustowa nie tylko regularnie się bada, ale też pomaga innym przełamać strach przed wizytą u specjalisty

Agnieszka Domanowska

Jak trafiła pani do Białostockiego Centrum Onkologii?

Cztery lata temu zdiagnozowano u mnie czerniaka złośliwego trzeciego stopnia. To bardzo złośliwy nowotwór, który rozwija się szybko i potrafi długo nie dawać wyraźnych objawów. Są cztery stopnie zaawansowania tej choroby, u mnie był trzeci, więc już wtedy wiadomo było, że sytuacja jest poważna. Trafiłam do Białostockiego Centrum Onkologii po tym, jak jedna ze zmian skórnych zaczęła mnie bardzo niepokoić. Wcześniej oczywiście słyszałam o czerniaku, wiedziałam mniej więcej, jak groźna to choroba, ale człowiek zawsze ma nadzieję, że jego to nie spotka. Dopiero kiedy usłyszałam diagnozę, dotarło do mnie, jak cienka jest granica między zwykłym „pieprzykiem” a nowotworem.

Co panią zaniepokoiło?

Mam bardzo jasną cerę i ogromną ilość znamion. Jestem typową blondynką z niebieskimi oczami i jasną karnacją, czyli osobą, która znajduje się w grupie podwyższonego ryzyka zachorowania na czerniaka. Na jednym ze znamion, na lewym udzie, zaczął pojawiać się strupek. Na początku nie wyglądało to bardzo groźnie. Strupek się zagoił, więc uznałam, że może po prostu się o coś zahaczyłam albo podrażniłam skórę. Ale po kilku tygodniach zmiana pojawiła się ponownie. I właśnie to było dla mnie alarmujące. Pomyślałam, że skoro coś wraca i nie chce się zagoić, to nie można tego dalej ignorować. Dzisiaj wiem, że organizm często daje wcześniej sygnały ostrzegawcze, tylko trzeba umieć ich nie lekceważyć.

I wtedy zgłosiła się pani do lekarza?

Tak. To był właściwie zbieg okoliczności, ale bardzo szczęśliwy. W tym samym czasie Białostockie Centrum Onkologii prowadziło program profilaktyczny związany z miesiącem świadomości czerniaka. Udało mi się zapisać do chirurga-onkologa

praktycznie od razu, w ciągu tygodnia. Pamiętam, że bardzo się wtedy stresowałam, ale jednocześnie czułam ulgę, że ktoś to w końcu obejrzy profesjonalnie. Lekarz już podczas wizyty powiedział, że ta zmiana mu się nie podoba. To był moment, kiedy pierwszy raz naprawdę się przestraszyłam. Wcześniej jeszcze próbowałam sobie tłumaczyć, że może przesadzam, ale kiedy specjalista od razu kieruje na dalszą diagnostykę, człowiek zaczyna rozumieć, że sprawa może być poważna. Zostałam skierowana na histopatologię i wtedy zaczęło się czekanie.

Jak wyglądało oczekiwanie na wynik?

To był bardzo trudny czas psychicznie. Człowiek z jednej strony próbuje żyć normalnie, chodzi do pracy, zajmuje się domem, rodziną, ale z tyłu głowy cały czas ma pytanie: „a co, jeśli to rak?”. Po około trzech albo czterech tygodniach zadzwoniła do mnie pani doktor i poprosiła, żebym przyjechała do gabinetu. Już sam telefon był dla mnie bardzo stresujący, bo przeczuwałam, że gdyby wynik był dobry, pewnie usłyszałabym to inaczej. Kiedy jechałam do Białegostoku, miałam mnóstwo czarnych myśli. I niestety potwierdziło się to, czego się bałam. W gabinecie usłyszałam diagnozę: czerniak złośliwy. Tego momentu chyba nie zapomina się nigdy.

Pamięta pani swoją pierwszą reakcję?

Rozpłakałam się od razu. To był ogromny szok i strach. Zawsze bałam się czerniaka właśnie dlatego, że mam tyle znamion. Wielokrotnie mówiłam mężowi: „jak można umrzeć od jednego pieprzyka?”. I kiedy usłyszałam diagnozę, dokładnie tak się poczułam - że mam jeden „pieprzyk” i że mogę umrzeć. W jednej chwili człowiekowi przewartościowuje się całe życie. Wszystko, co wcześniej wydawało się ważne, nagle przestaje mieć znaczenie. Pojawia się tylko strach o życie, o rodzinę i o to, co będzie dalej.



Emilia Rukścińska z Augustowa

O czym wtedy pani myślała?

Przed wszystkim o dzieciach. Syn miał wtedy 11 lat, córka 18. Pamiętam, że pierwsza myśl była taka, że nie zobaczę ślubu córki, że nie doczekam zakończenia szkoły przez syna. To były bardzo trudne emocje. Człowiek automatycznie zaczyna wyobrażać sobie najgorszy scenariusz. W głowie pojawia się pytanie: „ile czasu mi zostało?”. To był ogromny płacz, strach i bezradność. Myślę, że każdy, kto słyszy diagnozę nowotworową, przeżywa podobny moment zatrzymania świata.

Co pomogło pani opanować ten lęk?

Bardzo dużo dała mi rozmowa z panią doktor. Lekarka nie ograniczyła się tylko do przekazania diagnozy. Od razu spokojnie wyjaśniła, jakie będą kolejne kroki, jakie badania trzeba wykonać i jak będzie wyglądało leczenie. To było bardzo ważne. Kiedy człowiek dostaje konkretny plan działania, trochę łatwiej sobie poradzić psychicznie. Najgorsza jest niewiedza i ciekawie. Wtedy wyobraźnia pracuje najmocniej. Lekarze w BCO dali mi poczucie, że jestem zaopiekowana i że nie

zostałam sama z tym wszystkim.

Jak wyglądało leczenie?

Najpierw zaczęły się bardzo dokładne badania. Miałam pilne USG, podczas którego sprawdzano między innymi węzły chłonne. Na szczęście nie wykryto tam przerzutów, ale pojawiły się jakieś niejasności dotyczące wątroby. To był kolejny ogromny stres, bo człowiek od razu myśli o najgorszym. Później miałam tomografię i badanie PET. Ostatecznie udało się wykluczyć przerzuty nowotworowe i to była ogromna ulga. W przypadku czerniaka to kluczowa informacja, bo od tego zależy dalsze leczenie. W moim przypadku zakończyło się ono operacją.

Czy potrzebna była chemia albo radioterapia?

Nie, ponieważ choroba została wykryta odpowiednio wcześnie i nie było przerzutów. Wycięto mi zmianę z bardzo dużym marginesem. Mam usunięty fragment mięśnia na udzie oraz węzły chłonne wartownicze w pachwinie. Sama operacja była oczywiście trudnym doświadczeniem, ale miałam świadomość, że to daje mi szansę na normalne życie. Gdyby nowotwór został wykryty później, leczenie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej. Dlatego dzisiaj tak mocno podkreślam znaczenie profilaktyki.

Czyli profilaktyka naprawdę uratowała pani życie?

Tak, jestem o tym przekonana. Gdybym zlekceważyła tę zmianę albo odkładała wizytę jeszcze kilka miesięcy, wszystko mogło potoczyć się zupełnie inaczej. Czerniak to bardzo agresywny nowotwór. Tutaj czas naprawdę ma ogromne znaczenie. Ludzie często mówią: „to tylko pieprzyk”, „obejrżę to kiedyś”. Ja też kiedyś tak myślałam. Dzisiaj wiem, że nawet mała zmiana może oznaczać coś bardzo poważnego.

Co było najtrudniejsze podczas całej choroby?

Najtrudniejsze było patrzenie na rodzinę. Na mamę, męża, rodzeństwo. Widziałam, jak bardzo oni się boją i jak to wszystko przeżywają. Sama oczywiście też się bałam, ale miałam poczucie, że muszę być silna dla nich. Człowiek nie chce, żeby najbliżsi cierpieli jeszcze bardziej, więc próbuje się trzymać, nawet kiedy w środku wszystko się rozsypuje.

Przed chorobą regularnie badała pani znamiona?

Nie. Może dwa razy w życiu byłam na takich kontrolach. Jedno znamię miałam kiedyś usunięte, ale generalnie zaniedbywałam profilaktykę. Dzisiaj mówię o tym otwarcie, bo myślę, że wiele osób robi dokładnie to samo. Człowiek zawsze znajduje wymówkę - brak czasu, praca, obowiązki. Dopóki nic się nie dzieje, wydaje nam się, że problem nas nie dotyczy.

A dzisiaj?

Dzisiaj regularnie się kontroluję. Co trzy albo cztery miesiące mam badania. Sprawdzam znamiona, robię mamografię, kolonoskopię i wszystkie inne potrzebne kontrole. Jestem praktycznie przebadana od góry do dołu. Teraz wiem, jak ogromne znaczenie ma profilaktyka i jak wiele może zmienić szybka reakcja.

Jest pani również zaangażowana w działalność społeczną.

Tak, jestem wiceprezesem stowarzyszenia „Pozytywka” w Augustowie. Trafiłam tam po swojej chorobie i dostałam od tych kobiet ogromne wsparcie. To są głównie kobiety po różnych nowotworach, które doskonale rozumieją emocje pacjentów. Dzięki temu człowiek nie czuje się osamotniony.

Czym zajmuje się stowarzyszenie?

Organizujemy spotkania, akcje profilaktyczne i różne wydarzenia w Augustowie. Rozmawiamy z ludźmi o badaniach i staramy się uświadamiać, jak ważna jest profilaktyka. Augu-

stów jest małym miastem, więc wiele osób się zna. Dzięki temu łatwiej docierać do mieszkańców i rozmawiać z nimi bezpośrednio.

W jaki sposób widzi pani efekty tych działań?

Nawet dermatolodzy zwracali uwagę, że z Augustowa przyjeżdża coraz więcej osób na profilaktyczne badania w kierunku czerniaka. To pokazuje, że ludzie zaczynają się badać i przestają bagatelizować problem. Myślę, że część osób rzeczywiście przestraszyła się po tym, co mnie spotkało, ale jeśli dzięki temu ktoś wykryje chorobę wcześniej, to bardzo dobrze.

Wiele osób tłumaczy, że problemem są kolejki do specjalistów.

Tak i często właśnie to powstrzymuje ludzi przed badaniami. Wiele osób zakłada, że trzeba czekać pół roku do dermatologa i od razu rezygnuje. A przecież nie zawsze musi to być dermatolog. Mnie diagnozował chirurg-onkolog. Do takiego specjalisty można dostać się dużo szybciej. Ludzie często po prostu nie wiedzą, jakie mają możliwości.

Co powiedziała pani osobom, które wciąż odkładają badania profilaktyczne?

Żeby przestały odkładać. Profilaktyka naprawdę może uratować życie. To nic nie kosztuje poza odrobiną czasu i przełamaniem własnego strachu. Nawet jeśli trzeba chwilę poczekać na pierwszą wizytę, później kontrola raz w roku naprawdę nie jest wielkim wysiłkiem. Lepiej sprawdzić coś wcześniej niż później żałować.

Dzisiaj inaczej patrzy pani na nowotwory?

Zdecydowanie inaczej. Kiedyś słowo „rak” kojarzyło mi się wyłącznie z wyrokiem. Dzisiaj wiem, że wiele nowotworów, jeśli są wcześniej wykryte, można skutecznie leczyć i normalnie żyć. Dlatego tak ważne jest, żeby się badać i reagować na niepokojące zmiany. Czasami jedno badanie naprawdę może uratować człowiekowi życie.

Świątek odrodziła się w Rzymie. Teraz Paryż

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Iga Świątek na półfinale zakończyła występy w turnieju WTA 1000 w Rzymie. Polka przegrała z Eliną Switoliną 4:6, 6:2, 2:6. W finale Ukrainka pokonała Coco Gauff (USA) 6:4, 6:7 (3-7), 6:2.

Spotkanie Świątek ze Switoliną było siódmym w karierze tych zawodniczek. Ukrainka odniosła trzecie zwycięstwo i drugie w tym roku. Switolina wygraną odniosła przede wszystkim dzięki świetnej grze w obronie oraz pod presją, gdy musiała bronić break pointów. Ukrainka wygrała aż 11 z 16 piłek, które mogły skutkować przegranym gemem przy własnym serwisie. Mecz trwał dwie godziny i 16 minut. Dla Świątek półfinał w Rzymie był pierwszym nie tylko w tym sezonie, ale też pierwszym od września 2025 roku.

- Patrząc z perspektywy tego, jak się czułam nawet w USA, turniej w Rzymie jest dla mnie krokiem naprzód. Oczywiście, chcę więcej, ale granie w tenisa nadal sprawiało

mi przyjemność. A to nie jest takie oczywiste i nie powinno być brane za pewnik - powiedziała Iga Świątek.

Polka przyjechała do Rzymu z wątpliwościami co do swojego ostatniego poziomu - po wczesnych porażkach w turniejach w Stuttgarcie i Madrycie. Tym razem jednak udało jej się odnieść kilka zwycięstw, które dodały jej pewności siebie - w tym zwycięstwa nad Naomi Osaką i Jessicą Pegulą - w każdym z tych meczów tracąc po zaledwie trzy gemy.

- Ewidentnie Iga wraca na stare, dobre tory i widać u niej dobrą energię. Wraca do fundamentów, w których czuje się bardzo dobrze. Buduje tenis na swojej solidnej bazie, mocnych stronach i czuje radość z gry. Dotyka tego, co już kiedyś знаła i teraz fajnie jest jej znowu to rozwijać, będąc starszą, doświadczoną tenisistką - mówi nam Michał Kaznowski, były trener Igi Świątek.

Iga skupia się teraz na drugim w tym sezonie turnieju wielkoszlemowym, Roland Garros. Trzecia tenisistka świata będzie faworytką do tytułu, biorąc pod uwagę jej hi-



Iga Świątek w Rzymie dotarła do półfinału. To jej najlepszy wynik w tym sezonie

styczny bilans w Paryżu: 40-3, w tym cztery tytuły (2020, 2022, 2023, 2024). W przypadku wygranej, Świątek zostanie trzecią zawodniczką w erze Open z pięcioma tytułami w Paryżu - po Steffi Graf i Chris Evert. W 2025 roku Polka dotarła do półfinału turnieju w stolicy Francji.

- Być może Iga potrzebowała jakiegoś chwilowego kryzysu, wahania formy, by móc się rozwijać wewnętrznie. Trzeba było coś pokombinować, by wrócić na właściwe tory. Jest takie powiedzenie, że im spadniemy z wyższego konia, tym bardziej to boli. Z trudnych lekcji trzeba wyciągnąć wnioski,

trochę się przegrupować i wrócić silniejszym. Nie zapomnijmy, że to wciąż jest jedna z najlepszych tenisistek świata, która cały czas jest na szczycie. Cieszy mnie, że odnajduje w sobie na nowo takie dziecko i cieszy się grą - mówi Kaznowski.

Trener Igi Świątek w latach 2011-2016 przewiduje, że w nie-

długim czasie Świątek pod wodzą nowego trenera Francisca Roiga rozwine się jeszcze bardziej.

- Ten okres współpracy jest naprawdę bardzo krótki, a już widzimy realne korzyści. Iga za chwilę może próbować jeszcze częściej podchodzić do siatki. Widzę, że wraca do krótkiego ruchu przy serwisie. Myślę, że niebawem czymś nas zaskoczy. Gdy była nastolatką, często wpadała na różne pomysły, które na pierwszy rzut oka mogły się wydawać nawet głupie, a potem okazywało się, że były genialne. To jest właśnie jej talent i taka myśl, jak rozwijać i kreować swój tenis - mówi nam drugi w jej karierze trener i dodaje:

- Podejrzewam, że trener Roig zostawi Idze trochę elastyczności w tym względzie. Jeśli chodzi o French Open, Iga może znowu wygrać cały turniej. Jest tenisistką, która, gdy tylko sprzyjają jej okoliczności i ma spokojną głowę, to potrafi pokonać każdą przeciwniczkę - podsumował w rozmowie dla Polska Press Michał Kaznowski.

© P

Rafał Boguski: Trener Luis Enrique stworzył potwora, ujarzmił Ousmane Dembele

Rozmawiał Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

Rafał Boguski, 6-krotny reprezentant Polski, legenda Wisły Kraków, nie ukrywa sympatii do Arsenalu, ale wie, że w finale Ligi Mistrzów to Paris SG będzie faworytem.

Spodziewałeś się takiego składu finału Ligi Mistrzów?
Bardzo lubię Arsenal, który za Mikela Artety potrafi grać pięknie, nauczył się też pragmatyzmu, co pokazał w dwumeczu z Atletico Madryt. Zobaczymy, czy do finału Ligi Mistrzów Arsenal przystąpi jako mistrz Anglii. Arteta ma świetnie poukładaną drużynę, bardzo mi się podoba gra Bukayo Saki, Gabriela Martinello, ważną postacią stał się Leandro Trossard - reprezentant Belgii z niesamowitym potencjałem, do formy wraca Martin Odegaard, który niebawem może z Norwegią zostać rewalacją mundialu, w środku mają też niesamowitego Declana Rice. Skład Arsenalu jest znakomity, ale na większości pozycji Paryż ma lepszych zawodników, nie wspominając o ławce. Luis Enrique stworzył potwora, ujarzmił Ousmane Dembele, z którym było tyle problemów w innych klubach i nagle oka-

zało się, że ten kapitalny zawodnik może podporządkować się kolektywowi. To jest siła Enrique, Hiszpan wpłynął choćby na rozwój Desire Doue, który w drugim półfinale z Bayernem dochodził do pozycji strzeleckich, mając przy sobie trzech rywali. Z pracy trenera Paris SG korzysta mocno reprezentacja Francji, jeden z głównych faworytów tegorocznego mundialu.

Błędy sędziów miały wpływ na wyniki półfinałów Ligi Mistrzów?

Niestety, tak, a jesteśmy w dobie VAR... Sędziowie są zbyt uparci, nawet gdy dostają sygnały z wozu, nie powinni popierać takich katastrofalnych błędów. Trzeba to zmienić jak najszybciej, bo szkoda piłki nożnej.

Szkoda Bayernu?

Bayern pokazał kosmiczny futbol przeciw Realowi Madryt i postawił się obrońcom tytułu z Paryża. Bawarczycy mają niesamowitą siłę rażenia, wyruszyli rekord goli w Bundeslidze grubo powyżej stu trafień i grali tak, że nie dawało się czasami odejść od telewizora. Wyeliminować ich mógł tylko gigant jak team Luisa Enrique. Uważam, że Paris SG na dobre



Rafał Boguski zna smak potyczek z wielkimi firmami w europejskich pucharach. I wspomina je z przyjemnością

wyszło zmniejszenie francuskiej ligi z 20 do 18 zespołów. Zyskał dzięki temu więcej czasu na regenerację, odpoczynek zawodników. Drugi finał Ligi Mistrzów z rzędu to potwierdza, a jeszcze przecież zameldował się w finale Klubowych Mistrzostw Świata przed rokiem i sięgnął po Superpuchar, choć z Tottenhamem, dziś broniącym się przed spadkiem z Premier League łatwo nie poszło.

Tottenham też jest z Londynu, więc... Arsenal też może powalczyć z Paryżem.

Kolejny klub ze stolicy Anglii - Crystal Palace przebił się do finału Ligi Konferencji, a zatem rozgrywek, które w Polsce nazywano prześmiewczo Pucharem Biedronki. Ich prestiż jest dużo mniejszy niż Ligi Mistrzów, czy Ligi Europy, ale i tak kluby z największych krajo-

wych lig je wygrywają. Tam się nie lekceważą?

W Anglii zmieniło się podejście do Ligi Europy i Ligi Konferencji, najwięcej ekip z Premier League dociera do finałów. Trofeum to trofeum, trafia do gąbłoty, dochodzi do tego obudowanie marketingowe i pieniądze, prestiż. Crystal Palace był nastawiony na te rozgrywki, że swojej szansy skorzystało też Rayo, które w fazie ligowej pokonało Lecha Poznań, choć przegrywało 0:2, i Jagiellonię Białystok. Nasze apetyty rozbudziły ćwierćfinały Legii i Jagiellonii w poprzednim sezonie, a teraz niezła faza ligowa i fakt, że mieliśmy trzech przedstawicieli w fazie pucharowej. Czegoś zabrakło Jagiellonii, by wyeliminować Fiorentinę, Lech mógł pokusić się o lepszy wynik u siebie z Szachtarem Donieck, a był blisko odrobienia strat w Krakowie. PKO Ekstraklasa się rozwija, w przyszłym sezonie w pucharach zagra 5 klubów i półfinał Ligi Konferencji, może nawet finał są w zasięgu.

W finale Ligi Europy Freiburg jest w stanie pokonać Aston Villę?

Aston Villa ma Unai Emery, który triumfował w tych rozgrywkach trzykrotnie z Sevillą,

raz z Villarealem i na pewno bardzo chce zwyciężyć z Aston Villą dysponującą bardzo silnym składem - z Mattem Cashem, bramkarzem Argentyny, Emiliano Martinezem, obytym w Lidze Mistrzów, liczącym się w kraju. Freiburg to taki finalista nieoczywisty, ale zasłużył na ten sukces, który jest nagrodą za konsekwencję. Widać, że to ustabilizowany klub, a dzięki tej przygodzie z Ligą Europy zrobi się o nim głośno.

Po awansie Wisły Kraków do ekstraklasy odżyły twoje wspomnienia z europejskich pucharów?

Przez kontuzje opuściłem dużo spotkań, ale przyjemnością były występy przeciw Barcelonie czy Tottenhamowi. Pucharowe wspomnienia są żywe w Wiśle Kraków, która zagrała w Europie jako przedstawiciel pierwszej ligi. Teraz wraca na najwyższy szczebel i wierzę, że klub nie zachłśnie się i uda się stworzyć coś trwałego, opartego na solidnych fundamentach. Cieszę się, że Wisła awansowała pod wodzą Mariusza Jopa, bardzo dobrego człowieka, który swoje przeżył i nie zawodził w najtrudniejszych momentach. Wierzę, że to, co najlepsze w karierze trener-skiej, przed nim. © P

PIŁKA NOŻNA PO SZALONYM MECZU CHROBRY MELDUJE SIĘ W BARAŻACH

Głogowianie zaważczą o ekstraklasę!

RED
Głogów

Zwycięstwo nad Zniczem Pruszków po dramatycznym pojedynku przyniosło Głogowianom szansę na awans do ekstraklasy.

Być może stawka tego meczu sparaliżowała gospodarzy, bo Chrobry wyraźnie nie był sobą. Znicz miał już pewność spadku z pierwszej ligi, więc zagrał na luzie. Dowód tego mieliśmy w 22. minucie – akcja pod bramką głogowian, ręka i rzut karny. Gola z jedenastu metrów zdobył wtedy Radosław Majewski, który pewnym strzałem pokonał Dawida Arndta.

Chrobry nie miał dogodnych sytuacji do wyrównania stanu meczu, ale nie ustawał w wysiłkach. Podobnie jak przed dwoma tygodniami w meczu z GKS-em Tychy, zrobił co mógł w sześciu doliczonych minutach pierwszej połowy. Do posłanej futbolówki wyskoczył Myrosław Mazur,

wykorzystując swój wzrost, i strzałem głową z kilku metrów trafił do siatki, zdobywając niezwykle ważnego gola „do szatni”.

Wydawało się, że po przerwie Chrobry pójdzie za ciosem, ale... nie stało się tak od razu. W 49. minucie to znów goście byli na prowadzeniu. Szybka akcja prawą stroną pruszkowian, zgranie w pole karne, gdzie Krystian Tabara nabiegł na piłkę i uderzeniem po ziemi z okolic 11. metra trafił do siatki. Trybuny znów zamrły, ale Chrobry nie spuścił głów i coraz mocniej szukał swoich okazji.

Wszystko zmienił ostatni kwadrans. W 76. minucie bramkarza Znicza pokonał Kelechukwu Ibe Torti, a już 180 sekund później – po dograniu Kacpra Laskowskiego – gospodarzy wyprowadził na prowadzenie Sebastian Stróziak.

Główne role w decydującej akcji odegrali więc ci, którzy weszli z ławki. Dla Stróziaka był to pierwszy gol w Chrobrym, ale za to jakże ważny.



Głogowski zespół pokazał charakter i do końca walczył o trzy punkty

Chrobry nie oddał już prowadzenia, choć w doliczonym czasie gry było gorąco. Wystarczy wspomnieć, że po jednej z akcji Znicza piłka zatrzymała się na słupku.

Odniesionym w dramatycznych okolicznościach zwycięstwem Chrobry zapewnił sobie udział w barażach. I chyba nawet dobrze, że w tak emocjonujących okolicznościach, bo po-

winno to podbudować morale zespołu.

Ostatni mecz w Sosnowcu z Wieczystą Kraków w najbliższą niedzielę będzie już spotkaniem o możliwie najwyższe

miejsce w tabeli i lepsze rozstawienie w barażach o awans do ekstraklasy. W każdym razie czekają nas dwa dodatkowe pojedynki.

CHROBRY GŁOGÓW - ZNICZ PRUSZKÓW 3:2 (1:1)

BRAMKI: 0:1 Radosław Majewski 22 (k), 1:1 Myrosław Mazur 45, 1:2 Krystian Tabara 49, 2:2 Kelechukwu Ibe-Torti 76, 3:2 Sebastian Stróziak 79.

CHROBRY: 99. Dawid Arndt - 21. Michał Kozajda, 8. Jakub Grič, 18. Myrosław Mazur, 80. Kacper Tabiś (46, 27. Kacper Laskowski) - 17. Kelechukwu Ibe-Torti (87, 5. Radosław Bąk), 23. Szymon Lewkot (46, 7. Sebastian Bonecki), 16. Robert Mandrysz, 30. Szymon Bartlewicz (63, 15. Kacper Nowakowski), 28. Jakub Lis - 10. Piotr Janczukowicz (46, 11. Sebastian Stróziak).

ZNICZ: 23. Kacper Napieraj - 7. Dominik Sokół, 5. Jarosław Jach, 99. Oskar Koprowski, 11. Paweł Moskwik (85, 30. Andrij Juzwak) - 22. Krystian Tabara, 25. Dominik Konieczny, 20. Michał Borecki, 10. Bartłomiej Ciepela (85, 21. Mateusz Mak) - 17. Adrian Kazimierczak (72, 29. Daniel Bąk), 9. Radosław Majewski (90, 8. Tymon Proczek).

ŻÓŁTE KARTKI: Mazur, Lewkot - Konieczny, Jach.

SĘDZIOWAŁ: Szymon Łężny (Kluczbork). WIDZÓW: 1329.

Wrocław staje się piłkarską stolicą. Kolejne duże imprezy: pojedynki o Superpuchar Polski oraz mecze reprezentacji

Piotr Janas
Wrocław

To już pewne: najbliższe dwie edycje Superpucharu Polski rozegrane zostaną na Tarczyński Arena we Wrocławiu. W najbliższym czasie dwukrotnie zagra tu także reprezentacja Polski.

W poniedziałek media obiegła informacja, jakoby PZPN znów zmienił reguły rozgrywania meczu o Superpuchar Polski, czyli tradycyjnej rywalizacji aktualnego mistrza Polski ze zdobywcą Pucharu Polski. W ostatnich latach kwestia tego meczu kilkakrotnie budziła kontrowersje. Raz przez wzgląd na problem ze znalezieniem dogodnego terminu mecz o to trofeum bardzo się opóźnił, innym razem klubom nie spodobało się, że PZPN chce zmienić gospodarza.

Ostatecznie ustalono, że w najbliższych latach gospodarzem meczu o Superpuchar Polski będzie urzędujący mistrz naszego kraju, lecz teraz - za pięć dwunasta - doszło do kolejnego przetarasowania, o czym poinformował Szymon



Mecz o Superpuchar Polski na Tarczyński Arena Wrocław

Janczyk z portalu „Weszło”. Napisał, że impreza ma zostać przeniesiona do Wrocławia, co bardzo nie spodobało się kilku klubom, w tym przede wszystkim Lechowi Poznań, gdyż nie zarobi na sprzedaży biletów tyle, co rok temu („Kolejorz” obronił tytuł).

Korzystając z obecności na II Kongresie Polskiej Piłki w Jeleniej Górze, na którym gości wielu członków zarządu

PZPN, udało nam się ustalić, że Tarczyński Arena Wrocław będzie gospodarzem nie jednego, a dwóch meczów o Superpuchar Polski. Mało tego: jest to decyzja, która już zapadła i jest nieodwołalna.

- Pamiętajmy, że organizatorem tego meczu - podobnie jak finału Pucharu Polski - jest PZPN, a nie kluby. W związku z tym mogliśmy podjąć taką decyzję i zmienić dotychczas-



2020 rok. Polska gra z Bośnią w Lidze Narodów

sowy regulamin. Nie jest to jednak robienie komuś na złość. Chcemy jako federacja zrobić z tego piłkarskie święto na podobnym poziomie, jakim jest dziś finał Pucharu Polski. Nie jest powiedziane, że to zawsze będzie Wrocław, ale na dwa najbliższe finały jest umowa właśnie ze stadionem w stolicy Dolnego Śląska - powiedział nam jeden z członków zarządu PZPN.

Udało nam się wstępnie ustalić także termin tego meczu. Wszystko wskazuje na to, że aktualny mistrz - Lech Poznań - zmierzy się ze zdobywcą krajowego pucharu - Górnikiem Zabrze - na Tarczyński Arena Wrocław 16 lub 17 lipca, czyli na tydzień przed rozpoczęciem eliminacji europejskich pucharów. Kluczowe będzie losowanie par eliminacji Ligi Mistrzów (Lech) i ew. Ligi Europy (Górnik zagra

w el. Ligi Europy, jeśli na koniec sezonu uplasuje się niżej niż na 2. miejscu, na którym jest obecnie). Termin pierwszych meczów w pucharach tych drużyn przesądzi o tym, czy o Superpuchar we Wrocławiu zagrają 16 czy 17 lipca.

To kolejna wielka impreza piłkarska, której gospodarzem będzie Tarczyński Arena Wrocław. Niedawno gościła ex piłkarzy reprezentacji Polski, którzy pokonali dawne gwiazdy reprezentacji Brazylii z Roberto Carlosem i Adriano na czele, a lada moment odbędzie się tam kolejny mecz gwiazd: Polska vs Reszta Świata (27 maja).

Najważniejsze jednak dopiero przed nami: 31 maja reprezentacja Polski podejmie w towarzyskim meczu Ukrainę, później wspomniany mecz o Superpuchar pomiędzy Lechem Poznań a Górnikiem Zabrze, a jeszcze później - najprawdopodobniej - mecz Polska - Szwecja w Lidze Narodów. Mało tego: wciąż możliwe, że 15 sierpnia w ramach tournée do Wrocławia zawita Manchester United, który miałby zagrać na Dolnym Śląsku z AC Milan.

